



JOCELYNE SAUCIER

Ptaki padały  
deszczem

JOCELYNE SAUCIER

# Ptaki padały deszczem

Z języka francuskiego przełożyła  
Elżbieta Janota



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

Titre original: *Il pleuvait des oiseaux* par Jocelyne Saucier

Copyright © 2011, Les Éditions XYZ inc.

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2018 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Anna Slotorsz / [artnovo.pl](http://artnovo.pl)

Zdjęcie autorki na okładce: © Cyclopes

Redakcja: Magdalena Stec

Korekta: Maria Zając, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-8110-759-4

We acknowledge the support of the Canada Council for the Arts for this translation.



Ta publikacja otrzymała wsparcie Sharjah International Book Fair Translation Grant Fund.



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadruga.pl](mailto:info@soniadruga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# *Spis treści*

Fotografka

Bruno

Steve

Wielkie Pożary

Społeczność nad jeziorem

Trzecie życie Charliego

Młode dziewczęta o długich włosach

Kolekcja niemożliwych miłości

Wilk pośród nocy

Dwa groby

Ptaki padały deszczem

Ogromne podziękowania

*Dla Marie-Ange Saucier*

Gdzie będzie mowa o wielkich zaginionych, o pakcie śmierci, który jest solą życia, o potężnym zewie lasu i o miłości, która również nadaje życiu znaczenie. Historia jest mało prawdopodobna, ale ponieważ istnieją świadkowie, nie wolno w nią nie wierzyć. Pozbawilibyśmy się w ten sposób tych niezwykłych ustroni, które udzielają azylu wyjątkowym istotom.

Jest to historia trzech starców, którzy postanowili zniknąć w lesie. Trzech istot zakochanych w wolności.

– Wolność to możliwość wyboru swojego życia.

– I swojej śmierci.

Tak Tom i Charlie powiedzą swojemu gościowi. We dwóch mają prawie dwa wieki. Tom ma osiemdziesiąt sześć lat, a Charlie – o trzy więcej. Uważają, że zdolni są przeżyć ich jeszcze wiele.

Trzeci już nie mówi. Niedawno umarł. Martwy i pochowany, powie Charlie kobiecie, która złoży im wizytę, a ona nie będzie chciała mu uwierzyć, tak długa była droga wiodąca do Boychucka, Teda albo Eda, albo Edwarda, różnorodność imion tego człowieka i niezgodności dotyczące jego losów prześladować nas będą przez całą tę opowieść.

Odwiedzająca jest fotografką i nie ma jeszcze imienia.

A miłość? No cóż, na miłość trzeba będzie poczekać.

# Fotografka

Pokonałam niezliczone kilometry drogą pod burzowym niebem, zastanawiając się, czy znajdę prześwit w lesie przed nocą, a przynajmniej zanim rozpęta się burza. Przez całe popołudnie podążałam gąbczastymi drogami, które prowadziły mnie jedynie do płatanin tras dla rowerów górskich, leśnych ścieżek holowniczych, a później już tylko do łóż torfu, ścian kolców, czarnych fortec, które coraz bardziej gęstniały. Las miał się wkrótce nade mną zamknąć, a tymczasem ja nie położyłam łapy na Tedzie czy Edzie, czy Edwardzie Boychucku, imię się zmieniało, lecz nazwisko pozostawało to samo, znak, że w tym, co mi opowiedziano na temat jednego z ostatnich ocalałych z Wielkich Pożarów, znalazło się kilka ziaren prawdy.

Wyruszyłam z wytycznymi, które zdawały mi się wystarczające. Po pokonaniu drogi, która ciągnie się wzdłuż rzeki, skręcić w prawo i jechać około piętnastu kilometrów, aż do jeziora Perfection, łatwego do rozpoznania dzięki zielonym, jadeitowym wodom, wodom lodowca z czwartorzędu, i krągłości talerza, doskonałej krągłości, stąd jego nazwa, a po kontemplacji jadeitowego talerza skręcić w lewo, znajduje się tam pokryta rdzą wieża szybowa, pokonać jakieś dziesięć kilometrów w linii prostej, w żadnym razie nie jechać na skrót, aż znajdziesz się na starych leśnych ścieżkach, a potem już nie sposób się pomylić, jest tylko ta droga, która donikąd nie prowadzi. Jeśli spojrzysz w prawo, zobaczysz strumień, który kaskadą spada na bazalt, to tam Boychuck ma swoją chatę, ale od razu ci powiem, że nie lubi gości.

Rzeka, jadeitowe jezioro, stara wieża szybowa, postępowałam zgodnie ze wszystkimi wskazówkami, ale nigdzie nie dostrzegłam spadającego kaskadą strumienia ani chaty, a dotarłam do końca drogi. Dalej była zarośnięta ścieżka, świetnie nadająca się dla quada, nic, z czym poradziłby sobie mój pick-up. Zastanawiałam się właśnie, czy powinnam zawrócić, czy rozłożyć się na noc na tylnym siedzeniu auta, kiedy u podnóża pagórka zauważyłam dym tworzący chudą wstążkę, która huśtała się leciutko nad wierzchołkami drzew. Zaproszenie.

Oczy Charliego, gdy tylko dostrzegły mnie w prześwicie okalającym skupisko chat, rzuciły mi ostrzeżenie. Nie wkracza się na ten teren nieproszonym.

Pies zapowiedział mnie na długo przed moim przybyciem i Charlie czekał na mnie, stojąc przed tym, co musiało być jego chatą mieszkalną, bo to z niej unosił się dym. Trzymał naręcz polan, pewnie planował akurat przygotować kolację. Przyciskał swój ładunek do



piersi przez cały czas trwania rozmowy, którą odbyliśmy krok od drzwi. Wyraźnie nie zamierzał ich przede mną otworzyć. Były to drzwi z siatki na komary. Drugie, główne drzwi, zostawiono otwarte do środka, aby wypuścić gorąco powstałe przy rozpaleniu ognia. Nie potrafiłam niczego rozróżnić we wnętrzu chaty, było ciemne i poplątane, ale woń, która stamtąd dochodziła, wydawała mi się znajoma. Woń mężczyzn z lasu, którzy od lat żyją samotnie w intymności tych wszystkich rodzajów marynowania. Woń źle umytego ciała, w żadnej z chat mieszkalnych moich starych przyjaciół z lasu nie widziałam prysznic ani wanny. Woń smażeniny, żywią się głównie mięsem z patelni, gęstymi potrawkami, dziczyzną, która wymaga okazałego dodatku tłuszczu. Woń kurzu osiadłego zmumifikowanymi warstwami na wszystkim, co się nie rusza. I sucha woń tytoniu, który jest ich podstawowym narkotykiem. Kampanie antynikotynowe do nich nie dotarły, niektórzy wciąż żują tytoń i nabożnie wciągają copenhagen. Nie mamy pojęcia, ile to dla nich znaczy.

Papieros Charliego wędrował z jednego końca ust do drugiego, niczym oswojone zwierzątko, a kiedy się wypalił, pozostał w ich kąci. Mężczyzna w dalszym ciągu nie powiedział ani słowa.

Na początku myślałam, że to on, Ed Boychuck, albo Ted, albo Edward, człowiek, który przetrwał Wielkie Pożary i uciekł przed życiem do lasu. Tylko okazjonalnie widywano go w hotelu, w którym spałam poprzedniej nocy. Hotel był absurdem, olbrzymią budowlą w samym środku niczego, trzy piętra czegoś, co prawdopodobnie oznaczało kiedyś wielką klasę, a teraz było jedynie okrucieństwem cywilizacji w szczerym lesie. Ten, którego wzięłam za właściciela, a który okazał się tylko zarządcą – mów mi Steve, rozkazał po wstępnej rozmowie – wyjaśnił, że hotel zbudował śpiący na forsie ekscentryk, Libańczyk, który zbił fortunę na podrabianym alkoholu i zabawiał się jej trwonieniem na megalomańskie budowle. Sądził, że linia kolei żelaznej zahaczy o miejsce zapowiadające się na nowe Klondike, a on chciał być pierwszym, który zgarnie napływającą klientelę. Jego ostatni kaprys, powiedział Steve. Sprawa z nowym Klondike okazała się olbrzymim oszustwem, żaden pociąg nie przyjechał pluć dymem przed wielkim, luksusowym hotelem Libańczyka i mężczyzna wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie stworzył sieć moteli dla kierowców.

Lubię miejsca, które porzuciły kokieterię, całą tę afektację, i czepiają się jakiejś idei, czekając, aż czas przyzna im rację. Prosperity, kolej żelazna, dawni znajomi, nie wiem, co z nimi będzie. W tym regionie jest wiele takich miejsc, które opierają się własnemu zużyciu i czerpią przyjemność z podupadłej samotności.

Mój gospodarz przez cały wieczór zabawiał mnie nieszczęściami, których się tu doświadcza, ale nie dałam się zwieść. Był dumny, opowiadając mi historie o zżeranych przez kleszcze niedźwiedziach i o głodzie, który czeka tuż za progiem, o nocnych jękach i skrzypieniach niesionych przez wiatr, o komarach. Nie wspominałem ci o robactwie, w czerwcu jest tu wszystko, komary, ścierwice, kuczmany, bąki, lepiej się nie myć, nie ma nic bezpieczniejszego niż gruba skóra, żeby chronić się przed tymi małymi bestiami,

a styczniowe mrozy, ach! styczniowe mrozy, na Północy nie ma większego obiektu dumy, i mój gospodarz nie zamierzał odmówić sobie poskarżenia się na nie, żebym mogła dyskretnie popodziwiać jego odwagę.

– A Boychuck?

– Boychuck to otwarta rana.

Niemy i nieruchomy mężczyzna stojący o krok od drzwi chaty nie mógł być tym, którego szukałam. Zbyt spokojny, zbyt solidny, niemal dobroduszny, pomimo tego spojrzenia, które szperało w moim w poszukiwaniu tego, co się tam ukrywało. Zwierzęce, właśnie to słowo przyszło mi do głowy. Miał zwierzęce spojrzenie. Nic drapieżnego czy groźnego, Charlie nie był dziką bestią, był po prostu czujny, niczym zwierzę, zawsze się zastanawiał, co kryje się za ruchem, za rozbłyskiem światła, za zbyt wymuszonym uśmiechem, za zbyt płynnymi słowami. A moje, moje słowa, mimo przekonania, jakie w nie wkładałam, wciąż nie zdołały go przekonać, żeby otworzył mi drzwi.

Do ludzi, którzy mają za sobą prawie wiek, nie dociera się przez modną reklamową gadkę. Potrzeba taktu, zręczności, ale nie za wiele, starszycy znają się na sztuce konwersacji, w ostatnich latach życia nic innego im nie pozostaje, więc zbyt wypolerowane tezy wzbudzają ich nieufność.

Zaczęłam od kilku słów skierowanych do jego psa, wspaniałego zwierzęcia, mieszanki nowofundlanda z labradorem, który przestał czekać, lecz nie spuszczał ze mnie wzroku. Piękny zwierzak, powiedziałam zarówno po to, by pogratulować psu, jak i jego panu. Labrador? Za jedyną odpowiedź otrzymałam skinięcie głową i spojrzenie, które wskazywało, że mężczyzna czeka na ciąg dalszy. W końcu nie przejechałam takiego kawału drogi, żeby rozmawiać z nim o jego psie.

Jestem fotografką, powiedziałam natychmiast. Należało zapobiec wszelkim nieporozumieniom. Nie miałam nic do sprzedania, żadnej złej wieści do przekazania, nie byłam pracownicą socjalną ani pielęgniarką, zwłaszcza zaś nie reprezentowałam rządu, najgorszej szarańczy, o czym mogłam się przekonać u wszystkich starców, których odwiedziłam. Nie pracuje pani dla rządu, mam nadzieję? To pytanie, jeśli wyjaśnienie mojej obecności zajmuje zbyt dużo czasu, pada bardzo szybko. Nikt nie chce urzędnika, który przychodzi oznajmić, że w naszym życiu coś nie gra, tutaj w papierach są litery, cyfry, które się nie zgadzają, dokumenty cierpią z powodu tych nieścisłości. A ja, myśli pani, że ja nie cierpię? Won, rządzie, poszedł precz!

Jestem fotografką, powtórzyłam, robię zdjęcia osobom, które przeżyły Wielkie Pożary.

Boychuck stracił całą rodzinę w Wielkim Pożarze z tysiąc dziewięćset szesnastego, dramat, który nosił w sobie wszędzie, gdzie próbował ułożyć sobie życie.

Mężczyzna, którego miałam przed sobą, nie nosił w sobie rany, był gładki i zwarty, kamienny buddyjski mnich, nic nie mogło go dosięgnąć, tak mi się wydawało aż do chwili, kiedy ujrzałam, jak wznosi oczy do nieba, posepnieje na groźbę chmur, coraz cięższych,

coraz bardziej brzemiennych, a jego spojrzenie, gdy wróciło do mnie, kryło w sobie błyskawicę zapowiadającą się burzy. Zwierzę, pomyślałam ponownie, reaguje jedynie na naturę.

Wyjaśniłam, co mnie sprowadza, pamiętając, by podawać nazwiska. Taki a taki, którego spotkałam i który opowiedział mi o innym, który znał jeszcze innego. Przedłożyłam mu trasę, którą przebyłam, wszystkie stare znajomości, które, jedna po drugiej, służyły mi za listy żelazne i doprowadziły mnie tutaj, w bardzo piękne miejsce, rozumiem, że zdecydował się pan tu zamieszkać, panie Boychuck, z tym wspaniałym jeziorem u stóp i całą tą niewiarygodną przyrodą, która pana otacza, ale jeśli ma pan kilka minut, chciałabym spokojnie pogawędzić z panem o tym wszystkim.

To było nieuczciwe, wiedziałam, że nie mam do czynienia z Boychuckiem, lecz drobny podstęp jest czasem niezbędny.

Nazwisko Boychucka poruszyło mężczyznę bardziej, niż chciałby okazać. Widziałam, jak jego spojrzenie migocze, a później niebo pociemniało, ziemia położyła się płasko, burza szalała z niecierpliwości i w końcu dał się słyszeć głos Charliego.

– Boychuck jest martwy i pochowany.

Nie zamierzał powiedzieć nic więcej. W jego postawie wyczułam, że rozmowa dobiegła końca i powinnam wracać tam, skąd przyszłam, z tą odrobiną, której się właśnie dowiedziałam. Zamierzał odwrócić się do mnie swoimi wielkimi plecami źle wylizanego niedźwiedzia, kiedy niebo otwarło się i wylało swe wody. Lunęło jak z cebra. Charlie wepchnął mnie do środka. Ruchem, który ledwie poczułam, gestem naturalnej władczości, otworzył drzwi z siatki na komary i z ręką na moich plecach, ciężką i lekką zarazem, wepchnął mnie do środka.

– Wejdz, zmokniesz.

Głos nie był przyjaźniejszy niż cała reszta. Mężczyzna ruszył prosto do pieca, kuchenki na drewno, miniaturowego modelu, nigdy nie widziałam tak maleńkiej, i zajął się ogniem, zupełnie nie troszcząc się o mnie. Ogień dogasał. Musiał na nowo ustawić małe drewnienka, podmuchać na poczerniały żar, dorzucić kory, znowu podmuchać, a kiedy płomienie wystrzeliły, zamknął drzwiczki kuchenki, odciął dopływ powietrza i podszedł do czegoś, co na moje oko wyglądało w półmroku na blat kuchenny, a po liczbie ziemniaków, które zaczął obierać, poznałam, że jestem zaproszona na kolację.

Deszcz z wielkim hałasem lał się na dach, nabrał obfitości, momentami w ogóle się nie słyszeliśmy, a później wmieszał się do tego wiatr, były porywy, potopy, wycia i grzmoty, błyskawice, oboje wiedzieliśmy, że nie mogę wrócić do mojego pick-upa.

– Trzeba, żebyś tu spała.

Spałam w łóżu z futer niczym księżniczka ze starodawnych baśni. Miękkie okrycie z baribala, z lisa srebrnego, z popielatego wilka, a nawet z rosomaka, głęboki brąz, który przechodził w lśniącą czerń w moim kuśnierskim łóżku. Charlie był pod wrażeniem, że

potrafię zidentyfikować te zwierzęta, zwłaszcza rosomaka, który jest rzadkim okazem, jeszcze rzadszym w postaci wyprawionej skóry, gdyż cieszy się reputacją agresywnego i inteligentnego, trudnego do schwytania w pułapkę. Ale wykopanie wilczego dołu, powiedział, biorąc pod uwagę cenę, jaką dostaje się za skóry, warte jest zachodu.

W ciągu wieczoru zaimponowałam mu niejednokrotnie. W temacie paproci, porostów, krzewów, których nazwy znałam, podczas gdy on, który zawarł z nimi intymną znajomość, nie umiał ich nazwać. Potrafił opisać roślinę z poszycia z precyzją niedoścignętego botanika, jej otoczenie, życiowe zwyczaje, sposób zbierania rosy, chronienia się przed suszą i palącymi wichrami, wiedział to wszystko, ale nie umiał jej nazwać. Konwalijka kanadyjska, oznajmiłam mu po tym, jak zastanawiał się na głos, czy owoce tej rośliny naprawdę są trujące. Trucizna na kuropatwy, tak nazywał konwalijkę kanadyjską, okaz z rodziny liliowatych rosnący w poszyciu. Owoce są jadalne, wyjaśniłam, ale z umiarem, jeśli zje się za dużo, można dostać biegunki.

– Skąd ty to wiesz?

Nie jestem botaniczką, naturalistką, niczym takim, ale dwadzieścia lat włości pozwoliło mi poznać las. Uczyniłam z tego swoją specjalność, fotografka wegetacyjna, tak się nazwałam z powodu wszystkich tych unerwień liści, nad którymi się pochylałam, oraz kontemplacyjnego życia, jakie wiodłam. W pewnym momencie miałam tego dość, chciałam się zhumanizować, chciałam twarzy, dłoni, spojrzeń, nie mogłam już dłużej godzinami podglądać pająka, który zaraz schwyta ofiarę, i przypadek skierował mnie na trop Wielkich Pożarów i tych, którzy z nich ocalili, wszyscy to, siłą rzeczy, ludzie bardzo posunięci w latach, gdyż pierwszy Wielki Pożar miał miejsce w tysiąc dziewięćset jedenastym roku, i to tutaj rozmowa zabrnęła w ślepy zaułek. Gdy tylko poruszałam ten temat, Charlie nie godził się iść dalej.

Jednakże wieczór był przyjemny. Starzec cieszył się, że ma towarzystwo, to było widać, jego rysy się rozluźniły, ale nie było tego słychać, wciąż mówił tym mamrocącym, dźwięcznym głosem, który wywarł na mnie tak silne wrażenie, kiedy przyjechałam.

Mówiliśmy o naszych życiach, moim na drogach, w poszukiwaniu nowej twarzy, nowego spotkania, i jego, w jego chacie, spędzanym na patrzeniu, jak mija czas, bez żadnego innego zajęcia poza zmaganiem się z codziennością. To już było dużo, jego zdaniem, i bez trudu mu uwierzyłam, bo jest mnóstwo do zrobienia, żeby nie umrzeć z zimna i głodu, kiedy żyje się samemu w głębi lasu. Położyłam nacisk na słowo „samemu”, ale on uniknął pułapki. Był traperem, instynktownie wyczuwał niebezpieczeństwo i nie zamierzał wpaść w tak lichy skleconą zasadzkę.

– Mam mojego Chummy’ego – oświadczył, przyzywając psa spojrzeniem.

Pies spał niespokojnym snem w pobliżu drzwi, każdy pomruk grzmotu jeżył mu sierść od ogona po głowę, później znów cisza na morzu, głęboki, regularny oddech, aż do kolejnego wstrząsu.

Gdy tylko usłyszał, jak Charlie wymawia jego imię, natychmiast się podniósł i przyszedł wyciągnąć się u stóp swojego pana.

– I co, Chummy, powiedz naszemu gościowi, że tworzymy wspólnie zgrany zespół, ty i ja.

Dłoń Charliego spacerowała wśród gęstej sierści zwierzęcia, zatrzymując się na karku, u podstawy uszu, gdzie wykrywała zbitki futra, które wyjmowała małymi wełnistymi kępkami, krążyła tam i z powrotem, delikatna i energiczna, wprawiona w drapaniu i masowaniu, po całym ciele zwierzęcia, które pomrukiwało z zadowolenia, podczas gdy jego pan kontynuował rozmowę, od czasu do czasu wtrącając słowa z myślą o psie.

– Co, mój Chummy, prawda, że jest nam razem dobrze?

Byłam pod wrażeniem tej grubej, gruzłowatej dłoni, zeszywniałej wiekiem, która okazywała się miękka i falująca pośród psiej sierści, i pod jeszcze większym wrażeniem tego głosu, który gdy kierował się do psa, obniżał się o ton, odziewał w welur, stawał się intymny. Tym niskim, pieszczącym głosem mężczyzna wyjaśnił mi, że jego Chummy boi się burzy. To grzmoty go przerażają, rzekł, trzeba go uspokajać, to dlatego zatrzymuję go w środku, kiedy szaleje burza, i głos wiolonczeli gdzieś się zgubił, a Charlie na nowo przyjął ton wielkiego pana z lasu, który nie da sobie w kaszę dmuchać.

Falująca dłoń i aksamitna intymność głosu powróciły nieco później, gdy rozwijał zrolowane futra, żeby pościelić mi łóżko.

Burza ani trochę nie straciła na sile. Z dachu kapąco dokładnie pośrodku jedynej izby w chacie. Charlie wiedział o przecieku i postawił na podłodze garnek. Dźwięczenie wody w garnku, deszcz, który stukał w okna, trzaskanie ognia w kuchence i Chummy, który chrapał spokojnie pod pieszczotami swojego pana, chata rozbrzmiewała ciepłym i dodającym otuchy życiem. Byłam zachwycona zaproszeniem, by zostać na noc.

Rulony z futer leżały na stercie w rogu. Było ich co najmniej dwadzieścia. Bardzo praktyczne podczas wielkich zimowych mrozów, oświadczył Charlie w odpowiedzi na moje zdumione spojrzenie i wyobraziłam go sobie przy pięćdziesięciostopniowym mrozie, zagrzebanego pod górą zwierzęcych skór, Chummy'ego prawdopodobnie leżącego w łóżku razem z nim i chatę bez odgłosów innych niż kuchenka spalająca drewno żarłocznymi płomieniami.

Nie polował już, odkąd za sprawą ekologów ceny spadły, ale zachował ostatnie zdobycze i z każdym rozwijanym futrem przychodziła mu do głowy historia, historia zwierzęcia, które zostawiło mu swoją skórę. Mówił coraz wolniej, jego głos stawał się coraz krągłyjszy, w miarę jak wracała mu pamięć o zwierzęciu, o miejscu, gdzie żyło, tropie, którym podążył, sposobie, w jaki złapało się w pułapkę, wszystko to opowiadał mi ciepłym, otulającym tonem. Biedna mała matka, mówił, skórą własnej dłoni gładząc skórę bobra, nie powinna była się tam znaleźć.

Lubię historie, lubię, kiedy ktoś opowiada mi swoje życie od samych początków, wszystkie zawirowania i wszystkie salta w głębinach czasu, które sprawiają, że

sześćdziesiąt, osiemdziesiąt lat później osoba ląduje z tym spojrzeniem, tymi dłońmi, tym sposobem oznajmiania wam, że życie było dobre albo złe. Pewna stara kobieta spośród wszystkich tych, do spotkania z którymi zaprowadziły mnie moje poszukiwania, pokazała mi swoje dłonie, dwie długie, smukłe białe dłonie, spoczywające na kwiatowym wzorze sukienki, a następnie ułożone na stole. Spójrz, powiedziała, ani jednej plamki, ani jednego pęknięcia na skórze, są takie jak wtedy, gdy miałam dwadzieścia lat. Dłonie były jej trofeum, jej największą dumą. Opowiadała o pięciorgu dzieciach urodzonych jedno zaraz po drugim, farmie uleciałej z dymem, mężu, który zginął w Wielkim Pożarze z tysiąc dziewięćset szesnastego roku, ciasnym mieszkaniu w mieście, dzieciach, które głodują, i o sprzątaniu, sprzątaniu, sprzątaniu u każdego, kto płacił pensję, całe życie w wodzie z mydlinami i ani jednego odbarwienia, ani jednej szczeliny.

Biedna mała matka, mówił Charlie, a ja miałam wrażenie, że trafiam do jednej z tych wielkich życiowych historii, w których gustuję. Czteroletnia samica bobra złapała się w pułapkę Charliego z trojgiem młodych ledwie ukształtowanych w jej brzuchu. Nie powinna była się tam znaleźć, chciałem samca, tłustego rudego samca, prawie płowego, bardzo rzadki odcień, cenne futro. Znałem całą rodzinę, która mieszkała w żeremiu na wąskiej zatoce jeziora. Byli tam matka przygotowująca gniazdo na wiosnę, troje młodych z zeszłorocznego miotu i mój gruby, złotawy pasza, który nie dawał się schwytać w żadne z zastawionych przeze mnie sideł. Dostałem jednego z młodych samców w styczniu, później kolejnego w lutym, piękne zdobycze, ale nic w porównaniu z pozłotami mojego paszy. Zazwyczaj zamykam pułapki w marcu, wraz ze zbliżaniem się wiosny futro traci połysk, lecz wszedł mi na ambicję, chciałem złota i zostawiłem pułapki otwarte. Biedna mała matka, nie powinna była wychodzić ze swojego gniazda.

Była też historia lisiątka, które złapało się łapą we wnyki na zające i płakało jak niemowlę, wilka, który śledził Charliego i obserwował go wzdłuż całej jego traperskiej trasy, wiosennego niedźwiedzia, na którego mężczyzna się natknął. Trochę zajęło mi zaśnięcie wśród tych wszystkich istnień, o których mi opowiedziano. Miałam wrażenie, że słyszę wilka, lisa i bobrzą matkę, jak wzdychają z nostalgią na wspomnienie życia, które należało do nich, a które mnie służyło teraz za pościel. Ich zwierzęcy zapach był silny i wyrazisty. Przewracałam się z boku na bok w poszukiwaniu haustu powietrza, który nie byłby zaimpregnowany ich wonią. Do tego dochodziły pochrapywania Charliego, które momentami osiągały piekielny poziom decybeli i trąbiły do wtóru z pomrukami grzmotu.

Rano obudziłam się późno. Chata była spokojna i ciepła. Słysząc było jedynie trzaskanie ognia w kuchence. W chwili gdy zapadałam z powrotem w sen, wyczułam spojrzenie Charliego.

Siedział przy stole w aureoli szarego światła. Pomieszczenie przecinał promień posrebrzanego kurzu wpadający przez dwa miniaturowe okienka znajdujące się naprzeciwko siebie. Pośrodku świetlistego promienia – siwa głowa Charliego otoczona nimbem szarości

niczym ikona. Przypatrywał mi się z uwagą i zdumieniem, spojrzeniem ciężkim od pytań.

Mam w zwyczaju spać nago i przez moment sądziłam, że rozebrałam się w czasie snu. Szybki rzut oka uspokoił mnie, wciąż miałam na sobie dzinsy i bawełnianą bluzę, ale pojęłam, co intrygowało i niepokoiło starca, gdyż okazało się, że leżę w niefortunnej pozycji, z nosem zagrzebanym w masie czarnego wełnistego futra, ramieniem obejmującym tę ciepłą masę i dłonią w zagłębieniu brzucha zwierzęcia. Spałam z jego Chummym.

Szybko wyplątaliśmy się z łóżka, Chummy i ja, żeby dołączyć do Charliego, który nie skomentował sytuacji. Zajął się raczej dodawaniem mi otuchy w kwestii wstającego dnia, był to swego rodzaju sposób, żeby mi powiedzieć, że wróciła piękna pogoda, przede wszystkim zaś, żeby dać mi do zrozumienia, że nie mam już żadnego powodu, by marudzić w tym zakątku.

Mimo to zaprosił mnie na śniadanie. W menu znowu ziemniaki, tym razem przysmażone ze skwarkami, i bardzo słodka herbata.

Rozmowa jakoś się nie kleiła, było niezręcznie, Charlie odpowiadał na moje pytania jedynie pomrukami. Niełatwo przyznając się do porażki, ale tym razem musiałam spojrzeć prawdzie w oczy, będę zmuszona odjechać, niczego od Charliego nie wyciągnąwszy, nawet kolejnej traperskiej opowieści. I wtedy zdarzył się cud.

Drzwi się otworzyły i wszedł Tom.

– Proszę o wybaczenie, nie wiedziałem, że masz narzeczoną.

Gdy chodziło o tego tutaj, człowiek od razu wiedział, skąd się wziął, nie potrzebował opowiadać swojej historii. Jego głos przepalony pićm i papierosami zdradzał lata spędzone na marginesie. Wysoki, kościsty, kilka włosów rozsianych wokół odsłoniętej czaszki, jedno oko nieruchome, drugie rozbiegane, kompletne przeciwieństwo Charliego.

Jego sprawne oko omiotło pomieszczenie, a kiedy znalazło to, czego szukało, metalowe wiadro, które odwrócił, żeby zrobić sobie z niego siedzisko, zrozumiałam, że zajęłam jego miejsce.

– Co cię sprowadza do tego zakątka, moja piękna?

Nie jestem typem kobiety, którą spontanicznie się komplementuje. Mam sylwetkę, która wzbudza respekt, i spojrzenie zmieniające pierwszego lepszego nieszczęśnika w słup soli, ale byłam zachwycona tym „moja piękna”, sprośną uprzejmością starego człowieka, który chciał zaznaczyć swoje obeznanie z kobietami, co pospiesznie wykorzystałam, aby podjąć śledztwo: Wielkie Pożary, Boychuck, rzekomo martwy i pochowany, lecz mogący też przebywać gdzieś w jakiejś chacie w doskonałym zdrowiu, jeśli pozwolę staruszkowi zaplatać się w tych błazeństwach.

Tom nie poznał ani Wielkich Pożarów, ani tego Boychucka, który całymi dniami błędził wśród dymiących szczątków. Nie należy mnie brać za matuzalema, powiedział, utkwivszy swoje zdrowe oko w moich oczach, jestem za młody na przedpotopowe opowieści, to ja tu jestem najmłodszy. Mimo swoich młodzieńczych pretensji podzielił się ze mną starymi, już

mi znanymi historiami: o kobiecie, która urodziła w jeziorze, gdzie znalazła schronienie cała wioska, o innej, która rzuciła się na ścianę płomieni, i o dziecku, które poszło w jej ślady, i o jeszcze innej, po której w popiołach odnaleziono tylko obrączkę. Opowiedział mi to wszystko wymieszane z własnymi historiami, nie troszcząc się, czy w nie wierzę, czy nie, zdawał się mówić: jeśli mi nie wierzysz, to znaczy, że nic jeszcze nie przeżyłaś.

Z tego, co mi przedstawił, zrozumiałam, że był przemytnikiem złota, niebezpieczny zawód, o ile można to nazwać zawodem, podobny do tego, co robią dziś młodzi ludzie przekraczający granice z kokainą ukrytą w walizkach albo w jelitach. Tom regularnie kursował pociągiem między Toronto a Nowym Jorkiem z samorodkami złota przyklejonymi do wewnętrznej strony gitary, bo miał też za sobą karierę muzyczną, fałszywą czy prawdziwą, tego nigdy się nie dowiem, tak samo jak i reszty. Tego ranka przy stole Charliego było wszystko. Były historie miłosne. Pewna kobieta wykrzykiwała imię Toma na peronie jakiegoś dworca, pociąg odjeżdżał, kobieta wciąż krzyczała, jakaś rosyjska księżniczka, która tańczyła flamenco w hotelu, gdzie on występował, i która potrzasała trzymanym na ręku niemowlęciem, podczas gdy pociąg unosił Toma. A później, nagle, jego życie stało się życiem kulawego. Ściągnął na siebie poważny łomot, kiedy chciał oszukać grubą rybę – mężczyznę, który go zatrudnił. Zaczekał na górników przy stróżówce kopalni i zaczął negocjować z nimi bryłki na własny rachunek, gdy zjawiły się zbiry jego pracodawcy.

– Nie wierzysz? Jak sądzisz, w jaki sposób straciłem oko?

I podczas gdy kontynuował – bo jego życie nie skończyło się w wyniku urazów, miał wprawdzie połamane nogi, zapadnięte żebra i rozwalone oko, ale serce było nietknięte, zaznał więc innych miłości, innych przygód – podczas gdy streszczał mi to swoje niewiarygodne życie, zastanawiałam się, kim tak naprawdę jest ten człowiek. Nie był z rodzaju tych, którzy kurczowo trzymaliby się samotności w głębi lasu.

Charlie obserwował mnie z rozbawionym uśmiechem. Znał dobrze historie Toma, te prawdziwe i te nieprawdziwe, i niewątpliwie głowił się, jak ja to przyjmuję, całą tę gmatwaninę.

Tworzyli zabawną parę. Charlie, wielki, zrędlivy niedźwiedź, który kiepsko ukrywał przyjemność czerpaną z rozmowy, i wysoki chudzielec Tom, który wszelkimi sposobami starał się przykuć moją uwagę.

Co ten oryginał robił w lesie? Mężczyźni, którzy przez całe życie kisili się w brudnych hotelach, zwykle tam się starzeli. Spotykałam zużytych starców, ledwie zdolnych do podniesienia szklanki, którzy żyją niczym cienie wśród piwoszy i świetnie się w tym odnajdują. Mają swój stolik w odległym kącie, czasami dają się zaprosić pijącym, których najdzie ochota, by ugościć staruszka przy własnym stoliku. Prosi się ich o jakąś opowieść, droczy się z nimi, lekko się ich szturcha, a później się o nich zapomina. O stałych porach wycofują się na sjęstę do swojego pokoju, zazwyczaj w piwnicy, do pokoju ciemnego



i wilgotnego, bardzo często bez okna, cuchnącego kapciami i tytoniem. Byliby mocno zdziwieni, gdyby ich zapytać, czy są szczęśliwi. Nie mają potrzeby być szczęśliwymi, mają swoją wolność i boją się jedynie pracownicy socjalnej, która może przyjść i im ją odebrać. Dokładnie tak odpowiedział mi Tom, kiedy zapytałam, co sprowadziło go na ten koniec świata.

– Wolność, moja śliczna, wolność wyboru swojego życia.

– I swojej śmierci – dorzucił Charlie.

I wybuchnęli gromkim śmiechem.

Tom mieszkał w jednym z tych przywodzących na myśl jaskinie hoteli. Zamiatął, mył szklanki i przeganiał muchy. Nadano mu tytuł dozorca, ale nikt nie dał się nabrać, był to sposób, by uchronić dumę honorowego pijaka, który miał za sobą lepsze dni. Tom wyżyłopał więcej niż jego przydział, głównie szkockiej. Szkocka to mój drink, wciąż mam w uszach dźwięk kostek lodu w szklance, na samą myśl o tym drzę. Zdarzało mu się zapominać o swoim wieku i zaprawiać się, jakby był młodzieniaszkiem. Były to libacje trwające dniami i nocami, które kończyły się delirium i hańbą. To one któregoś dnia zawiodły go w stan śpiączki, do szpitala i do pracownicy socjalnej. Kobiety jeszcze masywniejszej niż ty, jeśli mogę sobie pozwolić. Ogromna pracownica socjalna zapalała uczuciem do starca, i to był koniec wolności biednego Toma. Więcej niż masywna pragnęła jego szczęścia w czystym pokoju domu dla seniorów i z diabelną energią zaangażowała się w bitwę o uznanie go za niesprawnego fizycznie i umysłowo, cierpiącego na demencję alkoholową i niezdolnego do kierowania własnym życiem. Udało jej się nawet wygrzebać skądś dwoje siwiejących dzieci Toma, mężczyznę i kobietę, którzy mgliście przypominali sobie, że widzieli go w dzieciństwie, i którzy podpisali stosowne papiery.

– Nadawałem się na śmietnik!

– Kiedy się zjawił – ciągnął Charlie, który pozwolił sobie przejąć opowieść – wyglądał jak zajaczek, który właśnie uciekł przed sforą wilków.

Nie miałam pojęcia, jakim cudem trafił do tej pustelni w głębi lasu, chyba że decyzja była szybka i nieodwołalna.

– W dwie minuty zawiązałem węzełek i w drogę po wolność!

I znów gruchnął salwą śmiechu, towarzyszył mu Charlie, który porzucił wszelką rezerwę i zanosił się grubym, donośnym rechotem. Dwaj starcy bawili się jak dzieci na myśl o ciosie zadany wszystkim pracownikom socjalnym tego świata, które chcą zamknąć starych ludzi w umieralniach.

Charlie zapomniał, że ma mi za złe spanie z Chummym, i jego spojrzenie było niemal radosne, kiedy na mnie spoczęło. Wstał, by nalać wody do zagotowania, i podczas gdy gmerał wśród garnków, Tom zainicjował wymianę docinków i żarcików, jakby był w jednym z tych hoteli, gdzie robił karierę jako wstawiony błazen, i jakbym ja w pojedynkę reprezentowała salę śmiejących się gości.

– Widzisz tego tam wielkoluda, który bawi się w perfekcyjną panią domu? No cóż, nie widzisz go tak naprawdę, to duch, nie żyje od piętnastu lat. Jeszcze raz, Charlie, jak to się nazywa?

– Niewydolność nerek.

– Niewydolność nerek, powiedział mu lekarz, i trzy zabiegi czego, żeby umrzeć na wolnym ogniu?

– Hemodializy, trzy zabiegi hemodializy tygodniowo.

– To było o trzy za dużo i nasz Charlie nisko skłonił się temu pięknemu światu, który dobrze mu życzył, i w ten oto sposób odnajdujemy go dziś robiącego nam herbatę. Nie masz do kompletu ciasteczek z cukrem, mój Charlie?

Ciągnęliby to pewnie dalej i, od słowa do słowa, poznałabym historię Charliego, gdybym nie okazała zbytniego zainteresowania rozmową. Oko Toma zwężyło się tak bardzo, że stało się czarną szparką, podczas gdy drugie, oko szalone, strzelało na wszystkie strony, by wreszcie zatrzymać się na mnie.

– Nie pracujesz dla rządu, mam nadzieję?

Zastanawiałam się, które z nich jest żywe, z oczu Toma, czy tym zdrowym było oko z marmuru, czy powinnam raczej śledzić wędrówki drugiego. Ten mężczyzna niejedno chował w zanadru. Był zdolny do najbardziej nedorzecznych wygłupów, ale to nie powinno nikogo zmylić, pod błazenadą kryła się stara, sprytna małpa i szalone oko równie dobrze mogło być tym, które przetrząsa wasze wnętrza, podczas gdy oko nieruchome odwraca waszą uwagę.

– Bo jeśli pracujesz dla rządu, to od razu ci powiem, że tutaj nic nie znajdziesz, my dla nikogo już nie istniejemy.

Nadszedł czas, żebym wyciągnęła swojego asa z rękawa – fotografie z portfolio, w przeciwnym razie straciłabym tę odrobinę zaufania, którą sobie zdobyłam. Zazwyczaj zachowuję tę chwilę na sam koniec, kiedy wyczuwam, że muszę zostawić jakiś ślad na następne spotkanie. Sesja zdjęciowa odbywa się przy drugich odwiedzinach. Obiekt ma czas ponownie podumać o swoich wspomnieniach i potajemnie zapragnąć mojego powrotu. Nikt nie oprze się idei bycia w centrum czyjejś uwagi. Najbardziej zaparty starzec okaże się miękki niczym wosk, kiedy ujrzy mnie przybywającą po raz drugi. Zjawiam się z całym majdanem. Ze statywem, wistą z miechem i czarną płachtą. Robię zdjęcia w starym stylu. Ze względu na precyzję ziarnka, które poszukuje światła w zagłębieniach ciała, i ze względu na długość ceremoniału.

Moje portfolio zawiera około stu fotografii, w większości portretów, ale jest też kilka ujęć zrobionych na żywca nikonem, które nie mają innego celu, jak tylko oswoić obiekt przy pierwszym spotkaniu.

Charlie nie rozpoznał na moich zdjęciach nikogo, ale Tom odnalazł paru znajomych. Kobieta o oczach w odcieniu delikatnego błękitu, Mary Gyokery, którą widział w ramionach

przyjaciela. Petera Langforda, wysokie, wychudzone truchło, które było niegdyś mistrzem boksu. Andrew Rossa, o spojrzeniu zasnutym kataraktami i bezzębnym uśmiechu, Andrew, który przez jeden dzień trzymał mnie w swoim małym, dwuipółpokojowym mieszkaniu, opowiadając o czterech godzinach, które spędził w jeziorze Porcupine, podczas gdy miasto płonęło. Samuela Dufauksa, cudownie ocalałego, znaleziono go w strumieniu młóćącego wodę z psem, któremu został powierzony. Jego matka pobiegła następnie do domu, żeby pomóc mężowi walczyć z ogniem. Oboje zginęli. Tom poznał go jako dorosłego człowieka, bogatego i w świątecznym nastroju. Właśnie odkrył mineralizację miedzi i celebrował to wydarzenie w hotelu, gdzie Tom brzdąkał na gitarze. Miał kieszenie wypchane pieniędzmi, wokół siebie mnóstwo przyjaciół, ale nasz człowiek obudził się pewnego pięknego ranka, nie mając już nic. Bez grosza przy duszy, lecz szczęśliwy, mógł wrócić do macania skał po lasach.

– A Boychuck? On też szukał minerałów?

Wiedziałam, że Boychuck przez jakiś czas badał skały, ale okazja była zbyt piękna, nie zamierzałam jej przepuścić.

Oczy Toma prawie się spotkały.

– Ted nie żyje, moja śliczna, i to nie dłużej niż od zeszłego tygodnia. Nadal mam na rękach pęcherze od kopania jego grobu.

Pęcherze na rękach, też coś! Ci starcy mają wnętrza dłoni zrogowaciałe aż do kości, kilka godzin z łopata nie sprawi, że pojawi się na nich choćby zmarszczka.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, który zastygł mi w kąciku ust. To ich przekonało, moja sceptyczna mina, żeby zaprowadzić mnie tam, gdzie pochowali Boychucka. Aby zaspokoić moją ciekawość, a potem żegnaj, drogi gościu, miałam wrócić, skąd przyszłam. Nic nie zostało powiedziane, lecz to się rozumiało samo przez się.

Wyruszyliśmy więc procesją, Tom, Charlie, ja i ich dwa psy, ponieważ Tom miał własnego, jasnego labradora reagującego na imię Drink, na pamiątkę dźwięczenia kostek lodu.

Przez jakieś sto metrów szliśmy wzdłuż brzegu jeziora, później wróciliśmy do lasu na dobrze wysieczoną ścieżkę, ślady maczety wciąż były świeże, a ziemia niemal gładka, można było po niej iść jak po kobiercu.

Jakiś pies wyszedł nam na spotkanie. Ten tutaj był naprawdę dziwny, niezbyt udana mieszanka malamuta z labradorem, ale to przede wszystkim w spojrzeniu zwierzęcia coś nie grało, jedno oko miał stalowoniebieskie, a drugie aksamitnie brązowe. Miałam wrażenie, że obserwuje mnie trzecie oko, umiejscowione pośrodku arabeski na czole malamuta.

– Kino, pies Teda – oznajmił Tom w ramach prezentacji.

U wylotu ścieżki psy pobiegły w stronę chaty otoczonej, tak samo jak u Charliego, skupiskiem różnorodnych budyneczków. Miejsce było zachwycające. Wzgórze schodzące łagodnym zboczem aż do jeziora pokrywała bujna zieleń, iglasty las, który pochłaniał

światło tego pięknego, słonecznego poranka i rozlewał je niczym długą, spokojną rzeką. To był majestatyczny spokój. Wysepka chatynek, usytuowana w szerokim prześwicie lasu u stóp wzgórza, wzruszała swoją kruchością. Małe stanowisko obserwacyjne oparte plecami o fortyfikacje lasu miało dla siebie rozciągający się przed nim ogrom jeziora. Wyobrażałam sobie poranki Boychucka spędzane na kontemplowaniu tego wszystkiego.

To, co mi pokazali jako jego grób, faktycznie mogło nim być. Ziemia była świeżo wzruszona na długości mogącej pomieścić mężczyznę średniego wzrostu, ale nic nie wskazywało na to, że kogoś tu pochowano. Żadnego krzyża, żadnej inskrypcji, nic, co mogłoby zaświadczyć o należycie pogrzebanej ludzkiej obecności, a co najbardziej kazało mi wątpić w to, że znajduje się tam ciało Boychucka, to całkowity brak pełnego szacunku skupienia u obu starszków. Zapalili papierosy i spokojnie dyskutowali między sobą. W żaden sposób nie zaprotestowali, kiedy psy wyciągnęły się, po kolei i na całą długość, na prostokącie pogrzebowej ziemi.

Był czas, żeby odejść. Nie miałam już powodu, aby zwlekać. Zapytałam jednak o przyczynę zgonu.

– Umarł na śmierć – odpowiedział Tom. – W naszym wieku nie umiera się inaczej.

Nie było pożegnań. Pozwolili mi odejść bez żadnego innego pozdrowienia poza gestem dłoni, kiedy odwróciłam się do nich, zanim wkroczyłam na ścieżkę, która miała mnie zaprowadzić z powrotem do mojego pick-upa. Chummy, jedyna cywilizowana istota w tej grupie, poszedł ze mną aż do ścieżki. Zdążyłam pstryknąć mu kilka zdjęć, nim Charlie go przywołał.

W drodze powrotnej usiłowałam wyobrazić sobie myśli kłębiące się w głowie biednego Charliego. Krzyknęłam do niego, że przywiozę mu zdjęcia jego psa. Sądził, że się mnie pozbył, a teraz musiał brać pod uwagę możliwość, że będzie jakiś następny raz.

Pobłądziłam w drodze powrotnej. Przedwczorajsze wskazówki mojego gospodarza nie były już takie jasne i zaplątałam się w labiryncie ścieżek, które zaprowadziły mnie do jeziora skapanego w świetle, tego samego jeziora, które każdego ranka witało moich starych przyjaciół i wzdłuż którego biegła solidna, ubita, piaskowa droga, ta zaś zawiodła mnie w prostej linii do samotnego hotelu, z którego wyruszyłam.

Mój gospodarz mnie zmylił. Kazał mi zrobić długą pętlę bezużytecznych kilometrów na zachód, podczas gdy istniała ta droga na wschód prowadząca bezpośrednio do Boychucka i jego kompanów.

Mieli protektora, człowieka, który brał na siebie pytania podróżników, opowiadał im byle co, wysyłał ich byle gdzie, był strażnikiem kluczy do ich pustelni. Byłam równocześnie zaintrygowana i poruszona tyłoma środkami ostrożności podejmowanymi, by podtrzymać wolne i trudne życie w głębi lasu.

Boychuck, nie Boychuck, wiedziałam, że wrócę.

*Historia ma też innego świadka i wkrótce zjawia się on na miejscu.*

*Widząc go takim, dalibyśmy mu parę lat po trzydziestce, ale ma ponad czterdzieści, a wierzy, że ledwie dwadzieścia. Jego mięśnie są wydatne i giętkie, włosy wiąże w węzeł na karku, nosi kółko w uchu, a gdybyśmy posunęli się dalej, powiedzmy, do wnętrza jego głowy, ujrzelibyśmy tam niewiarygodne zatrzęsienie pomysłów, bez przerwy czegoś poszukuje.*

*Prowadzi hondę TRX 350, nowy model, i ciągnie miniprzyczepę po drodze biegnącej wzdłuż jeziora. Kiedy chata Charliego pojawia się w polu widzenia, wznosi oczy ku dachowi, zawsze tak robi, upewnia się, czy komin dymi, czy Charlie tam jest, czy żyje.*

*To częsty gość w tym miejscu.*

*W zimie przyjeżdża rzadziej. Przybywa wtedy na wielkim skuterze śnieżnym, skandicu, potężnej maszynie, która nie boi się grubej śnieżnej warstwy i którą czasem maksymalnie dociska na zamarzniętym jeziorze. Wyprostowany na swoim pełnokrwistym rumaku, surfuje po wydmach śniegu utwardzonego przez wiatr, przelatuje z jednej na drugą, eksplorując próżnię, uczucie wymykania się wszystkiemu, bycia poza sobą samym, upaja się prędkością i zimnem, później zawraca w stronę chaty Charliego, by dostrzec trzy kolumny dymu uciekającego w niebo.*

*To także istota wolności, ale nie strażnik kluczy.*

*Na imię ma Bruno.*

## *Bruno*

Nie byli dumni, oznajmiając mi, że mieli gościa. Utrzymywała, że jest fotografką. Lecz najpierw musieli oznajmić mi śmierć Teda. Powinienem był się tego spodziewać. Ted był taki stary. Ale za stary, żeby zawracać sobie głowę umieraniem, jak mi się zdawało.

Umarł na śmierć, zapewnił mnie Tom, a ja wbiłem wzrok w Charliego. Ci dwaj tworzyli pudło rezonansowe. Kiedy chciało się wiedzieć, czy Tom mówi prawdę, rzucało się okiem na Charliego. W jego spojrzeniu nie było dysonansowej nuty. Ted faktycznie umarł w sposób naturalny.

Wszyscy trzej wiedzieliśmy, że ustalenie tego było ważne.

Pomiędzy staruszkami istniał pakt śmierci. Nie mówię „samobójczy”, nie lubili tego słowa. Zbyt ciężkie, zbyt patetyczne dla rzeczy, która w ostatecznym rozrachunku nie robiła na nich wielkiego wrażenia. Co się dla nich liczyło, to bycie wolnymi zarówno w życiu, jak i w chwili śmierci, zawarli więc porozumienie. I znowu, żadna tam przysięga z ręką na sercu, nic napuszonego, po prostu słowo dane sobie nawzajem, że nikt nie zrobi nic, żeby powstrzymać to, co musiało nastąpić, jeśli jeden z nich rozchoruje się do tego stopnia, że nie będzie już mógł chodzić, jeśli stanie się ciężarem dla siebie i innych. Porozumienie nie obowiązywało w przypadku złamania dłoni czy ramienia – jednoręki mógł sobie jeszcze jakoś radzić – ale nogi, nie ma w lesie nic ważniejszego. Lokomocja, mówił Tom, kładąc nacisk na wszystkie „o”, jakby powinny pomaszerować, gdy się je wymawiało. Porozumienie stwierdzało też, że jeśli będzie trzeba, starcy sobie pomogą. Nie pozwolą, żeby ten drugi, patrząc w niebo, rozpląnął się w cierpieniu i niegodnych warunkach.

Dawno temu zostałem dopuszczony do tajemnicy. W wyniku przypadkowej rozmowy, nie należeli do gatunku ludzi, którzy wystosowują obwieszczenia przy wtórze bicia w dzwony. Kiedy nadchodziło coś ważnego, mruzcili to pod nosem jak całą resztę, zwłaszcza Charlie, który był naczelnym mamrotaczem. Tom za to nigdy nie zatracił swojej hotelowej umiejętności, w dalszym ciągu miał gadane na miarę ladacznicy i obracał wszystko w żart. Lecz nie należało w to wierzyć, jego sokole oko było na miejscu, by na was popatrywać. To z Tomem się dyskutowało. Jeśli chodzi o Teda, trzeba było uważać, żeby nadażyć za jego nawracającymi myślami.

Konwersacje toczyły się w chacie Charliego, najwygodniejszej. Ta należąca do Toma była prawdziwie obskurną norą. Spędzaliśmy godziny, a czasami całe dni na grze w karty, pozwalając, by nasze myśli wypowiadały się same.

Ted się do nas nie przyłączał, nigdy tego nie robił, ale wiem, że był związany porozumieniem.

– Śmierć to nasza własna sprawa – rzucił kiedyś Tom.

Był luty, dzień śniegu i silnego wiatru, jeden z tych dni, który trzyma was w cieple przy porządnym ogniu, a my byliśmy w trakcie partii pokera. Dotarłem dwa dni wcześniej. W zimie przyjeżdżałem rzadziej. Zjawiałem się trochę jak Święty Mikołaj z kieszeniami pełnymi zapasów. Moje sanie w postaci pojazdu ski-doo aż ugiwały się pod ich ciężarem. Owoce, warzywa, ciastka, świeże i dojrzałe dla moich staruszków, i istotniejsze przejawy rozpieszczania, takie jak parki, kalesony, piła łańcuchowa, lampa naftowa, czasami także gazety. Bawiło ich sprawdzanie, jak świat radzi sobie bez nich.

Tym razem przywiozłem świder spalinowy. Wielka innowacja, nie będą już musieli forsować się przy użyciu szpikulców do lodu. Świder raz-dwa robi im dziurę w zamrzniętym jeziorze i będą mieli wody pod dostatkiem. I ryb, dorzucił Charlie, który chciał wypróbować maszynę na sąsiednim akwenu, gdzie szczupaki, mówił, były tak czarne, że aż niebieskie. Ale zerwała się zawieja, która trzymała nas dwa dni na graniu w pokera, a Charlie nie odpuszczał, chciał swojego szczupaka w kolorze nocnego nieba.

– Jutro, czy śnieg, czy wiatr, czy spadną na nas tony gówna, ja idę na ryby – ogłosił równocześnie z fullem z trójką królów.

– A kto będzie tym, który pójdzie cię znaleźć zamrzniętego i z wykrzywioną gębą?  
Tom nie stanowił konkurencji. Para waletów.

– Nie martw się, tak to zorganizuję, żeby w chwili śmierci mieć na ustach uśmiech.  
Ja też nie stanowiłem konkurencji. Nawet jednej małej pary i to głupie pytanie:

– Nadal chcesz wyjść śmierci naprzeciw, Charlie?

Cisza i porozumiewawcze uśmiechy z jednej i z drugiej strony stołu.

– Więc nikt tutaj nie boi się śmierci?

Byłem beznadziejny, naprawdę.

– Wyjmij no swoją puszkę po soli, Charlie.

Puszka stała na półeczce nad łóżkiem Charliego. Mały, cylindryczny pojemnik z cynowanej blachy. Zawierała białe kryształki wielkości gruboziarnistej soli. Strychnina. Trucizna na lisy, wyjaśnili, pozostałość po zastawianiu sideł, zabija lisa w trzy sekundy, a człowieka w mniej niż dziesięć.

Każdy miał swoją puszkę po soli i jeżeli któregoś dnia trzeba by pomóc, każdy wiedział, gdzie znajduje się puszkę drugiego.

Miałem się za twardziela, gotowego przyjąć to na klatę, ale kiedy słuchałem, jak dyskutują o własnej śmierci, jak gdyby chodziło o wysikanie się albo rozgniecenie pchły, czułem mdłości.

– Śmierć to nasza własna sprawa – rzucił Tom swoim szorstkim, donośnym głosem. A potem dodał spokojniej, bo wyczuł, że mi nieswojo: – Jesteś za młody, nie próbuj

zrozumieć.

Charlie, jak to miał w zwyczaju, pozwolił mu narobić hałasu, zanim sam postawił kropkę nad i.

– Dostałem już drugie życie gratis, nie wiem, co miałbym zrobić z trzecim.

Znałem historię Charliego. Opowiedział mi ją wcześniej. Niebanalna, ta jego historia. Żonaty, dwójka dzieci, zatrudniony na poczcie, traper pod koniec tygodnia. W tym cała rzecz – traper. To nie zawód, nawet nie hobby, to grubiaństwo, anachronizm, abominacja, pomyślcie tylko, zabójca dzikich zwierząt! Dzieci z sąsiedztwa śledziły go na ulicy i podglądały przez piwniczne okienko, jak oprawiał skóry. Wyczuwał ich przerażenie w mamrotaniach, które docierały do jego uszu.

A jednak to w lesie w pełni ogarniał rozumem swoje jestestwo, oddychał powietrzem świata, czuł przynależność do potęgi uniwersum.

W miarę jak posuwał się w latach, rozwinał w sobie nadzieję, że któregoś dnia będzie mógł tam umrzeć, niczym zwierzę, bez lamentów czy zapłakanych twarzy, wyłącznie cisza lasu przybyła pożegnać jedno ze swych stworzeń, które odchodzi, by dołączyć do zamieszkujących podziemne światy duchów bobra, łasicy, norki, lisa, rysia, swoich prawdziwych towarzyszy.

I proszę, oto jego lekarz, informując go o niewydolności nerek i trzech cotygodniowych zabiegach hemodializy, zaoferował mu godną śmierć.

Był wtedy na emeryturze, dzieci dawno się wyprowadziły, żona miała zabezpieczenie w postaci renty. Załatwił, co trzeba, w banku i u notariusza, i poszedł czekać na śmierć.

– Zadekowałem się w moim obozie traperskim i czekałem, by umrzeć, ale ponieważ to nie nadchodziło, przyszła mi do głowy myśl, że podarowano mi drugie życie. I to postanowiłem przeżyć na własną modłę.

Czekał tydzień, a potem zostawił obóz tak, jakby wyruszył na swój traperski szlak.

– Z pewnością odbyły się poszukiwania, żeby odnaleźć moje ciało, ale mój teren traperski był ogromny. Można było przypuszczać cokolwiek, że się utopiłem, że gniję gdzieś w bagnie. Moja oficjalna śmierć nie stanowiła problemu, tego jestem pewien.

A niewydolność nerek?

– Sikam tak samo dobrze jak pierwszy lepszy człek. Lekarze nie są magikami, popełniają błędy jak wszyscy pozostali. Mój się pomylił.

Charlie zjawiał się więc pewnego dnia ze swoim ekwipunkiem i Ted pozwolił mu osiedlić się niedaleko jego obozu. Tom przybył parę lat później. Należy sądzić, że Ted uznał, iż mają w sobie to, co trzeba, w przeciwnym razie na nic by się nie zgodził.

Ted był istotą złamaną, Charlie – miłośnikiem przyrody, a Tom przeżył wszystko, co wolno przeżyć. Dzień po dniu starzeli się razem, osiągnęli sędziwy wiek. Pozostawili za sobą życie, za którym zamknęli drzwi. Bez najmniejszej ochoty, by do niego wracać, żadnej ochoty poza tą, by wstać rano z poczuciem, że mają dzień wyłącznie dla siebie i nie ma



nikogo, kto mógłby się temu sprzeciwić.

We trzech stworzyli kompanię o wystarczająco dużej rozpiętości i takich odległościach, by pozwolić każdemu uważać się za jedynego mieszkańca swojej planety. Każdy dysponował autonomicznym obozem z widokiem na jezioro, ale niemożliwością było dojrzenie sąsiada, zatroszczyli się, by zostawić grube pasmo lasu między jednym a drugim.

Obozowisko Charliego było najlepiej utrzymane. Cztery chaty. Jedna mieszkalna, druga na drewno do ogrzewania, wygódka, szopa i nic, co walałoby się wokół. Żadnej łopaty, siekiery, żadne narzędzie nie leżało porzucone na pastwę losu, podczas gdy u Toma trzeba było wzniesć oczy w stronę komina, żeby odgadnąć, gdzie znajduje się jego chata mieszkalna, tak wszystko było zagracone i w kiepskim stanie.

Co do Teda, nikt nigdy nie postawił stopy w jego domostwie. Niemożliwością jest prześledzenie toku myśli tego starca wśród jego czterech ścian, niemożliwością – wiedza, czym żywiło się jego spojrzenie. Ted zamykał się na całe dni, tygodnie, podczas wszystkich zimowych miesięcy, a zimowe miesiące na Północy są nieskończone. Widywało się jego ślady w śniegu, wtedy było wiadomo, że poszedł zebrać wnyki na zające. Widywało się gniazdo trocin w pobliżu jego szopy i wiedziało się, że zrobił sobie zapas drewna na rozpałkę. Ale jego samego nigdy się nie widywało, nie widywało się go miesiącami, a później nagle się pojawiał.

Waham się przed stwierdzeniem, że Ted był malarzem, tak bardzo to, co znaleźliśmy w jego chatach, było do niczego niepodobne, ale to właśnie zajmowało go w ciągu długich zimowych miesięcy i to przekonało go, by pozwolić mi zasadzić marihuanę w jego lesie.

Przyjechałem tam, podążając za legendą Boychucka: chłopiec, który chodził wśród dymiących szczątków, mężczyzna, który uciekł przed swoimi upiorami do lasu, jeden z ostatnich ocalałych z Wielkiego Pożaru w Matheson z tysiąc dziewięćset szesnastego roku. Ta historia, słyszałem ją prawie wszędzie. Małe miasteczka Północy lubią powtarzać swoje legendy. Wystarczy rozłożyć się w jakimś barze, a po dwóch czy trzech piwach ktoś usiądzie u waszego boku i jeśli dacie mu czas, opowie wam wszystko, co chcecie.

Otwarta rana, mówiono najczęściej.

Tak samo powiedział mi też Steve.

Steve to absolutny brak złudzeń, mężczyzna, który nie ma w sobie ani ambicji, ani próżności. Panował nad swoimi włościami z całkowitą beztróską. Hotel nie należał do niego. Właściciel zostawił go pod jego opieką, czyli tak naprawdę na pastwę losu.

Jego zdystansowane spojrzenie, to mi się w nim spodobało.

Byliśmy przy naszym drugim joincie. Steve okazał się ich wielkim amatorem, zaciągał się z zapalem, jakiego u nikogo innego nie widziałem.

Umościliśmy się w powolności, którą lubię, a on rzucił w moją stronę, jakbyśmy dyskutowali na ten temat całymi godzinami:

– Idealne miejsce na to, czego szukasz.

Ani on, ani ja nie wspomnieliśmy wcześniej o moim projekcie plantacji. Lecz obaj wiedzieliśmy, jak się sprawy mają. Nie przyjechałem do tej zapyziałej dziury, żeby grać w „kocha, lubi, szanuje”.

– Idealne miejsce, ale niełatwo będzie przekonać starego.

Nazajutrz ruszyłem ścieżką, którą mi wskazał, piaskową drogą, która zaprowadziła mnie bezpośrednio do chaty starego mężczyzny.

Ted na mnie czekał. Usłyszał mnie. Ten człowiek znał swój las. Usłyszał miękkie kroki moich espadryli na piasku i czekał na mnie, siedząc na pieńku przed swoją chatą z miną kogoś kontemplującego własne myśli, ale czujny na moją obecność. Sam mógłbym usłyszeć każdy z moich kroków, gdybym nie był tak ogłuszony przemową, którą zamierzałem zaserwować staremu.

Włochaty, długi, masywny, koszula w kratę i robocze spodnie, w każdym calu odpowiadał wyobrażeniu, jakie ma się o człowieku z lasu. Wystarczyło jednak, żeby pozdrowił mnie spojrzeniem, abym zrozumiał, że poznał świat, że doświadczył więcej, niż mu było pisane.

Byłem wtedy młodym mikrusem, a on był już bardzo stary, rozmowa zapowiadała się na trudną. Nie zrobił nic, żeby mi pomóc. Pozwolił mi zaplątać się w wypowiedzi, która zmierzała we wszystkich kierunkach naraz. W niektórych momentach sam nic z niej nie rozumiałem. A on – ani słowa, ani cienia ruchu na tym swoim pieńku. Pozwolił, bym zagłębił się w niemożliwe wyjaśnienia, aż w końcu, nie mogąc się dłużej słuchać, postanowiłem zamilknąć.

Posłał mi spojrzenie.

– Dałoby się zrobić – powiedział prosto.

Przez chwilę byłem wystarczająco próżny, by wierzyć, że zawróciłem mu w głowie: uwodzicielską mocą nielegalności, okazją, żeby dać prztyczka w nos światu, który odrzucił. Ale szybko zrozumiałem, że stary człowiek potrzebował pieniędzy. Autorytatywnie negocjował cenę.

Chciał lnianego płótna, pędzli z sierści kuny, ze świńskiej szczeciny, oleju z pierwszego tłoczenia, kolorów o wysokiej pigmentacji. Wszystko to z firmy Windsor & Newton, od renomowanego dostawcy, naturalnie bardzo drogiego, powyżej jego możliwości finansowych, który swoją siedzibę miał w Toronto. Ted malował na sklejce rozsypującymi się pędzlami i olejami, które nie zachowywały koloru. To Steve był odpowiedzialny za jego zaopatrzenie, a on nie jeździł dalej niż do sklepu żelaznego w sąsiednim mieście, dwieście kilometrów w obie strony.

Więc Ted malował. To nie było dla nikogo tajemnicą. Na jego ubraniach widniały liczne plamy, kiedy wychodził ze swojej hibernacji. Zawsze byłem zaskoczony, widząc na jego odzieniu tyle rozbłysków koloru. Zamawiał u mnie przede wszystkim ciemne barwy. Czerń węglowa, czerń grafitowa, szary bielony, niedefiniowalny brąz zwany umbrą. Ale co rzucał na płótna, nie mieliśmy zielonego pojęcia.

Obozowisko Teda było usytuowane w połowie drogi pomiędzy tymi należącymi do Toma i Charliego. Każdego ranka, nakarmiwszy piecyk i zjadłszy na śniadanie ziemniaki ze skwarkami, Tom wyruszał w kierunku chaty Charliego. Każdego ranka mijał siedzibę Teda i rzucał okiem na komin. Czy dymił w linii prostej, czy pluł i czkał małymi obłoczkami albo rozlewał się niską chmurą, każdego ranka opisywał to Charliemu podczas ich pierwszej rozmowy.

Dym ulatniający się z komina Teda był wskazówką, że mężczyzna wstał tego rana, że on także rozpałił w piecu, żeby zrobić ziemniaki ze skwarkami, odnalazł myśli z poprzedniego dnia i rozpoczął swój dzień samotnego człowieka.

Studiowałem kominy z taką samą uwagą. Musiałem się spodziewać, że któregoś dnia śmierć zajrzy tu przede mną. Co dziwne, sądziłem, że to Toma zabierze jako pierwszego. Był najmniej posunięty w latach z całej trójki, wciąż przepełniony turbulencjami ze swojego niegdysiejszego życia, nigdy spokojny, zawsze gotowy opowiedzieć to czy tamto, ale poharatany przez szaleństwa młodości, jednooki, o płytkim oddechu i niesprawnej nodze. Zawsze oceniałem, że nie ma tego, co trzeba, a jednak trzymał się dobrze.

O śmierci mówili jak o deszczu albo ładnej pogodzie, musiałem się do tego przyzwyczaić.

– Piękny dzień.

– Taaa, piękny dzień, żeby umrzeć.

Nie było to ani smutne, ani bolesne, po prostu ewentualność, którą przywoływali jak każdą inną. Bawili się faktem, że stali się tacy starzy, przez wszystkich zapomniani, wolni od samych siebie. Mieli poczucie, że zatarli za sobą ślady.

Charlie i Tom droczyli się spokojnie jak zwykle.

– Myślisz, że dzisiaj umrzesz, mój Charlie?

– Jeśli czeka mnie jeszcze jedna taka noc, to może jutro. Ale jeśli to musi być jutro, to chciałbym, żeby stało się to o zachodzie słońca. Zawsze chciałem umrzeć przy zachodzącym słońcu.

– W takim razie jutro o zmierzchu.

– Tak jest, o zmierzchu. Ale gdyby rzecz za bardzo się opóźniała, odłożyłbym to na później. Nie chcę umierać po ciemku.

– Nie po ciemku. Jeżeli będziesz miał za dużo kaprysów, mój Charlie, ona nigdy cię nie zechce, przekroczysz próg setki, a kiedy tam dotrzesz, będziesz stary, naprawdę stary, nic już nie będziesz wart, nie będziesz już nawet wart tyle, co twoje gówno.

I Tom brał mnie na świadka:

– Ten uparciuch nigdy nie zdecyduje się umrzeć.

Później cisza. Nikogo to nie niepokoiło. Byliśmy przyzwyczajeni do tych cisz, gdzie każdy mógł złączyć się z własnymi myślami.

Tym razem cisza była długa, zadymiona i ciężka.

Domyśliłem się, że rozmowa nie zostanie wznowiona od banału, kiedy Charlie skulił się

nad swoją filiżanką herbaty, po czym rzucił na mnie okiem, zanim znów pochylił się do przodu, jakby to, co miał do powiedzenia, było mu pisane.

– Ted nie żyje.

Powinienem być się tego spodziewać, któregoś dnia to musiało nastąpić, ale nie byłem gotowy, nigdy się nie jest, i było to przejmująco bolesne. Ostrze, które przeniknęło mnie na wskroś.

Ted był człowiekiem stworzonym do wieczności, nie mógł umrzeć w swoim łóżku jak byle kto, bez innego znaku jak tylko niemy komin.

Miał na sobie podkoszulek i kalesony, gdy odkryli go w jego łóżku, na wpeł otulonego kołdrą, żadnego śladu walki z cierpieniem i, pospieszył doprecyzować Charlie, żadnej piany na ustach.

– Nie było piany, jesteście pewni?

Chciałem wyzbyć się wątpliwości. Idea śmierci przez zażycie strychniny nigdy mi się nie podobała, oni swobodnie na ten temat żartowali, ale mnie to ścisnęło za serce.

– Umarł na śmierć – powiedział jeszcze Tom.

A Charlie dorzucił, że nieomal miał uśmiech na ustach, wyglądał na tak zadowolonego ze swojego odejścia.

– Uśmiech u nieboszczyka to ostatnia uprzejmość.

Ted zostawił swojemu trupowi uśmiech, trudno to sobie wyobrazić, nigdy nie widziałem, żeby się uśmiechał.

Chciałem zobaczyć miejsce, gdzie go pochowali.

Wyruszyliśmy więc. Psy na czele kolumny, Charlie, jego ciężkie i ciche niedźwiedzie kroki, Tom kuśtykający u jego boku i ja, zamykający pochód. Prawie można było uwierzyć w piękny letni dzień, jakieś prace, które gdzieś tam wypatrują nas z nadzieją, i czekającego na nas Teda usadowionego na pniaku przed drzwiami. Ale Ted nie miał już dostarczać nam prac. Nie będzie więcej ścinania drzew dla Teda, nie będzie doprowadzania chaty do stanu używalności, nie będzie ścieżek do utrzymywania, nie będzie polowań na łosie. Ted uśmiechał się do swojego trupa gdzieś pod ziemią.

Żdźbła trawy zaczęły pojawiać się na grobie. Na prostokącie ziemi o, zdawało mi się, bardzo skromnych wymiarach jak na człowieka, którym Ted był. Jego chata znajdowała się kilka metrów dalej, bez życia, bez najmniejszej smużki dymu. To w jej stronę kierowały się nasze myśli. Powłoka pogrzebana u naszych stóp była niczym, prawdziwy pomnik nagrobny Teda stanowiła jego chata.

Trzeba było tam pójść. Żeby oddać mu ostatni hołd czy z ciekawości, nie umiałbym powiedzieć. Żywiłem przekonanie, że trzeba wejść do jego chaty, zobaczyć to, co miał przed oczami przez te wszystkie lata, poczuć zapachy, którymi się otoczył. Zobaczyć, powąchać, usłyszeć, dotknąć. Trzeba było, żebyśmy przesiąkli życiem Teda, abyśmy mogli się z nim pożegnać.

Poszliśmy. Ja na przedzie, Tom i Charlie wlekli się tuż za mną. Weszli tam, żeby wynieść zwłoki, ale teraz się wahali.

Na pierwszy rzut oka nic tak naprawdę różnego od chaty Charliego. Izba o powierzchni dwudziestu metrów kwadratowych. Dwa okna usytuowane naprzeciwko siebie. Pod tym z prawej zlew ze starego emaliowanego żeliwa i blat będący w rzeczywistości jedynie zbitymi razem deskami pokrytymi linoleum, przy końcu których królował piecyk na drewno, główny element wyposażenia każdej szanującej się chaty. W głębi, w najciemniejszym kącie, alkowa, materac na ramie z ciosanego siekierą drewna. Jadalnia, wbrew regułom, znajdowała się w drugim ciemnym rogu pomieszczenia. Stół, znowu z ciosanego drewna, i jedno jedyne krzesło. Ted nie przyjmował gości, to było wiadome. A w najbardziej nasłonecznionej części, pod oknem z lewej, tym, które wychodziło na południe, sztaluga, wciąż z tego samego ciosanego drewna, na której spoczywało płótno pokryte mglistą szarością poprzecinaną czernią z kilkoma plamami koloru. Bardzo niepewne były te kolory. Czerwony, pomarańczowy, żółty, trudno stwierdzić. Nakładało się to na siebie, mieszało i pożerało nawzajem. Dziwne wrażenie świata, który rozwiewa się w zduszonym krzyku.

Były też inne obrazy oparte o ścianę, pokryte tym samym szarawym podkładem i paroma rozbłyskami koloru niczym fletowe nuty w requiem. Nic szczególnie radosnego, nic, co mogłoby pozostawić uśmiech na ustach trupa.

Zrobiliśmy obchód po pozostałych chatach.

Jak u Charliego, jedna służyła za rezerwę drewna, inna za szopę, między nimi buda, a z tyłu, na dużo bardziej dopracowanych fundamentach i mocno odcięta od świata, ponieważ nie miała żadnego okna, chata z kłódką u drzwi.

Kłódką w lesie to obraza, poważna przewina. Ted o tym wiedział, a mimo to zamknął drzwi swojej chaty na kłódkę.

Rozbiliśmy ją tępą stroną siekiery i znaleźliśmy się w obecności rzeczy niewiarygodnej. Od końca do końca chaty – obrazy podobne do tych, które przed chwilą widzieliśmy, całe setki obrazów, powiązane jedne z drugimi, i ciągle to wrażenie duszenia się w rozplywającym się świecie.

Obrazy zostawiały półorametrową wolną przestrzeń pośrodku chaty, rodzaj nawy, do której wpadała odrobina światła od drzwi wejściowych.

To tam staliśmy, Tom, Charlie i ja, zastanawiając się, co z tym wszystkim zrobimy.

Tom był zdania, że powinniśmy pozwolić chacie zapaść się w siebie.

– Czas zrówna to z ziemią.

Charlie nie był przekonany.

– Ted nie zrobił tego wszystkiego tylko po to, żeby dodać do ziemi warstwę próchnicy.

Ja, ja nie byłem przekonany o niczym, znajdowałem się w stanie największego pomieszania. Podejrzywałem, że czekali na tę chwilę, żeby obwieścić mi drugą nowinę.

– Mieliśmy gościa.

Nie byli z siebie dumni.

Ja też nie.

Sam miałem gościa do zapowiedzenia.

*Dochodzimy teraz do trzeciego świadka, Steve'a, absolutnego braku złudzeń, mężczyzny, który także odmówił światu. Odnalazł swoją wolność w zarządzaniu hotelem, który nie ma już sensu istnienia. Dociera się tam drogą gruntową, która z kolei krzyżuje się z odizolowaną szosą, a poza nią są tylko las i węgiel brunatny, węgiel nędzy, który nikogo nie interesuje, i jeżeli ktoś nie da się uwieść pieśni rujnacji jak fotografka, odnosi wrażenie, że czas się rozciągnął, że to miejsce pozbawione jest realności.*

*Steve liczy sobie z pięćdziesiąt lat, może mniej, nie ma wieku. To on przyjmuje zbłąkanych w drodze.*

*Co trzeba wiedzieć na temat Steve'a i Brunona: kochają nielegalność. Ich przyjaźń opiera się na odczuwanej przez obu potrzebie doświadczenia drugiej strony rzeczy, na nieco stromym, nieco śliskim zboczach, znanym tylko im, co daje poczucie niezwyklej wolności.*

*Steve jest wysoki, o długich nogach i ramionach, z pewnym napięciem w spojrzeniu i charakterystycznym dla siebie sposobem trzymania spojrzeń innych na dystans, ale jeśli na jakiś czas utkwicie oczy w jego oczach, opuści gardę i pozwoli się do siebie zbliżyć. Uwielbia rozmowy z nieznanymi, których przyprowadzi mu droga, choć udaje, że jest wręcz przeciwnie.*

*Bruno jest młodszy, smuklejszy, nie wyrzekł się świata. Wszędzie ma przyjaciół. Przychodzi i odchodzi, zawsze w ruchu, jest najmniej skłonny do kontemplacji spośród wszystkich, których dotyczy ta historia.*

*Będą musieli raz jeszcze sięgnąć do swojego umiłowania nielegalności, bo przybywa kolejny gość, kolejna kobieta, dla której będzie trzeba znaleźć nową tożsamość, nowy sposób zmagania się z życiem.*

# Steve

Jej włosy, najpierw jej włosy, to właśnie zobaczyłem jako pierwsze, szopę siwych włosów nad deską rozdzielczą, włosów tak mglistych, że powiedziałyby się, że to światło, chlup białego światła, a pod rozbłyskiem włosów – dwoje czarnych, przestraszonych oczu. Była malutka, wciśnięta w głąb siedzenia, nie mogłem dostrzec nic innego.

Usłyszałem silnik suburbana Brunona i wyszedłem długo przed tym, nim się zjawił. Biała plama za przednią szybą widziana z daleka mogła być czymkolwiek. Furgonetka Brunona była załadowana po sam dach. Narzędzia, materiały budowlane, ubrania, drobne prezenty dla naszych staruszków.

Dopiero gdy dotarł do miejsca, w którym stałem, zrozumiałem, że ta biała plama to głowa starej kobiety.

Pozdrowił mnie w zwykły sposób, dwoma palcami uniesionymi do czapki z daszkiem, co miało oznaczać: „wszystko jest okej”, ale po powolności jego ruchów poznałem bez trudu, że jest na maksa spięty. Dwa palce przy czapce, a po nich ani słowa, żadnego wyjaśnienia, cała jego uwaga zwrócona była w stronę tej małej, maleńkiej starej kobiety wbitej w siedzenie, która dużymi czarnymi oczyma chłonęła wszystko, co było do oglądania. Była zachwycona i przerażona tym, że tu jest.

Bruno delikatnie otworzył drzwi, zamknął je bezgłośnie, a później krokiem wilka, krokiem kota, nic z tego wszystkiego nie było do niego podobne, podszedł do drzwi od strony pasażera, starsza pani zaś powoli rozprostowała się, gramoląc się z siedzenia. Kim była ta kobieta? Pomyślałem o jakiejś dawnej małżonce. Nasi starcy zostawili za sobą przeładowane życia. Pomyślałem przede wszystkim o Charliem, który został prawowicie poślubiony i którego można było zażądać z powrotem.

Staruszka wydawała się naprawdę miniaturowa, wzrostu dwunastoletniego dziecka, bardzo krucha, lalka z porcelany, i wykonywała tylko drobne ruchy. Wsparła się na wyciągniętym ramieniu Brunona i posuwając się krokiem maleńkiej myszki, dała się poprowadzić w stronę tego, co wciąż nazywam hotelem Libańczyka, mimo że niewiele tu po nim zostało. Gość od lat nie prosił mnie o księgi rachunkowe.

– Bagaże – rzucił Bruno, wskazując głową tylne siedzenie, a ja poszedłem wydobyć spośród rozgardiaszu brązową walizkę, ku wielkiej uldze staruszki, która śledziła mnie wzrokiem.

Wolniutko dotarliśmy do wielkiej sali, oni z przodu, a ja z tyłu. Pomieszczenie robiło



wrażenie, przyznaję, ale rzadcy goście omiatali je podejrzliwym spojrzeniem, zanim weszli do środka. Rzecz w tym, że na ścianach sali wisiały trofea myśliwskie, które pozostawili po sobie właściciel i jego przyjaciele, poroża łosi, szeroko rozwarte pyski niedźwiedzi, rysiów, wilków, szponiaste, włochate, o dzikich oczach, niektóre zwierzęta zachowane w całości, wygięte w łuk na cokole, gotowe do skoku, efekt był obezwładniający. Zostawiłem wszystko w tym stanie, nigdy nie zadawałem sobie zbędnego trudu.

I oto ta mała starsza pani, która bynajmniej nie wyglądała na pogromczynię dzikich zwierząt, puściła ramię swojego obrońcy i ruszyła drobnym kroczkiem w stronę najstraszliwszego okazu w moim bestiariuszu: rysia płowego niczym zboże, warczącego z całą drapieżnością jego dużego, różowego pyska, rysia unieśmiertelnionego w potężnym skoku, z dwiema przednimi łapami gotowymi, by wyrwać wam połowę ciała, jeżeli się do niego zbliżycie. A to właśnie zrobiła staruszka. Zbliżyła się do cokołu, jej mglista głowa na wysokości tylnych łap podtrzymujących skok zwierzęcia, i przez chwilę trwała tak, nieruchomo i bez słów, później odwróciła się do nas. W jej całkiem pomarszczonej twarzy kryły się strach i fascynacja strachem. Długim, szczupłym palcem wskazała potwora wypchanego płową wściekłością. Nie miała bladego pojęcia, co to jest.

– Ryś, ciociu, to jest ryś. Chodź sobie usiąść, zrobię ci herbaty.

Ciociu?

Usadził ją w bujanym fotelu blisko okna, z walizką u stóp, i poszedł do kuchni. Podążyłem jego śladem. Był mi winny wyjaśnienie.

– Co nam tu przywiozłeś?

– Nie wiem, co mnie opętało.

– To naprawdę twoja ciotka?

– Siostra mojego ojca, nie wiedziałem nawet, że istnieje, nikt nie wiedział.

– Zechcesz mi powiedzieć, czemu ją tu przywiozłeś?

– Nie wiem, będziesz musiał mi pomóc.

Był nerwowy, zagubiony w swoich gestach, postanowił przygotować kanapkę i szukał szynki w szafie, chleba pod zlewem, jego dłonie przysuwały się i odsuwały, nie wiedząc, czego dotykają.

– Jak ma na imię?

– Gertrude.

– Nie mówisz serio?

– Owszem, lecz trzeba jej będzie znaleźć coś innego.

Zrozumiałem ledwie w połowie, ale się uspokoilem. Chodziło o zapewnienie damie fałszywych papierów, nic w tym skomplikowanego, zrobiliśmy to dla Charliego, później dla Toma, nie pamiętam już zresztą ich oryginalnych nazwisk. Ted tego nie potrzebował, nie uciekał przed nikim poza samym sobą.

To Bruno zajmował się papierologią, fałszywą i prawdziwą. Był od spraw zewnętrznych.

Ja i staruszkowie opiekowaliśmy się plantacją. Układ działał wcale nieźle. W ciągu piętnastu lat nikt nie przyszedł węszyć na naszych grządkach. Zbłąkani w drodze, myśliwi, wędkarze przyjeżdżali czasem zagubić się u moich drzwi. Szukali dziewiczych przestrzeni, gdzie człowiek nie postawił swojej stopy astronauty. Wysyłałem ich na zachód. Było tam wystarczająco dużo starych leśnych ścieżek holowniczych, żeby przez całe popołudnie zajmowali się krążeniem w kółko. Byli też nostalgicy Wielkich Pożarów, fanklub Teda, memorialiści, historycy obładowani magnetofonami, kamerami, aktówkami pełnymi papierów. Ci godzinami trwali na rozmowach i wracali bez słowa skargi, aż nadto szczęśliwi, że nie muszą się błąkać po lesie, zadowalali się tym, co im opowiedziałem. Tylko na fotografcie nie udało mi się zrobić wrażenia. Raczej dobrze zbudowana babka, a nawet barczysta. Musiałem szepnąć o niej słówko Brunonowi.

Ale w tej chwili była ta mała staruszka, która czekała w sali.

– Co ona zrobiła? Zabiła kogoś?

– Taaa, siekierą i swoimi delikatnymi rączkami.

Dobra. Na poważną rozmowę trzeba będzie poczekać.

Zastaliśmy ją drzemiącą w bujanym fotelu z głową opadniętą na pierś, rękami złożonymi na udach i otwartymi dłońmi, rozświetlała całe pomieszczenie.

Wyszliśmy chyłkiem, wieczność spędzona na liczeniu kroków, i powoli zamknęliśmy za sobą drzwi, kolejna wieczność, drzwi skrzypiały i zgrzytały z powodu nigdy nieoliwionych zawiasów, a my spojrzeliśmy po sobie, zdumieni własnymi ostrożnymi gestami, raczej zawstydzeni, nie przywykliśmy do czegoś takiego.

W rzeczywistości dużo bardziej skomplikowana niż wszystko, co mógłbym sobie wyobrazić, historia Gertrude, która dzięki naszej troskliwej opiece stała się Marie-Desneige, jest długa, bardzo długa. Kobieta miała osiemdziesiąt dwa lata, kiedy Bruno mi ją przywiózł, a jej historia rozpoczęła się sześćdziesiąt sześć lat wcześniej, gdy ojciec Gertrude oddał ją do szpitala psychiatrycznego. Miała wtedy szesnaście lat.

Historia była straszna, bez ustanku przerywałem Brunonowi, każdy kolejny element jego opowieści dokładał się do horroru, nie przestawałem mu powtarzać: to odrażające, a on przytakiwał, tak, to odrażające, i kontynuował, nieszczęśliwy z powodu tego, co miał do powiedzenia, ale kontynuował. Spędziliśmy prawie godzinę na oburzaniu się na historię Marie-Desneige.

Bruno nie znał przyczyn jej zamknięcia. Tak po prawdzie, w jego rodzinie nic nie wiadano o tej kobiecie, nie wiadano nawet, że istnieje, odkryli ją po śmierci jego ojca, ojca Brunona, w papierach zmarłego, w liście, w którym Gertrude błagała brata, żeby wyciągnął ją z tego piekła. Miała wtedy trzydzieści siedem lat. List nosił datę z piętnastego maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku i nagłówek z Ontario Hospital, ale to adres, Queen Street West 999, zawierał w sobie cały dramat życia. Queen Street West 999, wiadano o tym w całej prowincji, było miejscem, gdzie w Toronto przyjmowano

tysiące umyślowo chorych.

Ojciec Brunona nie zareagował. W papierach zmarłego nie znaleźli żadnego innego śladu tej kobiety, która podpisała się „Twoja siostra Gertrude”. List pozostał bez odpowiedzi.

Odrażające, nie było na to innego słowa, i tak też powiedziałem Brunonowi, to odrażające, a on pokiwał głową, tak, to odrażające, a jednak mój ojciec był kochającym człowiekiem, wychował nas w duchu troski o innych i chęci niesienia pomocy, ale racjonalnie rzecz biorąc, a to właśnie definiowałoby mojego ojca, jak sądzę, racjonalność, i to, co było w nim nadto racjonalne, kazało mu bać się domniemanego szaleństwa siostry, domniemanego, bo ona nie jest szalona, zapewniam cię, ta kobieta ma całkiem po kolei w głowie.

– Sześćdziesiąt sześć lat w wariatkowie, niezbyt to racjonalne.

– Tak, niezbyt racjonalne, ale trzeba zrozumieć.

Jego ojciec, dziadek, wujowie, ciotki, wszyscy ci, którzy poprzedzili go w linii krwi, byli winni. Życie tej kobiety zostało zrujnowane z ich winy. Ale to było silniejsze od niego, musiał bronić swojego ojca i swojej krwi.

– Trzeba zrozumieć. To ignorancja, ciemnota, strach przed wszystkim, czego nie widzimy i nie rozumiemy, to tamta epoka do tego doprowadziła.

Obrona błędów minionej epoki... to nie było do Brunona podobne. Nic z tego, co robił i mówił, nie było do niego podobne. Wydawał się nerwowy, poruszony, jego dłonie trzepotały niczym motyle. Jego uwaga skupiała się gdzie indziej, za nim. Siedział plecami do okna i nie mógł widzieć tego, co ja, zwrócony do niego twarzą, mogłem obserwować swobodnie, a było to fascynujące, cała ta biel wylana na pierś starszej pani, która rozświetlała salę.

– Nadal śpi? – niepokoił się czasem.

– Śpi, nie martw się, kontynuuj.

Bo trzeba było, żeby kontynuował, żeby wyjaśnił mi, dlaczego przywiózł swoją starą ciotkę do mnie i co z nią zrobimy. Problemem nie było zakwaterowanie, wciąż miałem pokoje w jakim takim stanie, fotografce bardzo dobrze się tam spało, tak mi powiedziała, nie, problem był poważniejszy. Czekałem na ciąg dalszy.

List pozostał bez odpowiedzi. Trzeba było, żeby umarł człowiek, aby odkryto Gertrude.

Moja matka, zaczął Bruno, a ja wiedziałem, że coś zazgrzyta, nigdy nie miał zbyt dobrych relacji z matką.

Jego matka była pod większym wrażeniem, niż potrafiła to znieść. List został napisany nienagannym językiem, ani jednego błędu ortograficznego czy składniowego. Kaligrafia również była wyjątkowa. Elegancka, pełna gracji, delikatne pętelki, ładnie nakreślone laseczki. Wszystko to ręką kobiety zamkniętej w wieku szesnastu lat.

To właśnie – bezbłędny list – przekonało jego matkę, aby poruszyć niebo i ziemię w celu odnalezienia krewnej. A dokładniej: czas zaprzeszły. Matka Brunona przez trzydzieści lat uczyła i była wstrząśnięta, czytając zdania takie jak: „Nie mogłam byłam sobie nawet

wyobrazić, że okrucieństwo i niesprawiedliwość wyrządzą mi tak wielką krzywdę”.

W końcu znalazła swoją krewną w domu na przedmieściach Toronto. W domu, gdzie cisnęło się na kupie około pięćdziesięciu zakał. Upośledzeni, niepełnosprawni, stuknięci, nie rozróżniano między nimi, nikt ich nie chciał, nikt się po nich nie zgłosił. Całe życie mieszkali w jakiejś instytucji. Gdy się zestarzel i zaczęli zawadzać, upychało się ich w tym domu, po dwóch w pokoiku, wrzaskliwa sala telewizyjna i trzy posiłki dziennie.

Zrozumiałem złość Brunona w kolejnej części opowieści. Ponieważ sprawa na tym się nie skończyła. Jego matka po pierwszej wizycie u szwagierki podjęła się upiększenia jej życia. Tak właśnie mówiła: upiększyć Gertrude życie. Pisała do niej, wysyłała prezenty, dzwoniła w Boże Narodzenie, Wielkanoc, na jej urodziny, rozpływała się w dobrych uczynkach, mówiła o swojej podopiecznej z uczuciem: „przed chwilą napisałam do Gertrude, biedaczka się nudzi”. Cieszyła się własnym obrazem samej siebie, tak dobrej i tak hojnej, lecz odrzucała komplementy, które jej w tej kwestii prawiono, „to tak niewiele, to wszystko, co można teraz dla niej zrobić, żyła w zamknięciu przez ponad sześćdziesiąt lat, nie zniosłaby innego życia, tylko tyle można jej dać, nieco osłody na sam koniec”.

Aż do dnia, kiedy nie mogąc już wytrzymać od tej dobroci i tego współczucia, zaprosiła Gertrude do siebie. Ponieważ dzieci dorosły, miała wolne pokoje, czasu w nadmiarze, lecz po zaledwie paru dniach biedaczka nie potrafiła już tego znieść.

– Chciała tylko bez sensu namieszać.

Namieszać – w ustach Brunona to bezużyteczność w swojej najbardziej inwazyjnej formie, a jego matka, według niego, mąciła tak, że można było od tego dostać zawrotów głowy.

Było to jednak niesprawiedliwe. Jego matka odpowiedziała na wezwanie pomocy, na które jej mąż pozostał niewrażliwy, lecz to ona zbierała cięgi. To było niesprawiedliwe, i tak mu powiedziałem.

– Moja matka chciała jedynie znaleźć się w trybie działania, wykończyć się, oszołomić, przygotowując posiłki, zaproszenia, rodzinną uroczystość na cześć odnalezionej krewnej, a później, kiedy wszystko zostało zrobione, kiedy nie było już w czym mieszać, do widzenia, odstawiamy biedną wariatkę tam, skąd ją wzięliśmy. Tyle że było jedno „ale”.

Tym „ale” okazało się żarliwe spojrzenie, które odszukało Brunona w salonie zatłoczonym wujami, ciotkami, kuzynami i kuzynami drugiego stopnia. Długie, ukośne spojrzenie, które prześlizgnęło się wśród tłumu i zadomowiło we wcięciu ucha Brunona.

– Wszyscy przed nią predefilowali, wszyscy zdumiewali się jej doskonałym zdrowiem umysłowym, komentowali i łagodnie się oburzali. Ja odmówiłem uczestnictwa w tym cyrku. Ale kiedy stara kobieta, która wyszła z wariatkowa, szuka cię spojrzeniem...

Zbuntowany bratanek zbliżył się do ciotki i dopiero gdy się nad nią pochylił, zrozumiał.

– To kolczyk ją zaintrygował.

Wskazała palcem kółko w jego uchu i oznajmiła konfidencjonalnym szeptem, jakby

chciała go poinformować o poważnej gafie: „Pomyliłeś się, jesteś chłopcem, a nie dziewczynką”, a on na to, tym samym tonem: „Masz rację, ciociu, choć wstając dziś rano z łóżka, sądziłem, że jestem dziewczynką”, na co ona, pojąwszy, w co grają: „To prawda, nie zawsze łatwo jest się rano odnaleźć”, i roześmiali się tym samym śmiechem.

Ten incydent oraz inne, które nastąpiły potem, bo tego dnia bardzo często się odszukiwali, żeby śmiać się z byle czego, co dostrzegali wyłącznie oni, te szaleństwa przekonały go, by zostać u matki na cały czas, kiedy będzie tam ciotka. Jego matka naturalnie nic z tego nie rozumiała. A ja owszem. Ta kobieta była sama w swojej przestrzeni, sama na swojej planecie, a Bruno kocha wyjątkowe istoty.

– Ona widzi rzeczy, których my nie widzimy.

Jednakże wieczorem trzeciego dnia śmiech zamilkł. Wyjazd został zaplanowany nazajutrz rano, a ona śledziła przygotowania złym okiem. Nie widział u niej jeszcze tego spojrzenia. Była to złość zepchnięta bardzo daleko w głąb siebie, sześćdziesiąt sześć lat zamknięcia, bulgoczące siarką wzburzenie, wyczuwał, że jest na granicy rzucenia im tego wszystkiego w twarz, a jednak tego nie zrobiła, stłumiła to w sobie, sześćdziesiąt sześć lat powstrzymywania się, wiedziała, że złość nie jest dobra, że władza karze złość, a w tej chwili władzą była ta dwójka, która pakowała jej walizkę i jej cierpienie, i to w stronę Brunona zwróciła oczy zdziczałe od wściekłości i bezsilności, to jemu powiedziała: „Nie chcę tam wracać”.

– To było wczoraj, a jakby minął wiek. Co ty byś zrobił na moim miejscu?

To samo, Bruno, zrobiłbym to samo, nie pozwoliłbym starej ciotce wrócić do zakał, co nie zmieniało faktu, że mieliśmy tutaj cholernie duży problem, problem, którego głowa zaczynała poważnie kiwać się za oknem.

– A twoja matka?

– Nic się nie martw, ja się tym zajmę.

Jego matka niczego się nie domyślała, kiedy zaoferował, że pojedzie do Toronto zamiast niej. On sam niczego się nie domyślał, nie miał innego zamiaru, jak tylko przedłużyć czas spędzony z ciotką.

– Nie miałem innego zamiaru, zapewniam cię, ale potoczyło się to inaczej.

W miarę jak posuwali się na południe, widział, że kobieta kuli się na siedzeniu, zapada się w sobie, staje się małym zwierzątkiem w klatce, i ani słowa, nie powiedziała ani słowa przez cały ten czas, gdy toczyli się na południe, i nagle, należy wierzyć, że decyzja została już podjęta, choć on o tym nie wiedział, zawrócił.

– Uśmiechnęła się każdą zmarszczką na swojej twarzy.

To w tym momencie, dopiero w tym momencie, zrozumiał, że skierował się na północ, żeby przywieźć ją tutaj, ale co do reszty, co z nią zrobimy, nie wiedział na ten temat więcej niż ja.

– A twoja matka? – nalegałem, bo zdawało mi się, że to istotny problem.

- Nie zwracaj sobie głowy moją matką, ja się tym zajmę.
- A pozostali? W Toronto będą się niepokoić, zadzwonią na policję.
- Nie przejmuj się, mówię ci, mam plan.

Ciotka całkiem już się rozbudziła, widziałem, jak biała głowa przesuwana się z boku na bok, rozdając swoje rozbryzgi światła. Ta kobieta trafiała mi prosto do serca. Jej historia była zabójczo rozdzierająca.

Wróciliśmy do wielkiej sali, gdzie czekała na nas z uśmiechem zagubionego dziecka. Bruno podał jej kanapkę z herbatą i wytłumaczył, że nie ma się co martwić, że on się wszystkim zajmie. Tej nocy będzie spała w hotelu, wskazał wokół siebie zamaszystym gestem, a jutro pomyślimy nad resztą.

Gest Brunona prezentował wysokie sufity, ściany wyłożone boazerią, intarsjowane podłogi, reprezentacyjne schody zakręcające nad wielką salą, wszystko to z lakierowanego dębu, lecz uspięne pod warstwą kurzu. Nie było to zbyt zachęcające. Ale w tej chwili staruszka nie wyglądała tak, jakby się tym przejmowała.

Zaprowadziliśmy ją do jej sypialni, do zielonej sypialni, tej, którą w ubiegłym tygodniu zajmowała fotografka. Chciałem napomknąć o tym Brunonowi, lecz myśl po raz kolejny gdzieś się zgubiła.

Podobała jej się cisza pokoju. Tak powiedziała: podoba mi się cisza pokoju.

Wyjęliśmy kilka rzeczy schowanych w walizce. Przybory toaletowe, lekarstwa, dużo lekarstw, i parę niemodnych ubrań, między innymi okropny fioletowy szlafrok, który Bruno powiesił w szafie z miną pełną odrazy.

– Różowy frotowy szlafrok, to by ci odpowiadało, ciociu?

Różowy frotowy!

Stało się, wzięliśmy ją pod opiekę. Zamiast zatrwożyć się z tego powodu, poczułem ulgę, co było jeszcze bardziej niepokojące.

Pozostawiliśmy Gertrudę kontemplacji ciszy jej pokoju i zeszliśmy do wielkiej sali, gdzie czekały na nas porządny joint i porządna dyskusja, tak przynajmniej sądziłem, bo na dokładkę do sprawy ciotki, którą trzeba było rozstrzygnąć, wciąż nic Brunonowi nie powiedziałem o fotografce, a chciałem też pogadać z nim o Darling, mojej suczce.

Nie żyje się w lesie bez psa. Ted, Charlie, Tom i ja, każdy miał własnego. Towarzyszyły nam, słuchały nas, rozumiały. To codzienna otucha, pies, który przychodzi was obwąchać, kiedy sądzicie, że dla nikogo nie istniejecie. Nieraz spałem z Darling. Noce w mojej klitce były chłodne. Nigdy nie sypiałem nigdzie poza biurem. Mógłbym wybrać sobie pokój na piętrze, ale mam swoje przyzwyczajenia. To tu spałem za czasów Libańczyka i to tu w dalszym ciągu śpię, kiedy mam cały hotel dla siebie.

Darling nie ujadła, gdy zjawiała się fotografka. To mnie dręczyło. Zachowywała się całkiem spokojnie, ani jednego warknięcia, nic, a później poszła ocierać się o nogi fotografki i nie opuściła jej przez cały wieczór. Ta kobieta miała dar do psów.

Darling w założeniu miała mnie ostrzegać, kiedy ktoś się zbliżał. Taka rola każdego dobrego psa, a Darling tym bardziej, z racji plantacji i naszych staruszków. Ted nie miał się czego obawiać z czyjejkolwiek strony, nie licząc memorialistów i amatorów minionych czasów, ale Tom i Charlie pozostawili za sobą życia, które mogły ich dogonić. Jerry, hotelarz z sąsiedniego miasteczka, gdzie jeździłem realizować ich czeki emerytalne, regularnie przypominał mi o nielegalności naszej sytuacji, usiłując zwiększyć swoją działkę. Ale sam miał zbyt wiele do ukrycia, mogłem mu ufać. Nielegalność świetnie sobie radzi z krętactwami innych. Jedynie czyste serca stanowią niebezpieczeństwo. A fotografka, co do tego nie ma wątpliwości, przynależała do tej rasy. Co z nami będzie, jeżeli Darling przestanie szczekać na zbliżające się czyste serca?

Chciałem to wszystko omówić z Brunonem. Gdybym wiedział, że Ted nie żyje, o tym także byśmy porozmawiali, ale nie wiedziałem. Powinienem był wiedzieć, powinienem był wyczuć jego nieobecność. Ted był naszym wzorem, naszą inspiracją, duszą tego miejsca, wszyscy darzyliśmy go wielkim podziwem. Zналиśmy jego historię. Chłopiec, który chodził wśród dymiących szczątków. Mężczyzna, który pojawiał się i znikał. Otwarta rana. Ted był legendą. Kiedy Libańczyk zobaczył, że przybywa, już wiedział, że kolej żelazna nigdy nie dotrze do jego hotelu. Jeżeli Mister Boychuck przyjeżdża się osiedlić, to los miejsca jest przesądzony. Powierzył mi klucze i pojechał szukać fortuny gdzie indziej.

Wypaliliśmy jointa, lecz nie przedyskutowaliśmy tego, co mnie gnębiło. Brunonowi spieszyło się, by wyruszyć, spieszyło mu się, by dotrzeć do obozowiska starych, by wprowadzić swój plan w życie, i wszystkiego miał się dowiedzieć tam, u naszych staruszków.

Historia rozwija się spokojnie. Na północ od czterdziestego dziewiątego równoleżnika nic nie dzieje się szybko. Tom i Charlie rozpoczynają dni od rozprostowania kończyn obolałych od snu, później kierują się powoli w stronę piecyków na drewno, żeby rozgrzać poranek i ziemniaki ze skwarkami. Każdy przy swoim oknie, studiuje dzień, który ich czeka. Nieważne, czy na spotkanie wychodzi im słońce, czy śnieg, to dobra chwila, bo mają to wszystko do oglądania: śnieg, słońce, wiatr, zając, który zostawił swój trop, szybujący lot kruka, życie, które się odradza, nic, czego by dotąd nie znali.

Po ziemniakach ze skwarkami i słodkiej herbacie następuje pierwszy papieros, a z nim – pierwsza prawdziwa myśl danego dnia. Wcześniej były tylko nieokreślone ruchy mózgu. Potrzeba im pchnięcia nikotyny, aby otwarły się tamy umysłu i by mogli rozpoznać to, co im przychodzi do głowy.

Od śmierci Boychucka ich pierwsza myśl każdego dnia dotyczy starego towarzysza. Wszystkie te obrazy, które odkryli w zamkniętej na kłódkę chacie, sprawiły, że bez końca zadają sobie pytania.

Charlie jest przy drugim papierosie i czeka na Toma, na ich poranną rozmowę. Dzieje się tak każdego dnia. Tom, nakarmiwszy piecyk, opuszcza swoją chatę, przechodzi obok siedziby Teda, zatrzymuje się na czas wystarczający, by jeszcze raz postawić sobie pytanie o te płótna, które leżą odłogiem niczym zмумifikowana armia, i podejmuje marsz, zastanawiając się, co Charlie będzie miał do powiedzenia na ten temat, bo Charlie też tam poszedł, dzień wcześniej, o zmierzchu. Każdy z nich ma swoją porę.

– Co go opętało, żeby zostawiać po sobie te wszystkie płótna?

– To jego dziedzictwo.

– Jego dziedzictwo, dajże spokój. Nie miał żony, nie miał dzieci, żadnej rodziny, wszyscy pomarli w Wielkim Pożarze w Matheson. Co go opętało, że zostawił nam to na głowie?

– Nie jesteśmy zobligowani, żeby się o to troszczyć.

– Co nie zmienia faktu, że o tym myślimy.

– Może tego właśnie chciał.

– Czego?

– Żebyśmy o nim myśleli.

– Dajże spokój.

Każdego ranka odbywają, w kilku różnych wariantach, tę rozmowę, która donikąd nie prowadzi. Są to ich ostatnie chwile samotności we dwóch, gdyż wkrótce społeczność nad jeziorem powiększy się o małż, małą staruszkę o żarliwych oczach i o barczystą kobietę, która posłużyła się pretekstem legendy Boychucka, żeby złożyć im wizytę.



*Ale w ramach przerwy czas zaprezentować Wielkie Pożary, które spustoszyły północ Ontario na początku dwudziestego wieku.*

*A miłość? Trzeba jeszcze poczekać, jest za wcześnie na miłość.*

# *Wielkie Pożary*

Wielkie Pożary w niszczycielski i okrutny sposób spustoszyły północ Ontario na początku dwudziestego wieku.

Były to pożary przenoszone przez gwałtowne wiatry na odległość pięćdziesięciu, stu kilometrów, niszczące wszystko na swojej drodze, lasy, wioski, miasta, życia. Przypominały morze ognia, tsunami płomieni, które posuwało się z piekielnym pomrukiem, ucieczka przed nim była niemożliwością, trzeba było biec szybciej niż ogień, rzucić się do jeziora, do rzeki, ucześcić się przeładowanej szalupy, pnia drzewa, czekać, aż monstrum nasyci się swoją furią, aż jego płomienie pożrą się nawzajem, aż nic mu nie zostanie i skieruje się ku innym lasom, innym wioskom, pozostawiając za sobą jedynie czarną, zniszczoną ziemię, woń końca bitwy i to, co odnajdzie się lub się nie odnajdzie pod popiołami.

Wielki Pożar w Timmins był najgwałtowniejszy. Cztery wrzące godziny i z małego górniczego miasteczka nie zostało nic. Ocalali znaleźli schronienie w jeziorze Porcupine. Godziny czystego horroru spędzone na patrzeniu, jak płomienie rzucają się na domy, sklepy, dworzec, wszystko to, co ledwie zdążyli zbudować, miasteczko istniało dopiero od dwóch lat. Ale dramat na tym się nie skończył. Ogień obrał następnie kierunek północno-wschodni i zniszczył oddalone o osiemdziesiąt kilometrów miasto Cochrane, które spłonęło w poprzednim roku i spłonęło pięć lat później, w tysiąc dziewięćset szesnastym, w Wielkim Pożarze z Matheson.

Wielki Pożar w Matheson był najbardziej zabójczy. Dwieście czterdzieści trzy ofiary śmiertelne. To są liczby oficjalne. Nie uwzględniają poszukiwaczy, traperów i włóczęgów, osób, które nie mają nazwiska, narodowości, które formalnie nie istnieją, które podążają z jednego miejsca w inne. Kraj był nowy, przyciągał wszelkiego rodzaju awanturników. Kilku z nich znajdą w wysuszonych strumieniach, lecz większość uformuje jedynie mały stosik zwęglonych kości, które wiatr uniesie daleko od policzalnych danych. Pięćset ofiar śmiertelnych, tak mówią niektórzy.

A później, sześć lat po tym z Matheson, czwartego października tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku, miał miejsce Wielki Pożar w Haileybury, najbardziej spektakularny, gdyż obrócił wniwecz arcydzieło dystryktu, jedyne miasto na północy Ontario, które miało nieco wyrafinowania. Były w nim tramwaje, katedra, klasztor, szkoły, szpital, wszystko z ciosanego kamienia, budynki, które uważano za ognioodporne, a które w obliczu ściany płomieni zawaliły się jak słomiane snopy. Jedynie aleja milionerów została

oszczędzona. Dwanaście wielkich, dumnych domostw wzniesionych dla nuworyszki z Haileybury. Zbili fortunę na kopalniach srebra w Cobalt, miasteczku usytuowanym kilka kilometrów dalej, które trzykrotnie spłonęło w odizolowanych pożarach, lecz tym razem ogień w wyniku jednego z tych niewytłumaczalnych zwrotów miał je ominąć.

Ogień ma kaprysy, których nie potrafimy wyjaśnić. Wspina się na najwyższe szczyty, wyrywa niebu błękit, rozprzestrzenia się w czerwonej poświacie, puchnąc, sycząc, wszechmogący bóg, porywa się na wszystko, co żyje, przeskakuje z jednego brzegu na drugi, wciska się w wąwozy przesycone wodą, pożera torfowiska, ale oszczędza krowę skubiącą trawę w kręgu zieloności. Kto może go zrozumieć? Ogień, gdy osiągnie taką potęgę, słucha wyłącznie samego siebie.

Dużo większym cudem niż krowa w kręgu zieloności były dzieci znalezione w strumieniach. Fotografka słyszała wiele takich historii. Na początku nie wierzyła, ale ludzie nalegali i przekonywali. Jedno dziecko zostało odnalezione w strumieniu nazajutrz, pokryte sadzą i błotem, lecz żywe. Nazajutrz, to w to fotografka nie mogła uwierzyć. Dziecko to dziecko. To, że miało instynkt, by pozostać w wodzie podczas burzy ognia, jeszcze jakoś przejdzie, ale że wytrzymało tam całą noc, nie panikując wśród zjaw pożogi, to wydawało się niewyobrażalne. Ogień pozostawia po sobie westchnienia w ziemi, drzewa, które powoli eksplodują, zwęglone resztki, które szemrzają i syczą. Jak dziecko może spokojnie czekać, aż nadejdzie pomoc, kiedy wszędzie wokół w nocy poruszają się potwory?

Fotografka usłyszała najpierw historię sześciolatniej dziewczynki, pod której opieką pozostawiono dwoje niemowląt; znaleziono ich następnego dnia z oczami zaczerwienionymi od płaczu i dymu, ale żywych. Tylko dziewczynka doznała poważnych poparzeń. Oprócz tego był pięcioletni chłopiec, którego rodzice powierzyli dwóm mężczyznom uciekającym w stronę miasta wozem na siano, wierząc, że ich dziecko będzie miało w ten sposób większe szanse, by się wyrwać. Udało im się uratować ich małą farmę, ale dwaj mężczyźni, którzy podążali ścieżką niewiele szerszą niż ich wóz, w pewnej chwili uznali, że nie wyjdą z tego żywi, i nie bez racji, bo ścieżka stała się tunelem płomieni. Zamiast narazić życie dziecka na niebezpieczeństwo, porzucili je w strumieniu, zanim wjechali w tunel ognia. Odnaleziono jedynie szkielet wozu, ale dziecko przetrwało. To ojciec odszukał je następnego dnia.

Historię tego chłopca opowiedziała stara, dziewięćdziesięcioletnia kobieta. Rose Kushnir. Fotografka nie chciała wierzyć, dopóki ta nie oznajmiła, że знаła chłopca jako młodego mężczyznę. Przeżył, powiedziała Rose, ale pozostawił część siebie w tym strumieniu. Nigdy nie potrafił konwersować, słowa nie przychodziły, miało się wrażenie, że rozmawia się z duchem.

Sama Rose też była cudem. Ona i wszyscy z rodziny przetrwali, gołymi rękami drążąc ziemię między zagonami na polu kartofli i leżąc każde w swojej kolejce, podczas gdy fale płomieni przelewały się nad nimi. Jej matka miała poparzone plecy i pośladki. Przykryła swoje najmłodsze dziecko własnym ciałem, żeby je chronić.

Wszystkie opowieści ocalałych mówiły o tym samym horrorze. Fotografce nocami śniły się z tego powodu koszmary. Nigdy jednak nie odstępiała od swojego zamiaru.

Podążając od jednego starca do drugiego, poznała Wielkie Pożary, jakby tam była. Ocalałych spotykała wszędzie po trochu. W Matheson, w Timmins, w Haileybury, w niewiarygodnie smutnych miasteczkach, osadach zagubionych w głębi niczego, w ruderach lśniących czystością (siostry Dambrowitz, na przykład, nie godziły się na elektryczność, ale urządzały sobie koncerty, jedna przy pianinie, druga na wiolonczeli), w domach starców (tam prawie wszyscy byli zdziecinniali), wszędzie, gdzie mówiono jej o Wielkich Pożarach, robiono to z mieszkanką dumy i zdziwienia, że udało się je przetrwać.

Wielkie Pożary miały swoich bohaterów i swoich męczenników. Boychuck nie był ani jednym, ani drugim, ale pojawiał się we wszystkich opowieściach tych, którzy ocaleli z Wielkiego Pożaru w Matheson, nawet tych, którzy go nie znali, nigdy go nie widzieli, nie mieli nic do zaświadczenia na jego temat. Ed Boychuck, Ted albo Edward, nigdy nie dochodzono do porozumienia w tej kwestii, to enigmatyczna postać Wielkiego Pożaru w Matheson. Chłopiec, który chodził wśród dymiących szczątków. To w ten sposób określano go najczęściej.

W ten ciepły poranek dwudziestego dziewiątego lipca tysiąc dziewięćset szesnastego roku miał czternaście lat. Solidny chłopiec, niezbyt gadatliwy, ale dobry pracownik. Został zatrudniony w ekipie murarzy, którzy budowali dom pewnego kupca z Matheson. Rodzina Boychucka mieszkała w odległości około dziesięciu kilometrów, a on pokonywał tę trasę rano i wieczorem, idąc wzdłuż torów, jedynej prawdziwej drogi w tym kraju zbyt jeszcze nowym, żeby móc sobie pozwolić na szosy przeznaczone dla pojazdów mechanicznych.

To był gorący, suchy dzień, można by pomyśleć, że jest się na Saharze, gdyby nie iglasty las, który rozciągał się niczym ofiara dla słońca.

Widziano młodego Boychucka, jak szedł wzdłuż linii kolei żelaznej w kierunku Ramore. Ogień nie był jeszcze zagrożeniem. Był dym, wszędzie po trochu, ale ludzie zdążyli do tego przywyknąć. Trwało lato, sezon palenia suchych gałęzi, dym stanowił część krajobrazu.

Dostrzeżono Boychucka nieco później w polu. Minęło południe i zerwał się wiatr, wiatr o niewiarygodnej sile, który upodobił ogniska do ogromnej pochodni. Niebo zrobiło się czarne jak węgiel, z oddali słychać było pomruk, jakby lokomotywy pędzącej pełną parą, i, Boże, jak dobrze wiedziano, co to jest! Ludzie krzyczeli, próbowali zwrócić uwagę chłopca, chcieli, żeby przyszedł schronić się z nimi, dwaj młodzieńcy skryci w wykopanej dziurze, ale próżny trud, pożar zagłuszył ich głosy, Boychuck nic nie słyszał i już zniknął na krańcu pola. Była czarna noc, dym całkiem zakrył słońce.

Uważa się, że to jego widziano trochę później na ścieżce niewiele szerszej niż wóz, wbiegającego w rozbryzgu światła w pełnię horroru. Uniósł koszulę na wysokość głowy i zanurkował w ścianę płomieni. Uważa się, że był to młody Boychuck, bo za murem ognia znajdowała się farma jego rodziców. Ale pewności nie ma. Gość, któremu zdaje się, że go

widział, siedział w kałuży błota, po usta zanurzony w płynnym szlamie, i otworzył oczy tylko na czas pozwalający poczuć dwa parzące sztylety w głębi siatkówki i na zawsze zachować obraz chłopca rzucającego się w płomienie.

Nie wiadomo, jak młody Boychuck przetrwał, nie wiadomo też, czy udało mu się dotrzeć na farmę rodziców, czy ich widział, pięcioro rodzeństwa, ojca, matkę, martwych, co do jednego, uduszonych w piwniczce na warzywa, przyciśniętych mocno do siebie, ciała posiniałe, znieruchomiałe w ostatnim wysiłku, by wciągnąć powietrze fioletowymi wargami. Nic nie wiadomo, ponieważ Boychuck nic nie powiedział. W żadnym momencie swojego życia nie uczynił wzmianki o pożarze, tak samo jak o swojej tułaczce.

Ocalały z kałuży wstał ze swojego błotnistego łóża, był pokryty grubą skorupą szlamu, który łuszczył się przy każdym ruchu, i wydawało mu się, że dostrzegł Boychucka raz jeszcze, ale żar sztyletów uczynił go w połowie ślepy i mógł być pewien jedynie niejasnego kształtu schodzącego ścieżką ciężkim krokiem. Ten mężczyzna spędził w szpitalu całe miesiące. Płaty błota wtopiły się w jego ciało.

We wszystkich opowieściach o pierwszych chwilach po pożarze wspominało o nieokreślonym kolorze, świetle pochodzącym z nieba i ziemi, nieba, które na nowo się otwarło, i ziemi, która wciąż jeszcze płonęła małymi pożogami. Żar wybuchał powoli u stóp drzew i wystrzeliwał długimi strugami iskier. Te drzewa, które jeszcze stały, czarne pnie pod niebieskim niebem, waliły się ze zduszonym odgłosem, wzbudzając gęstą chmurę białego popiołu.

Złotawe, stwierdzali w końcu, w tym spokoju było złotawe światło. Światło Boga, który przychodził nas szukać, mówili. Wszyscy mieli wrażenie, że przeżyli koniec świata.

Trzech mężczyzn czekało w stawie na przyjście aniołów. Woda po pachy, długie błotniste smugi na twarzach i wielkie, oszołomione oczy, sądzili, że są ostatnimi istotami ludzkimi na ziemi. Wraz z nimi, w złotawym świetle, w stawie schronienie znalazł łoś i przycupnięty na ramieniu najmłodszego z nich – tego, który opowiadał – ptak, który ćwierkał, aż ochrypl.

Widzieli, jak przechodzi młody Boychuck.

Szedł po omacku wśród dymiących popiołów. Był pokryty sadzą i zadrapaniami, ale wydawało się, że jest w dobrym stanie. Miał nagą pierś. Prawą dłoń owinał jakąś szmatą, prawdopodobnie bandażem, który sporządził z tego, co mu zostało z koszuli.

Pozdrowili go.

Chłopiec minął ich z bliska, nie widząc ich, i musieli za nim krzyknąć, żeby odwrócił się w ich stronę, a wtedy zauważyli oczy pożyłkowane czerwienią, nieobecność spojrzenia, i zrozumieli, że chłopiec oślepl.

Podążył dalej swoją drogą, jakby niczego nie dosłyszał, jakby szedł krokiem samego Boga, tak powiedział ocalały ze stawu, szedł niczym człowiek uwikłany w krok olbrzyma.

Widziano go w Matheson, w Nushce, w Monteith, w Porquis Junction, w Ansonville, w Iroquois Falls, później znowu w Matheson, Nushce, Monteith i znowu w Matheson,

w Nushce, aż całkiem zniknął. Sześć dni chodzenia bez celu, kręcenia się w kółko, nikt nigdy nic z tego nie pojął. Od soboty dwudziestego dziewiątego lipca, kiedy sądzono, że nadszedł koniec świata, do czwartku trzeciego sierpnia, gdy pewna kobieta widziała Boychucka, jak mniema, w pociągu wiozącym ocalałych do Toronto, upłynęło sześć dobrze porachowanych dni. Co utrzymywało go w tym stanie szaleńczej tułaczki?

W Matheson opatrzono mu dłoni.

Tylko trzy domy oparły się pożarowi. Jeden z nich przekształcono w przychodnię. Kobiety dały bieliznę stołową i pościelową, zasłony, ręczniki, prześcieradła, żeby zrobić z nich opatrunki, a gęsie sadło odłożone w garncu na zimę służyło za masło.

Mała dziewczynka, która stała się starą, dziewięćdziesięcioletnią kobietą, pamiętała młodego Boychucka. Pamiętała go, ponieważ nie miał na sobie nic poza spodniami i nie wydał z siebie ani jednej skargi, gdy zdejmowano z niego przyklejony do ciała łachman. Wnętrze jego dłoni było żywym czerwonym mięśniem.

W Nushce miał kij wędrowny i koszulę, która nie należała do niego.

Nushka była miasteczkiem kanadyjsko-francuskich farmerów leżącym jakieś dziesięć kilometrów na północ od Matheson. Teraz nazywa się Val Gagné – Zdobyta Dolina – na cześć drobnego miejscowego proboszcza, bohatera żyjącego w pamięci zbiorowej. Dwadzieścia siedem lat, jego pierwsze probostwo, zero doświadczenia, w szczególności w pożarach lasu, zaproponował więc swoim owieczkom, kiedy wyglądało na to, że wszystko stracone, żeby schroniły się w głębi korytarza z gliny wydrążonego w pagórku, by mogła tamtędy przebiegać kolej żelazna. Kalkulacja nie była taka zła. Korytarz wcinał się głęboko we wzgórze, miał strome ściany, gliniaste, pozbawione roślinności, można było mieć nadzieję, że będzie się tam poza zasięgiem płomieni. Ale drobny proboszcz nie wiedział nic o mechanice ognia. Płomienie rzeczywiście przeszły ponad korytarzem z gliny, lecz wysały cały tlen, który się tam znajdował. Pięćdziesiąt siedem osób poniosło śmierć przez uduszenie.

Młodego Boychucka widziano w wieczór hekatombi. Zaczął padać deszcz, drobny deszczyk, nic, co ugasiłoby rozżarzoną ziemię, wystarczający jednak, żeby docenić jego świeżość. Czy minął Simona Aumonta? Prawdopodobnie nie. Simon Aumont pewnie leżał już nieprzytomny na swoim polu owsa, kilkumiesięczne dziecko u jego boku, martwe, podczas gdy on, Simon Aumont, miał przeżyć przerażający dramat, który go spotkał. Pracował w lesie, kiedy wybuchła bomba ognia, i pobiegł do miasteczka, żeby pomóc swojej rodzinie. Znalazł ich, żonę i dziewięcioro dzieci, uduszonych na progu domu. Tylko niemowlę oddychało jeszcze w ramionach matki. Zaniósł je na pole owsa, wierząc, że na tej otwartej przestrzeni znajdzie się tyle powietrza, ile trzeba, ale intensywne gorąco wzięło górę, osunął się na ziemię, niemowlę u jego boku, i tak Simon Aumont, przeżywając swoją historię, stał się ikoną cierpienia Nushki, tym, na którym opowieści najbardziej się skupiały, najbardziej raniły, podczas gdy on nigdy nie szepnął na ten temat ani słowa.

Nushka, miasteczko śmierci.

Boychuck dotarł tam, podążając za linią kolei żelaznej, i potknął się o pierwsze ciało hekatombi. Tak się przypuszcza, gdyż znaleziono go śpiącego w deszczu. Myślano, że nie żyje.

Tą samą drogą szła w stronę Monteith kobieta z dwójką dzieci. Towarzyszyła im krowa, jedyne dobro, które udało im się uratować. Liczyli, że dotrą na farmę w Monteith, gdzie pracował ojciec kobiety.

Jej już dawno nie ma na tym świecie, ale chłopiec, ośmioletni w chwili wydarzeń, i dziewczynka, sześćioletnia, opowiedzieli, jak było. Najpierw szok związany z odkryciem wszystkich tych ciał spiętrzonych jedno na drugim. Dzieci sądziły, że ci ludzie śpią. Matka wiedziała, jaka jest prawda, i ciągnęła je za ręce, żeby odejść jak najdalej od masowego grobu. To wtedy wśród nocy wzniósł się długi i smutny, monotony śpiew. Krowa instynktownie rozpoznała śmierć i podjęła żałobne muczenie. W efekcie młody Boychuck obudził się pośród zmarłych.

Na ustach miał prawie uśmiech, obrazy ze snu najprawdopodobniej trwały jeszcze w zawieszeniu, a później, czując deszcz na twarzy, spytał zaspanym głosem, czy to już koniec, czy już rano.

Ruszyli w drogę razem.

Ten fakt i inne, które nastąpiły po nim, należą do rzadkich weryfikowalnych i zweryfikowanych elementów tułaczki Boychucka, gdyż tej sobotniej nocy dwudziestego dziewiątego lipca widziały go jeszcze inne osoby. Ludzie pamiętają przede wszystkim płaczącą krowę, ale nie zapomnieli o ślepy młodzińcu.

Dni po Wielkim Pożarze były dniami w ruchu. Ojciec szukał rodziny, żona męża, dziecko rodziców. Młody Boychuck był tylko jednym spośród błądzących. Legenda powstała później, z biegiem lat, z biegiem opowieści, bo o Wielkim Pożarze opowiadano sobie całymi latami i w plątaninie historii jedna postać wciąż powracała: ślepy chłopiec chodzący wśród dymiących szczątków.

Wygląda jednak na to, że nie był ślepy przez cały czas. Pewien mężczyzna powiedział, że otrzymał od niego pomoc przy pakowaniu zwłok na platformę pociągu. Inny widział go wśród tych, którzy rozładowywali skład z darami charytatywnymi. A ta kobieta, która sądzi, że widziała go w pociągu jadącym do Toronto, nie wspomniała, że młodzienc był niewidomy. Zauważyła go, bo był sam, całkiem sam i z nieobecny spojrzaniem, oznajmiła. Choć temu czy tamtemu pomógł z bagażami, robił to w całkowitym oderwaniu od siebie samego, jakby pozwalał komuś innemu działać w swoim imieniu. Właśnie ta nieobecność spojrzenia sprawiła, że można go było rozpoznać to w jednej opowieści, to w drugiej, i że przez tak długi czas uważano go za niewidomego, podczas gdy prawdopodobnie odzyskał wzrok, bo ogniowa ślepotą to w większości przypadków zjawisko tymczasowe.

Obraz pozostał – ślepy chłopiec chodzący wśród dymiących szczątków – żywił opowieści,

nawiedzał wyobraźnię ocalałych, ten inicjalny obraz legendy Boychucka.

W Matheson, gdzie małe miejskie muzeum robi, co może, żeby zachować pamięć o pożarze z tysiąc dziewięćset szesnastego roku, nie ma nic na temat Boychucka. Żadnego zdjęcia ani linijki tekstu, nic. Ale jeżeli zwrócicie się do damy odpowiedzialnej za muzeum, odniesiecie wrażenie, że jest tylko jedna rzecz, o której należy pamiętać: pożar, który zmusił ślepego chłopca do wędrowania całymi dniami w poszukiwaniu ukochanej. Jedynie miłość może wyjaśnić szalone postępowanie młodego mężczyzny, pierwsza miłość, ta, która dodaje skrzydeł i przenosi was gdzieś poza was samych.

Fotografka wysłuchiwała damy z muzeum, nie bardzo jej wierząc. Tyle było historii na temat Boychucka, a najbardziej niestworzona dotyczyła sztabki złota. W mitologii Północy zawsze pojawia się sztabka złota, która stanowi tajemnicę. Złoto skradzione, gdzieś zakopane, i tropiony przez pościg złodziej, który umiera podczas ucieczki albo wraca i nie znajduje zdobyczy w skarbcu. Na północy Ontario istniałyby zatem niezliczone sztabki złota, które tylko czekają, żeby je odkopać. I to poszukiwanie złota obnażonego przez pożar miałyby tłumaczyć włóczęgę Boychucka. Fotografka ani trochę w to nie wierzyła. Jak można się wybrać na poszukiwanie złota, kiedy właśnie straciło się ojca i matkę, a wokół nie ma nic poza śmiercią i zniszczeniem?

Może nie należy tu szukać żadnego motywu, może Boychuck błędził bez celu dotknięty ogniowym szaleństwem, jak mówią niektórzy, ze sparaliżowanym, kompletnie wypranym mózgiem. Widywano takie rzeczy, ludzi, którzy wobec ściany płomieni tracili zmysły. Żadnej reakcji, żadnego instynktu przetrwania. Ogień żywi się tlenem, bierze go z wysoka, z nizin, zewsząd, gdzie przechodzi, i choć nie zdajemy sobie z tego sprawy, wysysa go z mózgow jak wampir. Ogniowe szaleństwo, tak samo jak ślepotą, jest zwykle zjawiskiem tymczasowym, trwa kilka sekund, co najwyżej kilka minut, niestety zgubnych, jeśli na miejscu nie ma nikogo, kto mógłby wami potrząsnąć, bo po deoksygenacji mózgu następuje uduszenie lub, co gorsza, spłoniecie, zwęglenie.

Tak naprawdę w tym szaleństwie jest coś jeszcze bardziej podstępnego, rodzaj fascynacji zrodzonej z rozpościerania się płomieni, ich siły, ich wszechmocy, ich olśniewających wśród dymu kolorów, przerażona kontemplacja, która towarzyszy człowiekowi na całej długości wyścigu o przetrwanie i która staje się odpowiedzialna, w miarę jak liczy martwych, za nieodpartą potrzebę podążania wciąż naprzód, aby zachować status żyjącego. Zahipnotyzowany ogniem, tak mówiono o Boychucku. W to akurat fotografka była w stanie uwierzyć.

Nie wierzyła w bukiet kwiatów. Widziano młodzieńca w wąwozie, idącego po pas w popiołach, z pękiem kwiatów w jednej ręce i kijem w drugiej. Kwiaty niczym słońca, żółte płatki i złotobrazowy środek. Kwiaty dla jego ukochanej, powiedziała dama z muzeum. Fotografka pozwoliła jej gadać.

Wędrowka Boychucka ciągnęła się przez całe jego życie, jak się zdaje, bo ponownie



zobaczono go sześć lat później, przystojnego i eleganckiego pomimo roboczych ubrań. Należał do ekipy pracującej przy konserwacji kolei żelaznej. Przystojny i elegancki, lecz ponury i małomówny, wyduszano z niego słówko to tu, to tam, ale nigdy nie zmuszono do rozmowy. Wyruszył po trzech miesiącach, wrócił cztery lata później, wyruszył i znów powrócił, pojawiał się i znikał, nie zostawiając śladu. Nazywano go Tedem, Edem lub Edwardem, zależnie od zwyczaju, jakiego nabrali jego koledzy z pracy, nigdy ci sami, kolejarze, cieśle, poszukiwacze, a wśród nich żadnego zadeklarowanego przyjaciela. Imię się zmieniało, ale ta nieobecność spojrzenia wciąż trwała.

Fotografka zastanawiała się, jak uda jej się utrwalić tę nieobecność na zdjęciu. Ci, którzy znali go jako starca, twierdzili, że niemożliwe jest ujrzenie czegokolwiek w jego oczach. To było jak próba czytania książki, która nie została napisana. Gubiło się tam wśród wyobrażeń tego, co chciało się zobaczyć.

Oczy to u starców rzecz najważniejsza. Ciało się rozlazło, opadło, skupiło w poprzecinane zmarszczkami węzły wokół ust, powiek, nosa, uszu, twarz zrujnowana, nieczytelna. Nie można niczego się o starcu dowiedzieć, jeśli nie skieruje się ku jego oczom, to one zawierają w sobie historię jego życia.

Jeżeli spojrzenie jest ślepe, zdjęcie również takie będzie, powiedziała sobie fotografka.

Uwieczniła około setki starców, nie zastanawiając się, co zrobi z tymi wszystkimi zdjęciami. Książka, wystawa, nie wiedziała. Pozwoliła, żeby poniosło ją poszukiwanie, którego w ogóle nie rozumiała. Jej projekt nie miał sensu, nie licząc przyjemności, którą czerpała ze spotkań z bardzo starymi ludźmi i historiami ich spojrzeń.

Wszystko zaczęło się pewnego kwietniowego popołudnia przed dwoma laty w High Parku w Toronto.

Pierwsze dni kwietnia są w Toronto błogosławieństwem. Drobną, maleńką staruszką w płaszczu z niebieskiej wełny grzała się w słońcu na końcu ławki pod wielkim zmizerniałym dębem.

Plama żywego koloru pośród wypłowiałych brązów końca zimy, właśnie to na początku przyciągnęło uwagę fotografki.

Głęboki błękit płaszcza, jaskrawy róż beretu, białe loki, które spod niego wystawały, olśniewająca biel, a na brzegu i na środku beretu haft z posrebrzanych pereł, które połyskiwały w słońcu. U stóp starszej pani – duża płócienna torba w mauretańskie wzory, a po lewej, na ławce, bawełniana chustka w czerwoną kratę, na której rozłożone były kuleczki chlebowego miąższu, staruszka obdzielała nimi ptaki.

Fotografka zajęła miejsce na drugim końcu ławki i przyglądała się kobiecie dyskretnie.

Tamta była bardzo stara, pomarszczona aż do kości i miała w sobie rodzaj zawieszenia, jakby unosiła ją nieskończoność myśli, które rozchodziły się w powietrzu, podczas gdy ona karmiła gołębie. Działała metodycznie i powoli. Kiedy bawełniana chustka była pusta, wyławiała z torby piątkę chleba, wygrzebywała miąższ i formowała kuleczki, które układała

na chuście w ciasnych rządках.

Fotografka nie odważyła się uwiecznić jej na zdjęciu. Powinna była. W kącikach oczu staruszki migotało różowe światło.

Nie pamiętała później, jak zagała rozmowę ani jak doszły do tematu Wielkich Pożarów.

Drobna staruszka była ocalałą z Wielkiego Pożaru w Matheson. Opowiedziała jej o niebie czarnym niczym noc i o ptakach, które padały jak muchy.

Ptaki padały deszczem, powiedziała. Gdy zerwał się wiatr i przykrył niebo kopułą czarnego dymu, powietrze się przerzedziło, oddychanie stało się niemożliwe z powodu gorąca i dymu, tak dla nas, jak i dla ptaków, i spadały deszczem do naszych stóp.

Rozmowa toczyła się niespiesznie w rytmie ich myśli. Tabebuje różowe, które porastają High Park, wciąż nieśmiała wiosna, odgłosy miasta docierające do nich od czasu do czasu, znów Wielkie Pożary, zatłuszczone papiery na parkowych alejkach, umierająca uprzejmość i znowu Wielkie Pożary.

Kiedy płomienie sięgnęły nieba, powiedziała, było tak, jakbyśmy pływali głęboko w morzu ognia.

Obrazy, które fotografka zapisała w pamięci.

Lecz drobna staruszka miała wkrótce odejść. Wyczerpała swój zapas chleba, a światło dnia bladło. Odejdzie, a fotografka niczego się o niej nie dowie, nie pozna nawet jej nazwiska, i jak gdyby to była jedyna rzecz, którą warto wiedzieć, jak to się robi w przypadku dziecka, zapytała ją o wiek.

Sto dwa lata, odparła staruszka, a jej oczy zamigotały łobuzersko.

Z trudem podniosła się z ławki, wspierając się na lasce, i poszła prosto przed siebie, pozostawiając fotografkę pogrążoną w zdumieniu. Czy naprawdę miała sto dwa lata?

To wszystko stąd, z tego migotania różowego światła w oczach drobnej staruszki, która zabawia się własnym wiekiem, i tej wizji deszczu ptaków pod czarnym niebem, wszystko stąd się wzięło. Fotografka nie wyprawiłaby się na drogi Północy, nie ruszyłaby tym tropem, gdyby wtedy zrobiła zdjęcie, gdyby kliknięciem przypieczętowała ten deszcz ptaków w oczach kobiety z High Parku.

Zauroczona i zaintrygowana starszą panią, która nosiła w sobie obrazy apokaliptycznego piękna, a potem zauroczona i zaintrygowana tymi wszystkimi starymi ludźmi, którzy mieli głowy pełne takich samych obrazów.

Doszło do tego, że polubiła ich bardziej, niż się spodziewała. Lubiała ich zużyte głosy, spustoszone twarze, lubiała ich powolne gesty, wahanie w obliczu umykającego słowa albo wspomnienia, które nie chce przyjść, lubiała patrzeć, jak pozwalają się nieść prądowi własnych myśli, a potem, w środku zdania, przysypiają. Podeszły wiek jawił jej się jako ostatni bastion wolności, wówczas gdy wyplątujemy się z więzów i pozwalamy umysłowi pójść tam, dokąd chce.

Spotkała się ze wszystkimi znanymi ocalałymi z Wielkich Pożarów. Boychuck miał być

ostatnim.

Martwy i pochowany, powiedział jej Charlie. Umarł na śmierć, powiedział jej Tom.

Legenda Wielkiego Pożaru w Matheson nie było już na tym świecie. Nie zaskoczyło to fotografki aż tak. Zdarzało jej się w przeszłości pukać do drzwi osób zmarłych wczoraj, przedwczoraj, wieki temu. Nie była też nadmiernie zrozpaczona czy rozczarowana. Tom i Charlie wydawali się wari nadłożenia drogi. Dwaj śmieszkowie pustelnicy to rzadkie okazy w jej kolekcji starców. Była zdeterminowana, by wrócić do ich samotni. Żeby zrobić zdjęcie albo żeby porozmawiać, mniejsza z tym, jej poszukiwania dawno już wykroczyły poza granice fotoreportażu.

Tom i Charlie są przy piątym papierosie. Poranna rozmowa zatrzymała się na pytaniu, czy Ted wiedział, że wybiła jego godzina, czy widział nadchodzącą śmierć, czy też wzięła go z zaskoczenia.

Śmierć to stara przyjaciółka. Mówią o niej swobodnie. Idzie krok w krok za nimi od tak dawna, że mają wrażenie, iż wyczuwają jej obecność, ukrytą gdzieś w oczekiwaniu, dyskretną za dnia, lecz czasem obezwładniającą nocami. Ich poranne rozmowy to sposób, by trzymać ją na dystans. Gdy tylko wymówią jej imię, przybywa, miesza się do dyskusji, nalega, chce dla siebie mnóstwo miejsca, oni zaś traktują ją szorstko, zabawiają się jej kosztem, nieraz ją obrażają, później odprawiają, a ona, grzeczny piesek, wraca do kąta gryźć swoją kość. Ma czas.

Charlie jest autorytetem w sprawie śmierci. Poznał ją z bliska, kiedy czekał na nią w swoim traperskim obozie. Tom zresztą nie przestaje go pytać. Widziałeś ją? Widziałeś ją?

– Nie, nie widziałem jej, to nie była moja pora.

– A powiedz no mi, czemu nie zażyłeś wtedy swojej szczypty soli? To by było takie proste.

– To nie była moja pora, przecież ci mówię. A poza tym było lato, dobre powietrze, a w nim unosił się słodkawy zapach, słyszałem ćwierkające ptaki, to nie była moja pora.

– Moim zdaniem, Charlie, to nigdy nie będzie twoja pora, ty się nigdy nie zdecydujesz.

Wkrótce nie będą już prowadzić tych rozmów w cztery oczy w chacie Charliego. Mała społeczność nad jeziorem stoi u progu wielkich zmian.

## *Spółeczność nad jeziorem*

Mała społeczność nad jeziorem stała u progu wielkich zmian. Idea kobiety, na dodatek w podeszłym wieku i bardzo kruchej, w tak surowej przestrzeni była wprost nie do pomyślenia. A jednak wytyczała sobie ścieżkę, ta idea niemożliwej kobiecej obecności. Nikt jej jeszcze nie sformułował, choć wszyscy wiedzieli, że nie pozwolą tej kobiecie wrócić tam, skąd przyszła. Było w tej społeczności dość buntowniczości i brawury, by stawić czoła niemożliwemu. Ale jak?

Bruno załatwił sprawę ze swoją matką. Zadzwoił do niej ze stacji benzynowej, żeby oznajmić, że ciotka mu uciekła, kiedy poszedł zapłacić za paliwo w Huntsville, i że szukał wszędzie, ale jej nie znalazł. Zaczekał na policjantów, odpowiedział na ich pytania, podpisał zeznanie i wrócił, uspokojony ich uprzejmą beztróską. Nie będą przeciągać poszukiwań starej kobiety, której nikt nie chce.

Stała się więc teraz wykluczona ze świata, całkowicie pod ich opieką, i musieli znaleźć rozwiązanie licznych problemów, które stwarzała ta sytuacja, przy czym pierwszym było zakwaterowanie jej z minimalną dozą komfortu. Chata Teda oferowała ów minimalny komfort, ale się wahali. Zdawało im się, że Ted nadal tam mieszka.

Marie-Desneige, która nazywała się jeszcze Gertrude, zaaklimatyzowała się w swoim pokoju hotelowym, mało z niego wychodziła i wydawała się nie troszczyć o to, co się z nią stanie. Obecnie zajmowało ją nowe imię, które miało być odtąd jej własnym i które musiała wybrać. Wahala się między imionami ludzi, których znała, a było ich wielu, pacjentów przy Queen Street 999. Nachodziła ją również ochota, by jakieś wymyślić. To było zabawne zadanie, bardzo zajmujące, zaszczyt i odpowiedzialność, które nie pozostawiały jej czasu na nic innego. Każdą propozycję zapisywała na kartce, żeby nie zapomnieć, dodawała komentarz, żeby nie zapomnieć też osoby, która ją zainspirowała. Zdawało jej się, że świat stoi przed nią otworem, kiedy rozkładała wszystkie te kartki na swoim łóżku.

Była tu od czterech dni i nic nie zostało postanowione, ani w wielkiej sali, gdzie Bruno i Steve się upalali, ani też nad brzegiem jeziora. A jednak trzeba było ulokować tę kobietę gdzie indziej niż w hotelu Libańczyka. Zbliżała się jesień, a wraz z nią myśliwi, zabłąkani w drodze i inni niestroniący od pytań.

Nad ranem piątego dnia postanowiono zabrać ją do obozowiska starych, żeby zobaczyć, jak się sprawy potoczą z jednej i z drugiej strony. Podróż odbyto quadem. I tutaj Gertrude nie okazała najmniejszego zdziwienia. Nawet gdy przyszło jej wdrapać się na tę dziwną

machine i otoczyć ramionami plecy Brunona. Steve szedł za nimi na piechotę w towarzystwie swojej suczki.

Tom i Charlie, ostrzeżeni hałasem, czekali na nich na zewnątrz.

Przed chatą Charliego zrobił się tłok. Czterech mężczyzn, kobieta, cztery psy i chmara komarów, które wyszły im na spotkanie.

Tom, jak to miał w zwyczaju, zgrywał kogucika. Zwrócił się do damy z serdecznym powitaniem opatrzonym mrugnięciem zdolnym, pomyślał, wywołać rumieniec u każdej świadomej siebie kobiety. Próbował sam się zarumienić, kiedy zrozumiał, że należałoby się przed damą usprawiedliwić, ale w jego wieku krew donikąd nie dopływa, zadowolił się więc swoją zwykłą bladością i myślą, że ta kobieta jest zbyt ładna, mały, wyczelowany klejnot, zbyt ładna i zbyt pełna gracji, nie było dla niej miejsca u ich boku.

Charlie pełnił honory gospodarza, żeby nie musieć nic mówić. Dla każdego znalazł wygodną kłodę, rozpałił ogień, by przegonić komary, i zniknął w chacie, aby podgrzać wodę, licząc w głowie naczynia na herbatę, którymi dysponował. Starsza pani ze swoimi puchatymi włosami i dłońmi niczym koronka miała w sobie delikatność pisklęcia. Charlie odnosił wrażenie, że wystarczyłoby dmuchnąć, żeby pisklę spadło ze swojego siedziska. Ta myśl go zawstydzila. Miał ochotę umieścić tę kobietę w zagłębieniu dłoni i zanieść ją z powrotem do gniazda. Myśl, która onieśmieliła go jeszcze bardziej.

Konwersację prowadzili Steve i Bruno, którzy wymieniali się refleksjami na temat pięknej pogody i połowu pstrąga, czekając, aż pojawi się okazja, żeby prześlizgnąć się w stronę tego, co ich trapiło.

Herbata została wypita, słońce zbliżało się do zenitu, a wciąż nie udało się uczynić choćby kroku ku temu, co wydawało się nieosiągalnym celem: przekonaniu samych siebie, że ciocia może zamieszkać w chacie Teda.

To wtedy Charlie odezwał się po raz pierwszy:

– Jak panią zwą? – zapytał.

A ciotka odpowiedziała natychmiast, jakby odpowiedź była gotowa, chociaż wciąż zastanawiała się, które spośród imion pozostawionych na łóżku wybrać.

– Marie-Desneige.

– Marie-Desneige to piękne imię.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Charlie zaakceptował właśnie obecność Marie-Desneige wśród nich. Nagle jego mózg zaczął pracować bardzo szybko, szybciej, niż to miał w zwyczaju, za szybko, myśli się kłębiły, nie potrafił za nimi nadążyć, usłyszał, jak mówi, zanim pomysł nabrał kształtu w jego umyśle:

– Zbudujemy coś dla pani, niezbyt daleko, coś wygodnego, tutaj, obok mojej chaty. Nie możemy pani zakwaterować tak, jakby spędziła pani całe życie wśród drzew.

To było niespodziewane, wytrącające z równowagi, ale jak najbardziej wykonalne. Pomysł szybko przyjął się u wszystkich, tak wielką ulgę czuli, że nie będą musieli

przeszkadzać Tedowi w jego życiu ducha. A poza tym był stymulujący, ten pomysł, nie budowali chaty od czasu tej przeznaczonej dla Toma. Było wprowadzić kilka szop, które się zapadły i które trzeba było postawić od nowa, lecz chata mieszkalna to co innego. W chacie mieszkalnej się żyje i umiera, to stamtąd widzi się słońce czekające na nas w letnie poranki, zachodzące zimą, tam słyszy się nocne odgłosy, chata mieszkalna towarzyszy nam we wszelkich naszych przemyśleniach, z nią nigdy nie jesteśmy sami.

Coś wygodnego, powiedział Charlie i miał rację. Damie, Marie-Desneige, potrzebna była wygodna chata. Bieżąca woda, szybko się zgodzono. Nie lada wyzwanie. Długo nad tym dyskutowano. Na dodatek postanowiono, że kobiecie przydadzą się prysznic i toaleta. Kolejne problemy techniczne, które powitali z entuzjazmem. Budowa chaty pochłonęła ich do tego stopnia, że zapomnieli o jej przyszłej lokatorce, przycupniętej na swojej kłodzie i wodzącej od jednego do drugiego zagubionym spojrzeniem.

– Kot, chciałabym mieć w domu kota.

U mężczyzny zmieszanie i ulga. Wypomniała im ich złe maniery, ale powiedziała, że zgodzi się na wszystko, jeśli dorzucą kota.

Zbudowali więc dla niej chatę obok tej należącej do Charliego. Całkiem komfortową. Z bieżącą wodą, prysznicem i toaletą w środku, co wymagało poważnych prac. Wodę doprowadzono z jeziora rurą pokrytą warstwą izolacyjną i pompowano do wnętrza dzięki agregatowi spalinowemu. Co do reszty, do podgrzewania wody w prysznicu zdecydowano się na propan, który miał też służyć do oświetlenia i ogrzewania chaty, jak również do zasilania kuchenki oraz lodówki, sprzętów w głębi lasu luksusowych, uznanych jednak za niezbędne dla kobiety, która nie ma doświadczenia ani z paleniem drewnem, ani z prowadzeniem domu. Nie miała, jak się zdawało, żadnych umiejętności. Sześćdziesiąt sześć lat zamknięcia pozbawiło ją pojęcia o czymkolwiek. Piskłę, które wypadło z gniazda, pomyślał znowu Charlie.

Prace budowlane trwały trzy tygodnie. Chata dość szybko nabrała kształtów, bo zdecydowano się na tradycyjną strukturę z desek i płyt izolacyjnych. Konstrukcja z belek wymagałaby zbyt dużo czasu. Chata mieściła główną izbę, a z tyłu, po północnej stronie, miniaturową łazienkę. Wszyscy byli pod takim wrażeniem, szczególnie Tom i Charlie, którzy dawno już zapomnieli o wszelkich udogodnieniach, że w końcu puścili w niepamięć termin „chata” i odtąd mówili już tylko o „domku Marie-Desneige”.

Rozpoczynali wcześniej rano wraz z przybyciem Steve’a i Marie-Desneige na quadzie. Kobieta uwielbiała swój pokój, ale nie znośiła być sama w hotelu, i mimo że na budowie była absolutnie nieprzydatna, spędzała tam całe dni. Bruno przyjeżdżał później. Zamienił furgonetkę na pick-upa wyładowanego tym, co było w danym momencie potrzebne. Pieniądze nie stanowiły problemu, nigdy nim nie były, plantacja przynosiła więcej, niż potrzebowali.

Humor Marie-Desneige pękał wraz z upływem dni. Na początku były to tylko malutkie

bliski w oczach, potem ciemne strefy, a później znikąca, jej spojrzenie pustoszało.

Czasami słyszano ją, jak śpiewa. Siadała na trawie w pobliżu jeziora i spędzała długie chwile pogrążona, jak sądzono, w kontemplacji wody. Łagodnie wznosił się głos, tak różny od tego, który byli przyzwyczajeni słyszeć. Głos czysty i kryształowy, lekki i daleki. Tylko kilka fletowych nut docierało do nich wśród walenia młotków na budowie. Zwalniano rytm i melodia rozbrzmiewała w całej swej krasie. Była to piosenka z dawnych czasów: syn króla zakochany w pasterce, pożegnanie człowieka, który idzie na szafot, smutna historia śpiewana przez Marie-Desneige pieszczotliwym głosem. Śpiewała ją w kółko, raz, dwa razy, trzy razy, głos łamał się w najsmutniejszym momencie opowieści, sześć razy, osiem razy, głos się gubił, był już jedynie nuceniem, dziewięć razy, dziesięć razy, młotki milkły, spojrzenia zwracały się ku jezioru. Marie-Desneige, z ramionami obejmującymi kolana, kołysała się w przód i w tył i mamrotała piosenkę, której ból docierał do nich w niemych, pozbawionych nadziei nutach.

Te inkantacyjne śpiewy nad brzegiem jeziora napawały ich lękiem, że szaleństwo powoli przebija się znów na powierzchnię.

W pierwszych dniach września domek Marie-Desneige był gotowy. Mały, ledwie większy od chaty Charliego, z moskitierami w oknach, papą umocowaną listwami na zewnętrznych ścianach i dachem krytym blachą, która wystawała nad drzwiami wejściowymi. Powstał genialny pomysł, że pod tą sterczącą częścią można by kiedyś stworzyć werandę otoczoną moskitierami, gdzie Marie-Desneige będzie się w letnie wieczory kołysała, śpiewając smutne pieśni. Może szaleństwo było jedynie tym: nadmiarem smutku, należało po prostu dać mu przestrzeń.

W końcu nadszedł dzień, w którym Marie-Desneige miała przeprowadzić się do swojego domu. Szary dzień, z nisko wiszącymi chmurami i drobnym deszczem, który nie chciał ustać. Przewóz mebli odbył się w pośpiechu i bałaganie. Mebli, które Bruno załatwił z różnych miejsc, żeby nie wzbudzać ciekawości, mebli gotowych, nie było mowy, żeby siekierą ciosać stół dla Marie-Desneige. Nie było czasu i nie było mowy, dla Marie-Desneige trzeba rzeczy nowych i pięknych. Stół, trzy krzesła, rama łóżka, materac, kuchenka gazowa i lodówka w małym rozmiarze, wszystko zeskładowane w wielkiej sali hotelu, trzeba więc było zapakować to do furgonetki, przeładować na przyczepę quada i zaciągnąć do domku własnymi rękoma.

Fotografka pojawiła się na końcu ścieżki w chwili, kiedy uwijali się wokół lodówki.

Zapomniano o tej kobiecie.

Charlie zauważył ją jako pierwszy, otoczoną przez psy i wymachującą czymś nad głową.

Zdjęcia Chummy'ego, pomyślał, jak mogłem zapomnieć, że wróci z tym tu do nas?

To faktycznie zdjęciami psa Charliego tak machała. Kiepska karta wizytowa, zważywszy na okoliczności.

Czterech mężczyzn jednym ruchem zbiło się w gromadę przed drzwiami, żeby zabronić



fotografce wstępu, a przede wszystkim by zasłonić Marie-Desneige, gdyby naszła ją ochota, aby wyjść. Ale to było jak próba powstrzymania deszczu. Wcześniej czy później w nadchodzących minutach padną ze strony fotografki pytania i nie będzie można odpowiedzieć nic, co odwróciłoby jej uwagę.

W zwartej i wrogiej masie, która przyjęła gościa, trwała wytężona aktywność umysłowa. Steve wściekał się na psy, bo te nie zapowiedziały nadejścia fotografki. Ta kobieta naprawdę ma dar, pomyślał. Bruno uznał, że wcale nie jest taka zła, ta barczysta kobieta, ale przyjemnie zaokrąglona i, a niech to, niemal ładna. Myśl, która zabłysła w jego oczach, nie uszła uwagi Toma, który dla rozrywki wyobraził sobie romans. Charlie odrzucił koncepcję przegonienia intruza strzałami z karabinu, ale zasznurował usta, nie powiem ani słowa, nic ze mnie nie wyciągnie.

Wszystko to okazało się niepotrzebne.

Głos fotografki witającej mężczyzn obudził coś w Marie-Desneige, wspomnienie, nadzieję, coś przyjemnego, absolutnie nieodpartego, gdyż natychmiast wyszła z domu, utorowała sobie przejście między mężczyznami i stanęła, cała w uśmiechach, przed młodą kobietą.

– Ange-Aimée – wymamrotała.

Asystowali przy nagłym powrocie jej dawnego życia, kogoś, kogo zdawało jej się, że rozpoznała, osoby, która była jej droga, prawdopodobnie towarzyszki, która wraz z nią przeszła przez najgorsze i niewyobrażalne.

– Ange-Aimée – wymamrotała znowu, ale smutno. Głos był ledwie słyszalny, rozczarowanie namacalne.

Serca im pękały z jej powodu, chcieli ją pocieszyć, lecz ci mężczyźni byli bezsilni wobec bezradności kobiety i to fotografka wykonała potrzebny gest. Nachyliła się do Marie-Desneige, chwyciła jej dłonie i uniosła je do swoich warg.

– Może mnie pani nazywać Ange-Aimée, jeśli tak sobie pani życzy.

Uśmiech powrócił nieśmiało na twarz staruszki.

Fotografka właśnie zdobyła sobie przyjaźń Marie-Desneige, a zarazem prawo wstępu do pustelni. W tej chwili nikt nie był tego świadomy. Dopiero później, gdy starsza pani zaciągnęła fotografkę do domku, a oni usłyszeli, jak się śmieją i paplają, zrozumieli, że ich mała społeczność nigdy już nie będzie taka sama.

Kobiety wyszły w końcu na zewnątrz, a fotografka oznajmiła, że Marie-Desneige potrzebuje pościeli, ręczników i zasłon.

Zasłon!

I proszę, stało się, w samotni były dwie kobiety. Jedna osiadła na stałe, a druga – w roli gościa, mogąca przychodzić i odchodzić podług własnej woli. I oni, pozbawieni wszelkiej władzy wobec tych kobiet i rodzącej się przyjaźni.

Zrobili, co im kazano, i przetransportowali z hotelu pościel, naczynia i inne niezbędne

drobiazgi, ale nie zasłony, bo te, które były w hotelu, rozsypały im się w rękach. Jutro pojedę kupić zasłony, postanowiła fotografka, i dzień zakończył się tą obietnicą.

I oto Marie-Desneige ulokowana na noc w swoim domu. Rozpakowała walizkę, powiesiła ubrania, włożyła koszulę nocną i czekała w łóżku, z dłońmi leżącymi płasko na udach i mocno wyprostowanymi plecami, czekała, aż jej ciało powoli się rozproszy. Przez cały dzień czuła, że będzie chciało się jej wymknąć. Najpierw było uczucie zimna w płucach, które przemieściło się na poziom żołądka, a później chłód wyparował, już go nie czuła, w ogóle nic już nie czuła tam, gdzie przeszedł chłód, i to było przerażające, gdyż wiedziała, że powolutku zaczyna się rozpadać. To wrażenie rozpływającego się ciała było jej znane, przez całe życie musiała z nim walczyć, lekarstwa pomagały, ale już ich nie miała, zapas się wyczerpał i potrzebowała ogromnego wysiłku koncentracji, by odnaleźć integralność cielesną.

Wśród nocy rozbrzmiał śpiew. Wiatr ustał, las był czarny i cichy, słychać było jedynie szept drzew. Śpiew Marie-Desneige wzniósł się, a noc zabrała jej modlitwę w ogrom nieba.

Charlie czuwał. Czekał, aż nie będzie już widać światła w małym domku, żeby położyć się do łóżka. Pił herbatę i palił, zastanawiając się, czy Marie-Desneige dobrze zrozumiała, co jej tłumaczył na temat funkcjonowania lampy propanowej.

Śpiew dotarł do niego w chwili, gdy szykował się do wyjścia, przekonany, że starszej pani potrzebna jest pomoc przy zgaszeniu lampy.

To była stara marynarska piosenka, wolna i ciężka od sprzecznych miłości, która rozplatała swą skargę na melodii noszącej w sobie pozostałości wielkich pływów, słonej mgiełki i kołysania statku na okrutnych morzach. Melodii, która powróciwszy kilka razy z rzędu, stała się przykrzejsza, trudniejsza, ocierała się o dna bezlitosnych mórz. Charlie chciałby już jej nie słyszeć, lecz piosenka rozbrzmiewała wciąż od początku, marynarz ponownie wsiadał na statek, z coraz cięższym sercem, i wylewał swoje nieszczęścia w bezdenne morza. Charlie już nie mógł tego znieść, chciał, by to się skończyło, żeby Marie-Desneige przestała z tymi wszystkimi nieszczęściami, które nie należały do nich, ale ona znów je chwyciła, delectowała się nimi, kisiła się w nich, była tym marynarzem, który przemierzył morza świata w poszukiwaniu zapomnienia. Piosenka napełniła się intymniejszym cierpieniem, głos się zapomniał, przepadł, był już jedynie szeptem wśród nocy, a Charlie wiedział, że Marie-Desneige, tam, bliźniutko, w swoim małym domku, w swoim łóżku, kołysze się w przód i w tył, mocno przyciskając do siebie własne ciało niczym lalkę, którą huśta się w ramionach.

Staruszka rzeczywiście kołysała swoje ciało, śpiewając mu cichutko ostatnie wersy marynarskiej piosenki. Miała nadzieję, że do niej wróci, kilkakrotnie udało jej się w ten sposób na nowo złączyć ciało w jedno. Tym razem wyczuwała pewien opór, coś się jej przeciwstawiało, jakaś nieprzychylna siła odmawiała jej skardze, a ona pomyślała, że chodzi o dom, zbyt nowy, zbyt samotny, zbyt pusty, nigdy nie spała sama, bez drugiej osoby u

swojego boku.

Charlie, kiedy usłyszał hałas u drzwi, wiedział, kto stoi za nimi.

Włożyła płaszcz na koszulę nocną. Jej włosy w świetle księżyca były lśnieniem, a jej oczy w czerni nocy wyrażały ogromną udrękę.

– Mogę tu spać?

Zamaszystym gestem wskazał łożę z futer, które na nią czekało.

Każde z nich znajduje się we własnym kącie, Marie-Desneige w gniazdku z futer, a Charlie na materacu w drugim końcu izby. Ale ponieważ chata jest mała, a noc cicha, słyszą nawzajem swoje poruszenia, słyszą swoje oddechy. Dla Charliego to intymność na granicy tolerancji. Nie ma w zwyczaju dzielić nocy z kimkolwiek poza Chummym. A później ta cisza zaczyna ciążyć snem, który nie przychodzi. Charlie mówi sobie, że musi zadać jakieś pytanie, żeby uwolnić ich od tego ciężaru, ale jakie?

– Ange-Aimée to jakaś twoja przyjaciółka?

– Była królową naszego pawilonu, wszyscy ją szanowali, chodziła jak królowa, mówiła jak królowa, a ja, ja byłem jej przyjaciółką, jej pokojową.

– Pokojową?

Bardziej szepczą, niż mówią. Charlie swoim aksamitnym głosem, którego używa, by zbliżyć się do przestraszonego zwierzęcia. Marie-Desneige czuje się swobodniej. Jest przyzwyczajona do wspólnych sal sypialnych, do zwierzeń szeptanych z łóżka do łóżka. Zduszonym, ledwie słyszalnym głosem opowiada nieco o swoim życiu w azylu, z przyjaciółką, która miała się za królową Szkocji i która dawała jej swoje pończochy do prania i nogawki do obrębiania w zamian za ochronę.

– Nikt nie ważyłby się porwać na Ange-Aimée, królową Szkocji, Anglii, Karpat i Narodów Zjednoczonych.

– Karpaty to nie kraj.

– Narody Zjednoczone też nie.

Śmieją się, rozbawieni tym, że pomyśleli niemal to samo w tym samym czasie, zdumieni, że znaleźli się na wspólnym terenie.

– A dlaczego Marie-Desneige?

– Było wśród nas wiele różnych Marie. Marie-Constance, Marie-Joseph, Marie-Laure, Marie-Jeanne, Marie-Clarisse, Marie-Madeleine, Marie-Louise, Marie-Clarence. Ale była tylko jedna Marie-Desneige. I ona była najładniejsza.

– To piękne imię.

To zostaje powiedziane tonem znaczącym „dobranoc” i, istotnie, nic już nie dodają, tylko zasypiają.

## Trzecie życie Charliego

Fotografka wreszcie miała imię. Nazywano ją, nie troszcząc się o to, że już wcześniej nosiła jakieś imię, Ange-Aimée, na cześć królowej Szkocji i Karpat, która stanowiła prawa u wariatów. Tak było z niemal wszystkim, co Marie-Desneige bezwiednie narzucała.

Życie społeczności nad jeziorem zorganizowało się wokół potrzeb staruszki, czy je zgłaszała, czy nie. Dostała kota, zasłony i fotografkę za przyjaciółkę. Kot był dwuletnim pręgowanym samcem, którego nazwała Jaśniepanem, zasłony miały bardzo delikatny, kwiecisty łososiowy wzorek, który ozdabiał dom zarówno od środka, jak i od zewnątrz, a dla Ange-Aimée z królewskiej pokojowej, którą była w innym życiu, Marie-Desneige stała się damą do towarzystwa.

Starsza pani świetnie przystosowała się do swojego nowego życia. Nauczyła się obchodzić z propanem, obierała ziemniaki, nie ucinając sobie przy tym rąk, każdego ranka studiowała kolor nieba, ale bycie samą w domu bez nikogo w pobliżu, o, tego nie była w stanie znieść. Charlie zauważył to pewnego dnia, kiedy wrócił z polowania i zastał ją w swojej chacie, zagrzebaną pod rulonami z futer, wycieńczone kołysanie ciała, a w spojrzeniu beznadziejna walka zwierzęcia złapanego w sidła.

Obecność fotografki stała się niezbędna. Zarówno po to, by trzymać demony na dystans, jak i po to, by znajdować w sklepie to, co stało się nieodzowne. Pantofle, szlafrok, przybornik do robienia na drutach i książki, żeby czymś zająć wieczory, głównie powieści o miłości, multum powieści o miłości, a teraz, gdy zbliżała się zima, jeszcze więcej powieści.

Ange-Aimée zakwaterowano w zielonej sypialni w hotelu Libańczyka, choć kobieta regularnie wracała do Toronto, gdzie miała mieszkanie, swoją ciemnię i wszystkie te zdjęcia, które czekały, aż zdecyduje o ich losie. Wielkie Pożary, Boychuck i jego tajemnica, wszystko to było dość blade i dość odległe teraz, kiedy poznała tę drobną zbiegłą staruszkę, która próbowała ułożyć sobie życie na końcu świata z dwoma mężczyznami jeszcze starszymi od niej.

Zawsze wiedziałam, że będę miała życie, powiedziała Marie-Desneige do Ange-Aimée w pierwszych dniach ich przyjaźni, nigdy nie porzuciłam nadziei, że będę miała własne życie, a fotografka, do głębi poruszona uczestnictwem w wykluwaniu się tego nowego życia, wślizgnęła się w nową skórę.

Trochę tak jak wtedy, gdy w rodzinie zjawia się noworodek, w społeczności zapanował

rodzaj stanu łaski, który sprawił, że nie było innych zmartwień, jak tylko dobre samopoczucie nowo przybyłej. Najbardziej znaczącą zmianą, choć nikt nie poświęcił jej uwagi, było to, że przestano mówić o śmierci. Temat zginął wśród tumultu kwaterowania Marie-Desneige, a później wśród radości z jej odkryć. Zobaczyła swój pierwszy klucz bernikli kanadyjskich, pierwszy trop zająca w śniegu, łosia, który przyszedł poić się nad jeziorem, sowę w zmarniałych gałęziach brzozy, wszystko było nowe i świeże pod spojrzeniem Marie-Desneige.

Śmierć nie oferowała niczego interesującego, już o niej nie rozmawiano, nawet o niej nie myślano, było z nimi nowe życie, które rozwijało skrzydła.

Ale ich stara przyjaciółka wciąż kręciła się w pobliżu, mimo tego, w co bardzo chcieliby wierzyć, i czasem korzystała z ich nieuwagi, by wślizgnąć się do rozmowy, która w niczym jej nie dotyczyła. Była na przykład kwestia śniegu, jeszcze niezbyt obfitego, lecz utrzymującego się na ziemi. Zimie zdecydowanie spieszyło się, żeby rozbić swój obóz. Prawdopodobnie potrzeba będzie więcej drewna opałowego niż w poprzednim roku. Zastanawiano się, czy nie pójść zaczerpnąć z rezerw Teda. A Marie-Desneige chciała wiedzieć, kim jest Ted. W czasie gdy jej to wyjaśniano, śmierć oddychała swobodnie, odzyskała swoje prawa. Ale nie na długo, bardziej interesowano się Boychuckiem żywym niż umarłym.

Poprzez dziwny zwrot w rozmowie udało jej się któregoś dnia skupić ich uwagę na należącej do Charliego puszcze po soli, która królowała na półeczce nad jego łóżkiem. Ange-Aimée, bo tak ją trzeba nazywać, przebywała w samotni od kilku dni. Przywiozła im z Toronto olbrzymie włoskie ciasto, którego kosztowali małymi kęsami, tak było ciężkie i słodkie. Nie istniał żaden powód, by zainteresować się puszką po soli. Stała na swojej półeczce, a oni, wokół stołu, zajmowali się jedzeniem przesłodzonego wypieku. Nie ma tysiąca sposobów, żeby wytłumaczyć to, co się stało. Tylko złośliwa obecność, skryta gdzieś w głębi chaty, sfrustrowana i urażona, mogła skłonić spojrzenia do zwrócenia się w stronę puszek z cynowanej blachy po tym, jak Tom bez żadnego powodu wygłosił refleksję na temat przerażająco słodkiego ciasta.

– Jest takie dobre, że dziś chyba obejdę się bez soli, mój Charlie.

Wszystkie spojrzenia, nawet Marie-Desneige i Ange-Aimée, które nic a nic nie wiedziały, skierowały się ku cylindrycznemu pojemnikowi. Trzeba było, żeby ktoś rzecz wyjaśnił. Wziął to na siebie Charlie.

Instynktownie zauważył obecność śmierci i zajął się przepędzeniem jej. Wytłumaczył, że puszka po soli zawiera lekarstwo na wypadek ostateczności. Nie ma tu ani lekarza, ani szpitala, powiedział, a istnieją granice tego, co człowiek może przetrzymać. Błyskawica paniki mignęła w oczach Marie-Desneige. Nikt tutaj nie ma ochoty umrzeć, dorzucił pospiesznie, ale nikt też nie ma ochoty wieść życia, które nie należy już do niego. Staruszka zamknęła oczy. Ileż to czasu była uwięziona w życiu, które nie należało do niej, ile lat jej

ukradziono? Charlie nie mógł zignorować myśli, które szalały pod opuszczonymi powiekami. A to, oznajmił, wskazując puszkę z cynowanej blachy, to nadaje wartość zachodowi słońca, kiedy człowieka bolą kości, to nadaje smak życiu, ponieważ wiemy, że mamy wybór. Wolność, by żyć albo umrzeć – nie ma nic lepszego, by wybierać życie.

I proszę, wszystko zostało powiedziane, już do tego nie wracali, chata oddychała swobodnie. Śmierć mogła spadać na drzewo, zostały z niej tylko mgliste strzępki. Dyskusja skupiła się na czymś bardziej spójnym, gdyż Tom podjął się opowiedzenia historii Charliego, żeby przekonać Marie-Desneige, jeśli miała jeszcze jakieś wątpliwości, że nikt z nich nie ma ochoty umierać. Ten stary uparciuch przyniósł ze sobą puszkę po soli aż tutaj z czystej brawury.

– Jeżeli chodzi o mnie – oznajmiła staruszka – to jest moje pierwsze życie i się go trzymam.

Po tej rozmowie nastąpiło mnóstwo innych. Zima miała wkrótce przykryć las swoim zmrożonym bezruchem. Wobec tego jedynie w dyskusjach przy ogniu można będzie znaleźć nieco ożywienia, a ta konkretna zima była szczególnie ożywiona. Konwersacje nigdy wcześniej nie były tak pełne werwy. Ukazały Marie-Desneige jako osobę niezłomną, zdeterminowaną, by przeżyć to, co zostało jej dane, zbuntowaną, dogłębnie zbuntowaną, skradziono jej życie, często to powtarzała.

Te rozmowy przez większość czasu odbywały się u Charliego. Gromadziły troje staruszków i czasami Ange-Aimée. Nierzadko widywało się Brunona i Steve'a nadjeżdżających skandikiem. Było ich wówczas sześcioro w ciasnocie chaty Charliego, przenosili się więc do Marie-Desneige, bo jej dom był przestronniejszy i już wyposażony w trzy krzesła. Wystarczyło przynieść dwa krzesła Charliego i metalowe wiadro, żeby wszystkich usadzić.

Zdarzały się pamiętne chwile. Jak wtedy, gdy Bruno przywiózł chińskie potrawy z sąsiedniego miasta. Sześć aluminiowych pojemników wypełnionych po brzegi smażonym ryżem, warzywami z patelni, żeberkami w sosie czosnkowym, panierowanymi krewetkami. Dwieście kilometrów w obie strony. Dania były zimne. Włożyli je do piekarnika i wyłoniły się stamtąd wrzące, dymiące, pachnące. Mówili o tym całymi dniami.

Zima była szczególnie mroźna, surowa, bezczelna, kłuła w nozdrza, gdy tylko wystawiło się nos na zewnątrz. Tom złapał gripę, która zatrzymała go w łóżku na dwa tygodnie. Ange-Aimée robiła za pielęgniarkę. Charlie spędzał dnie u Marie-Desneige. Odgłos eksplodujących z zimna gwoździ w jej domu ją przerażał. Steve i Bruno wzięli na siebie resztę: zbieranie wnyków na zające, wiercenie dziur w lodzie, transportowanie wody, dostarczanie drewna opałowego, właściwie zajmowali się wszystkim, bo Tom był bardzo osłabiony gripą, a Marie-Desneige – przerażona dźwiękami swojego domu.

Spółeczność nad jeziorem zespoliła się w czasie tej zimy, zbita w kupkę wśród wielkich mrozów, nigdy zbyt daleko od siebie nawzajem. Marie-Desneige rozkwitła jak młoda

dziewczyna pośród tych wszystkich atencji. Nie słyszano już jej inkantacyjnych śpiewów, które mroziły krew w żyłach. Niemniej jednak w dalszym ciągu zamieszkiwały ją niekontrolowane lęki, z których najstraszliwszy dotyczył wymykającego jej się ciała. I każdego wieczoru, wiedzioną obawą, że ta okropna rzecz może się powtórzyć, pukała do drzwi Charliego.

Ani jednej nocy nie przespała w swoim domu. Była przyzwyczajona do sal sypialnych, wyjaśniła Charlieemu, przyzwyczajona do zasypiania w ostrej woni takiej sali, wokół niej dwadzieścia kobiet, ich ciepłe oddechy, ciężar ich splecionych snów, a tuż-tuż, w łóżku obok jej własnego, jej przyjaciółka Ange-Aimée.

Charlie na nią czekał. Rozwijał futra, napełniał piecyk kawałkami suchej brzozy i wyczekiwał tego drzenia, które informowało go o momencie, w którym stawała u drzwi.

Przychodziła owinięta w płaszcz i z błaganiem w oczach, by chronił ją przed nią samą. Pod płaszczem nie miała nic poza koszulą nocną, prawdziwą ucztą dla oczu Charliego, koszula nocna z białej pluszowej dzianiny rozświetlona kołnierzykiem z różową lamówką, jedyna sztuka damskiej odzieży, jaką widział od wieków, bo za dnia obie kobiety z obozowiska zakrywały się grubymi koszulami opadającymi na męskie spodnie.

Marie-Desneige szła prosto do swojego posłania i wślizgiwała się pomiędzy futra. Charlie czekał na tę chwilę, by zgasić lampę. Nie przyjąłby gościa w stanfieldzie, wełnianym kombinezonie, noszonym pod wierzchnią warstwą odzieży, który przykrywał całe jego ciało i z którym zimą się nie rozstawał, nawet na czas spania, w drugiej skórze, równie woniejącej jak pierwsza, ale gładkiej i jednorodnie szarej. Czekał więc, aż zapanują ciemności, żeby rozebrać się do stanfielda i samemu wpełznąć pod okrycia.

Podczas wielkich zimowych chłódów Chummy również spał w chacie. Rozciągnięty na całą długość pośrodku izby, tworzył swego rodzaju mur, niewidzialną przegrodę, która pozwalała im wierzyć, że są chronieni przed zbyt dużą intymnością. Mogli rozmawiać, nie martwiąc się tym, co im przyjdzie do głowy, bo leżeli w ciemności, oddaleni jedno od drugiego, a także dlatego, że wkrótce pochłonie ich sen, który zajmie się tym, co zostało powiedziane. Te długie rozmowy działały niczym kołysanka, Marie-Desneige zasypiała jako pierwsza, a Charlie czekał tego momentu, żeby wyslizgnąć się z łóżka i dołożyć do pieca brzozowe polano.

Ich nocne dyskusje nie znajdowały echa nazajutrz. Charlie, budząc się jako pierwszy, dokarmił piecyk, zagotowywał wodę na herbatę i zabierał się za przygotowywanie śniadania. Potem wstawiała Marie-Desneige i szła mu pomóc. Stare małżeństwo, myślał nieraz Charlie, jesteśmy jak stare małżeństwo, i za każdym razem dziwił się, że ta myśl nie prowadzi go do żony, którą porzucił przed piętnastoma laty.

Za pierwszym razem, kiedy Tom tak ich zastał, również odniósł wrażenie, że zaskoczył stare małżeństwo oddające się swoim drobnym codziennym rytuałom. Marie-Desneige w koszuli nocnej, Charlie ubrany, ale jego łóżko niepościelone, a w drugim kącie chaty



rozłożone posłanie z futer, nie mogło być żadnych wątpliwości, że spędzili noc razem.

– No cóż... mój Charlie...

Przychodził, jak to miał w zwyczaju, na poranną rozmowę z Charliem, a zastawał go w sytuacji, by tak rzec, małżeńskiej. Mógłby czuć się z tego powodu obrażony, zdradzony lub czegoś pozbawiony. Te rozmowy były czymś, co mieli na wyłączność, rytuałem, od którego nigdy wcześniej nie odstępili. A oto jego towarzysz samotności spędza poranki z kobietą w koszuli nocnej. Lecz wykoślawione uczucia nie utrzymują się w lesie długo, tego by się nie przetrwało, więc Tom usiadł przy stole z pełnym wyczekiwania spokojem. Czekał, aż umilknie wewnętrzny zgiełk, by znaleźć do powiedzenia to, co trzeba.

Przyzwyczajono się widywać ich razem. Kiedy nie była u niego, on był u niej albo też szli wspólnie w gęstym śniegu szukać śladów spóźniającej się wiosny. Ona, taka drobna i taka krucha, mały ptaszek wiecznie na krawędzi zostania porwanym przez wiatr paniki, i on, masywny, tak ciężki i tak powolny, blok granitu, którego nic, zdawało się, nie może ruszyć z miejsca.

Wystarczyło, by położył dłoń tam, gdzie mu wskazała, a wracała na powierzchnię. Tam, mówiła. Chodziło o płuca albo o żołądek, albo o wątrobę, któremuś z organów było zimno i groziło mu zniknięcie. Dłoń Charliego powoli, delikatnie łątała wyrwę i Marie-Desneige, znów uspokojona, uśmiechała się do życia, które do niej powracało.

Stary niedźwiedź przytrzymujący na ziemi podniebną istotę.

– Po mojemu, Charlie, rozpoczynasz trzecie życie.

*W chacie Charliego jest zimno. To noc pełni księżyca. Chłód jest żywy i dotkliwy. Piecykowi udaje się jedynie utrzymać krąg letniego powietrza, który nie sięga krańców chaty.*

*Ze swojego łóżka Charlie z niepokojem obserwuje mały biały obłoczek, który wydobywa się z gniazda futer. Chciałby, żeby Marie-Desneige zagrzebała się tam w ciepłku, ale wie, że kobieta nie zaśnie, dopóki nie skończy tego, co postanowiła opowiedzieć.*

*– Za pierwszym razem sądziłam, że ktoś inny przyszedł, żeby we mnie zamieszkać, sądziłam, że to anioł, niebiańska istota, zawładnął moim ciałem, sądziłam, że odleczę. Nie spanikowałam. To było jednocześnie realne i nierealne. Niczym jakaś gra. Zostawiłam moje ciało tam, gdzie było, i poszłam obwieścić mojej matce, że stałam się aniołem. – Marie-Desneige usiłuje objaśnić proces dezinkarnacji, na którą narażona jest od okresu dorostania. – Zamknęli mnie. Miałam szesnaście lat.*

*Charlie jest niespokojny.*

*– Teraz nie ma już obcej obecności, żadnego anioła, żadnej istoty przybyłej z góry, jestem tylko ja i wrażenie pustki. To niesamowicie realne, ale trudne do wytłumaczenia. Najpierw jest bardzo powolne, bardzo płynne, to wrażenie pustki, która próbuje gdzieś się zaczepić. Potrafię dokładnie określić miejsce, gdzie to się zaczyna. Na poziomie organów, często wokół wątroby. Pustka, kiedy już się zagnieżdży, wsysa całą resztę. Odejść jest łatwo, ale wrócić to horror. I wspomnienie tego horroru mnie przeraża, gdy tylko czuję, że atakuje mnie pustka.*

*Charlie nie niepokoi się o tę część Marie-Desneige, która zanurzona jest w futrach, zna ciepło tego przytulnego gniazda, często spał tam z Chummym. Niepokoi go biała, jaśniejsza plama, głowa Marie-Desneige poza gniazdem, obłoczek, który się stamtąd wydobywa i który tworzy teraz małą białą chmurkę. Chłód przybiera na intensywności.*

*– Opowiedz mi o Ange-Aimée.*

*Ma nadzieję, że kobieta zaśnie, dzieląc się historią opowiadaną niezliczone razy, i że zakopie się głębiej w futrach.*

*– Miałam siedemnaście lat, kiedy ją poznałam, a ona dwadzieścia jeden. Sprowadziło ją tam wielkie wyczerpanie nerwowe po urodzeniu pierwszego dziecka, jedyne, które miała. Postawili diagnozę o postępującej melancholii i zrobili Ange-Aimée histerektomię. Była w pozałowania godnym stanie. Przez cały dzień kołysała się w wielkiej sali z nieistniejącym niemowlęciem na ręku. U mnie zdiagnozowano otępienie wczesne z powodu mojego ciała, bo widywałam, jak się rozpada. Schizofrenia, powiedzieli później. Ukołysałam jej dziecko. To tak zaczęła się nasza przyjaźń. Spytałam ją, czy mogę potrzymać jej maleństwo, ona przekazała mi je z wielką troską, ja wzięłam je z taką samą ostrożnością i kołysałam długo,*

śpiewając mu piosenki. I to w ten sposób, na zmianę huśtając nieistniejące dziecko, nauczyłyśmy się nie być tam, gdzie byłyśmy. Kołysałyśmy niemowlę przez rok, później umarło, wyprawiłyśmy mu pogrzeb, a Ange-Aimée została królową Szkocji i Anglii. Karpaty i Narody Zjednoczone przyszły później. To nam uratowało życie. Całymi latami królowałyśmy nad samymi sobą. Nie widziałyśmy szcurów ani karaluchów, nie słyszałyśmy krzyków ani wycia. Miałyśmy nasz własny wszechświat, nasze własne prawa, nasze własne fantazje. Ona była królową, a ja jej pokojową. Moje ciało dobrze się trzymało. Czasami widziałam, że odchodzi, ale czepiałam się go i wracało.

– Zimno ci?

Nie chce słyszeć reszty, nie chce, żeby o niej opowiadała. Rozłątka, elektrowstrząsy, wstrząsy insulinowe, cała ta reszta, nie może jej znieść. Rozdzielono je. Ich przyjaźń uznano za szkodliwą. Szkodliwą dla kogo, szkodliwą z jakiego powodu? Kiedy jest się pensjonariuszem Queen Street 999, takich pytań się nie zadaje. Ange-Aimée została przeniesiona na piętro neurotyków, a dla Marie-Desneige rozpoczęło się piekło. Ataki paniki się nasiliły. Jej ciało znikało bez ostrzeżenia, nieraz w sposób całkowity. Elektrowstrząsy, wstrząsy insulinowe, w udziale przypadły jej wszystkie psychiatryczne horrory tamtej epoki, nie wie, jak udało jej się uniknąć lobotomii. Nie wie też, co się stało z Ange-Aimée. Nigdy więcej jej nie zobaczyła.

– Nie, to tobie jest zimno.

Ze swojego przytulnego gniazdka słyszy go, jak przewraca się w łóżku z boku na bok w poszukiwaniu ciepła. Chłód można kroić nożem. Piecyk robi, co może, ale noce pełni księżycy są okrutne. Charlie w regularnych odstępach czasu wstaje, żeby dorzucić do ognia kolejne szczapy. Marie-Desneige wie, że mężczyzna nie zaśnie, że będzie przez całą noc czuwał.

– No już, chodź, tutaj jest ciepło, a ty w swoim łóżku zamarzasz.

Zaproszenie jest kuszące. Charlie dobrze zna otulające ciepło futra. Ale spanie u boku Marie-Desneige, w intymnej bliskości z kobietą... Nie może, jego ciało odmawia, to zbyt duża utrata kontroli.

Podnosi się, żeby jeszcze raz dołożyć do pieca, a jego ciało, do żywego ukłute chłodem, prowadzi go do posłania Marie-Desneige.

– Widzisz, to nie było takie trudne – mówi ona, otwierając przed nim swoje łóżko, a on wyciąga się u jej boku, mroźne mgiełki ich oddechów łączą się w biały obłoczek, który gubi się wśród nocy.

Chummy przychodzi, by do nich dołączyć.

Ich pierwsza noc w gnieździe z futer.

## *Młode dziewczęta o długich włosach*

Wiosna długo zwlekała z nadejściem. Lody wyzwoliły jezioro dopiero w połowie maja, a trzeba było jeszcze doczekać początku czerwca, żeby naprawdę poczuć się swobodnie. W lesie wciąż leżały płaty śniegu. Wiatr z północy przyprawiał o dreszcze w pełnym słońcu.

W połowie czerwca uznano, że ziemia jest gotowa na przyjęcie pierwszych sadzonek marihuany. Roślinki zagracaly hotelową kuchnię od przeszło miesiąca, trzeba je było zasadzić, zanim zwiędną. Plantacja znajdowała się na zboczu wzgórza, w pobliżu chaty Toma. Operacja nie była bardzo skomplikowana, lecz wymagała kilku dni pracy, wobec czego Marie-Desneige i Ange-Aimée zostawały same w obozowisku, podczas gdy mężczyźni przebywali na plantacji.

Ange-Aimée już dawno zrozumiała, o co tu chodzi. Brak troski o pieniądze, grube jointy, którymi Steve i Bruno wymieniali się w hotelu, worki nawozu ułożone w sterty w kuchni, aż nadto dowodów dla zorientowanej kobiety.

Jeśli chodzi o Marie-Desneige, ta nie rozumiała zupełnie nic. Tłumaczono jej to setki razy, wszystko na darmo, to wykraczało poza jej zdolność pojmowania. Papierosy, które pali się, by uciec od rzeczywistości, by podróżować we własnej głowie, jak mówili, bez bagażu i bez drogowskazów, nie rozumiała, że osoby przy zdrowych zmysłach mogą chcieć oddawać się szaleństwu.

Kobiety miały więc parę dni, które wykorzystały na długie spacery. Wszystko rozkwitało, latu było spieszno, by pokazać się w pełnej krasie. Podążyły ścieżkami, które zaprowadziły je do opadającego kaskadą strumienia, niżej – do wylęgarni szczupaków, a jeszcze dalej – do kolonii fiołków, fiołków motylkowatych, powiedziała Ange-Aimée, przypominając sobie swoje inne życie, są jadalne, można z nich zrobić konfiturę, i oto obie już siedziały w kucki wśród poszycia.

Odwiedziły obozowisko Toma, nieopisany rozgardiasz, i kilkakrotnie minęły to należące do Teda, nim przekonały same siebie, że mogą rzucić na nie okiem. Zimowe rozmowy uczyniły z niego miejsce mityczne, niemal uświęcone, a co najmniej zakazane, nikt tam nie wchodził od zeszłego lata, więc z największą ostrożnością, naznaczoną ciekawością i szacunkiem, wkroczyły do chaty Teda.

Ange-Aimée prędko zauważyła płótna, które ją zaintrygowały. Nie było w nich nic naiwnego czy niezdarne, jak to sobie wyobrażała. To było grube sfumato poprzecinane czarnymi liniami, za którym można się było domyślić obecności prawdziwego artysty. Pod

dymną szarością – plamy koloru, które spotykały się w rozgałęzieniu okolonym linią w barwie indygo. Trzy obrazy powtarzały tę samą kompozycję. Ten na sztaludze miał bardziej emocjonalny ładunek. Płótno rozjaśniało się pośrodku głębią, której pozostałe nie posiadały.

– Pomarli, wszyscy, a w jaskini jest ich wielu.

– Co? Co ty mówisz?

– Jest ich sześcioro, może więcej, ten różowy punkt wewnątrz pomarańczowej plamy to mógłby być ktoś bardzo malutki, może dziecko, maleńkie dziecko, prawdopodobnie niemowlę, i wszyscy pomarli, spójrz, jaki twardy i chłodny jest błękit, który ich otacza. A może jednak ta pomarańczowa plama jest w ciąży, może matka jeszcze nie urodziła. Różowy punkt to dziecko, które ma przyjść na świat, albo noworodek w ramionach matki, i nic się w tej jaskini nie rusza.

W piwniczce, nie w jaskini, w piwniczce na warzywa, w której zginęli ojciec, matka i pięcioro rodzeństwa Teda. Jedynym fałszywym założeniem była jaskinia. Co do reszty, to było zdumiewające. Marie-Desneige odszyfrowała obraz w sposób tak wnikliwy, tak światły, że Ange-Aimée również ujrzała dziecko w pomarańczowej plamie, obronną postawę matki, a obok, w żółtej plamie, ojca, także obrońcę, na kolanach ojca zaś inne dziecko, to z kolei koralowe. Umarł, płacząc, uściśliła Marie-Desneige.

– Jak ty to robisz?

– Spędziłam ponad sześćdziesiąt lat na odszyfrowywaniu wszystkiego, co mówiono i czego nie mówiono wokół mnie. Gesty, spojrzenia, to, co im się wymykało i co w ich mniemaniu znajdowało się poza moim zasięgiem, ja w to wnikałam, magazynowałam, a wieczorem, leżąc w łóżku, przeprowadzałam sekcję najdrobniejszego słowa, najmniejszego gestu, wszystko na nowo analizowałam. Przetrawanie w azylu wymaga zachowania stałej czujności. To wyostrza zmysły.

Fotografka przypomniała sobie, co Bruno powiedział na temat swojej ciotki. Widzi rzeczy, których my nie widzimy.

– Co jeszcze widzisz?

– Że w tej chwili bardzo byś chciała zaprowadzić mnie do drugiej chaty. Masz rozszerzone pory, jest ci ciepło, jesteś podekscytowana na myśl o obrazach, które czekają na nas w tamtej chacie.

– Są ich setki.

– No cóż, moje ty biedactwo, będziesz musiała poczekać, bo moje kości są zmęczone. Może jutro, jeżeli dzień okaże się dobry na spacer.

Ange-Aimée na powrót stała się fotografką. Wszystkie te obrazy spiętrzone w swojej tajemnicy, tam, całkiem blisko, zawierały historię życia, historię chłopca chodzącego wśród dymiących szczątków, mężczyzny zamkniętego w swoim nieszczęściu. Historia, która wymykała jej się przez cały czas trwania poszukiwań na temat Wielkich Pożarów, była

zakodowana w plamach koloru, do których jedynie Marie-Desneige posiadała klucz.

Ale Marie-Desneige była w tej chwili bardzo stara. Biała, prawie bezkrwista, spoczywała na krześle Teda, plecy zgarbione zmęczeniem. Spacer, do spółki z odczytywaniem obrazów, ją wykończył. Prosiłabym o zbyt wiele, zmartwiła się Ange-Aimée, która na powrót stała się fotografką. Jutro, postanowiła, żadnych spacerów, przyjdę po płótna i zaniosę je do niej. Kilka, siedem albo osiem, nie więcej.

Była rozczarowana niewielkim poruszeniem, jakie wywołała nowina. Mężczyźni skończyli prace na plantacji i obiecywali sobie nazajutrz wyprawę na ryby w nagrodę za swój znój. Pstrąg kryjący się w chłodnych wodach jeziora był atrakcyjniejszy niż zagadka nagryzmołona w głębi obrazu. Gdyby Ted chciał, żeby dało się coś z tego zrozumieć, bardziej by się postarał, brzmiała jedyna odpowiedź Toma. Bruno i Steve wypalili więcej niż swój przydział, byli powolni, zatopieni w szerokich uśmiechach, nowinie udało się tylko wepchnąć ich jeszcze głębiej w ten stan. Nikogo nie dziwiło, że chłopiec, którego uważano za ślepego, mógł osiemdziesiąt lat później namalować scenę naświetloną przez Marie-Desneige. Jedynie Charlie okazał zdumienie, ale dotyczyło ono starszej kobiety, długie, pełne podziwu spojrzenie, które nie uszło niczyjej uwagi.

Następny dzień wykorzystano więc na łowienie ryb. Pstrąg przebywał w głębokiej zatoczce za mierzeją znajdującą się naprzeciwko obozowiska Teda. Wystarczyło dwadzieścia minut w kanadyjce, żeby dostać się na miejsce. Kanadyjka była starą drewnianą łódką. Ponieważ mieściły się do niej zaledwie cztery osoby naraz, potrzeba było dwóch kursów, żeby przetransportować wszystkich na drugi brzeg. Psy podążyły za nimi wpływ.

Miejsce było zachwycające. Skryta za pasmem lądu zatoka korzystała z gry cienia i światła, które zabawiały się w wodach jeziora. Na brzegu kilka stromych skalistych zboczy, złociste, piaszczyste wyrwy, małe plaże skąpane w słońcu, a za nimi – bujna roślinność, las cedrowy, którego przesycona kamforą woń odganiała komary, w tym tkwił cały sekret tego miejsca.

Mieli tam letni obóz. Chatę kropka w kropkę podobną do tych, które służyły im za schronienie na drugim brzegu. Umeblowana była dużo skromniej, mieściła jedynie piecyk, mały i prosty, trzy stelaże łóżek, na których spoczywały zawiniątka z futer, stół, trzy krzesła i przyklejony do ściany blat oraz kilka kuchennych sprzętów. Zdumiewająca była myśl, że trzech mężczyzn liczący sobie prawie sto lat każdy i mieszkający w najdalszej głębi lasu potrzebują miejsca oddalonego o dwadzieścia minut od swojej samotni, gdzie wyjeżdżają na wczasy w piękne letnie dni. Jak mieszcuchy do swoich domków letniskowych, pomyślała fotografka.

Ted kojarzył się z tym miejscem, był cichym towarzyszem, ale zapalonym wędkarzem, i przez cały dzień, za każdym razem, gdy pstrąg łapał się na żyłkę, to właśnie Ted zjawiał się, by odświeżyć im pamięć.

Dużo się mówiło o Boychucku, o sposobie, w jaki zarzucał wędkę, nigdy żadnego

zbędnego ruchu, zawsze w cieniście zakątku, i ten zarys uśmiechu, kiedy ryba brała, ale ani słowa, nawet gdy wyciągał piękną zdobycz, zwycięstwa Teda były poufne. Tak jak z całą resztą nie pozwalał, by cokolwiek mu się wyrwało, żadna oznaka złego humoru czy niecierpliwości, był niemy w temacie wszystkiego, co go dotyczyło. I wreszcie zaczęto rozmawiać ku wielkiej satysfakcji fotografki o tych obrazach, które po sobie zostawił, a które być może zawierały pewne elementy odpowiedzi na zagadkę Teda, lecz zachowywano sceptycyzm. Nie istniał dla nikogo, nawet dla siebie samego, czemu zadawałby sobie trud wyjaśnienia siebie w obrazach, których nie można było zrozumieć?

Charlie się nie zgadzał. Ted wiódł prawdopodobnie głębsze życie, niż można było to sobie wyobrazić. Z nas trzech, oświadczył, to on miał najwięcej do powiedzenia, być może za dużo, za dużo, żeby powiedzieć to słowami. Człowiek, który spędza ostatnie dwadzieścia lat życia, łamiąc sobie głowę nad tym, jak nadać sens plamom koloru, ma ogromnie dużo do powiedzenia.

Słowa Charliego odniosły perswazyjny skutek i nazajutrz, w kolejnych dniach, a właściwie przez całe lato, starano się pojąć tajemnicę Teda.

Obrazy przynoszono do Marie-Desneige, po pięć dziennie, nie więcej, Charlie nad tym czuwał, i zabierano z powrotem do chaty Boychucka, opisane i sklasyfikowane w porządku chronologicznym. Opowiadały historię Wielkiego Pożaru w Matheson, taką, jaką przeżył Ted podczas swoich sześciu dni błędzenia, fotografka dość szybko zdała sobie z tego sprawę.

W sumie trzysta sześćdziesiąt siedem płócien, które w głównej mierze podejmowały wciąż ten sam motyw, rozbłyśki żywego koloru na zasłonie z dymu, ale w zbiorze znalazły się też takie, które wysuwały swoją świetlistość na pierwszy plan. Na przykład obrazy ilustrujące chwile tuż po pożarze. Fotografka rozpoznała je, nie potrzebując Marie-Desneige do rozkodowywania. Ze względu na to złotawe światło, o którym mówili jej ocalali, a które na płótnie zajmowało całą przestrzeń, zwęglone pnie drzew tworzyły jedynie koronkowy wzorek w tle. Trzeba było jednak oka Marie-Desneige, by odkryć obecność zwłok w niewyraźnej czerni u dołu płótna.

W ciągu lata fotografka zajęła się ułożeniem fragmentów na odpowiednich miejscach, gdyż Ted nie malował tak, jak pisze się powieść, troszcząc się o opowiedzenie historii. Interesował się jakąś sceną, tworzył jedną lub kilka jej wersji, składał je w chacie, a następnie porywał się na inną scenę, o dwa, pięć dni późniejszą, porządek chronologiczny wspomnień nie miał dla niego większego znaczenia, malował, aby się od nich uwolnić, uwypuklić je lub zostawić dla jakiejś nieskonkretyzowanej potomności. Gruba warstwa farby pokrywająca płótna dowodziła, że poświęcił im dużo czasu.

Ted nie był ślepy przez cały czas trwania swojej wędrówki. Fotografka wątpiła nawet, czy w ogóle stracił wzrok, chyba że tylko częściowo. Istniały płótna przedstawiające epizody, podczas których młody Boychuck został opisany jako niewidomy. Na przykład ten

z ocalałymi ze stawu, scena niezmiernie surrealistyczna. Trzech mężczyzn po pierś zanurzonych w błotnistych wodach stawu, łoś, który schronił się w tych samych wodach, i ptak przycupnięty na prawym ramieniu najmłodszego z mężczyzn. Fotografka miała problem z rozpoznaniem starca, który przybliżył jej ten epizod, wówczas młodego mężczyzny z ptakiem na ramieniu, ale były tam wszystkie szczegóły, winkrustowane w grube strumienie koloru, nie można było uciec przed tą wizją końca świata. Kolebał się wśród szczątków, powiedział jej najmłodszy starzec, jakby szedł zbyt dużymi dla siebie krokami, jakby szedł krokami Boga.

Niektóre obrazy ujawniały epizody zupełnie jej nieznanne. Żaden ocalały nie wspominał o dwóch młodych dziewczynach, które dryfowały na tratwie wzdłuż Black River. Ich włosy, wspaniale jasne i świetliste, zakrywały im całe ciała. Gdy leżały na tratwie płasko na brzuchach, widać było jedynie złotą smugę na czymś, w czym Marie-Desneige rozpoznała czarne wody rzeki. Nie wiedziała jednak, jak interpretować świetlistą smugę w masie czerni. Trzeba było innych obrazów, które przedstawiały ten sam motyw pod innym kątem, a później jeszcze innych, na których młode dziewczęta stały lub klęczały na tratwie, aby udało im się rozróżnić ludzkie kształty pod masą włosów. Te same młode dziewczęta powracały w innej serii, Marie-Desneige natychmiast je rozpoznała, gdzie widać je było, jak wymachują rękami nad głową. Krzyczą, błagają, zauważyły na brzegu kogoś, kto mógłby przyjść im z pomocą, oznajmiła.

Widziano je jeszcze parokrotnie w ciągu lata. Charlie i Tom, którzy dotąd trzymali się na dystans, zaczęli interesować się historią dwóch młodych dziewczyn. Bo wyraźnie z tym właśnie mieli do czynienia, z historią mającą swój początek, gdy widać je było daleko na rzece, później zaś bliżej, wiosłujące dłońmi, a jeszcze później – wywracające się wraz z tratwą, tak przynajmniej przypuszczała Marie-Desneige. Ta seria była pomieszana, trudna do odczytania. Im bardziej zagłębiało się w opowieść, tym mniej się rozumiało. Obrazy były już tylko strumieniami i tryskami intensywnych kolorów. Ted przerzucił się na szpachlę i dripping.

I tak dotarliśmy do dnia, w którym Marie-Desneige, rozradowana odczytaniem szczególnie mglistego obrazu, ogłosiła, że chodzi o portret młodych dziewcząt. Wskazała linie, które należało prześledzić w gęstej masie, a które zarysowywały kontury twarzy, usta, policzki i, tam, gdzie prześwitywał rozbłysk różowego światła, oczy oraz, co czyniło postaci rozpoznawalnymi wśród wszystkich innych, owe płączące się złotawe pasma, ich włosy.

– Bliźniaczki Polson! – wykrzyknął Tom, zdumiony, że rozpoznał kogoś wśród tego chaosu.

– Kto?

– Bliźniczki Polson, prawdziwe piękności, a te ich włosy! Niewiarygodne czupryny! Ale Tedowi się pomyliło, nie miały tak długich włosów, w każdym razie nie aż do kostek.



Tom nie wiedział zbyt wiele na temat bliźniaczek. Urodzone w Matheson z ojca Szkota i matki Łotyszki, stanowiły lokalną atrakcję. Przyjeżdżano z miejsc tak odległych jak Hearst, żeby je zobaczyć. Z wiekiem stawały się coraz bardziej urodziwe i w okresie dojrzewania rodzice postanowili ukryć je przed oczami świata. Zbyt piękne jak na taką zapadłą dziurę. Tom nie miał pojęcia o ich odysei na Black River. Zdawało mu się, że niejasno pamięta, iż jedna wyszła za typa z Cochrane, a druga pojechała za jakimś muzykiem.

Co było pewne, to że zrobiły silne wrażenie na młodym Boychucku. Ogólna liczba poświęconych im obrazów wynosiła trzydzieści dwa. Czy Ted był zakochany w jednej z nich? Albo w obu? Pytanie samo się nasuwało.

Nazajutrz po odkryciu portretu bliźniaczek Polson Charlie zabrał Marie-Desneige na wypoczynek w letnim obozowisku. Był to jedyny sposób, by oddalić ją od obrazów. To zadanie ją wykańczało.

Fotografka wykorzystała dzień przerwy na klasyfikację i etykietowanie obrazów. Najtrudniej było nadać każdemu z nich tytuł. W przypadku serii o bliźniaczkach Polson tytuł był oczywisty. *Młode dziewczęta o długich włosach 1, 2, 3, aż do 32*. Ale niektóre płótna pozostawały bez nazwy i czekały oparte wzdłuż ściany chaty, aż na fotografkę spłynię natchnienie. Tak było z *Dzieckiem ze strumienia*, tak nazywała ten obraz w myślach, lecz nie chciała się zgodzić na przypisanie mu tego banalnego tytułu. Dramat, który przeżyło to dziecko, zasługiwał na więcej namysłu. Była też cała seria dotycząca hekatomb w Nushce. Obrazy apokalipsy pozostające bez słów. Z tej serii wyodrębniła jednak dwa płótna przedstawiające *Płaczącą krowę*. Tytuł przyszedł sam z siebie. Krowa była we łzach, dosłownie. Na *Płaczącej krowie 1* łzy spadały jedna po drugiej, niczym perły deszczu wśród zrujnowanego krajobrazu, podczas gdy na *Płaczącej krowie 2* płynęły strumieniami. Nie rozumiała, dlaczego Ted posunął się do tak fantastycznego wymysłu.

Marie-Desneige i Charlie wrócili pod koniec dnia, rozluźnieni i uśmiechnięci, wypad bardzo dobrze im zrobił.

Powrócono do odczytywania obrazów, lecz od tej pory troszczono się, by zapewnić staruszce przerwy. Rozszyfrowywanie płócien było bardziej wymagające, niż się wydawało, i Marie-Desneige po czterech czy pięciu dniach pracy stawała się wyzuta z życia, powolna i niemal traciła ostrość widzenia, starsza o jeden dzień, mówiła ze znużonym uśmiechem, a Charlie zabierał ją do letniego obozowiska.

Północ cieszy się krótkimi, acz intensywnymi latami. Suchy upał, bez wiatru, nieruchomy, więzi powietrze i nie pozostawia wam innego wyboru, jak tylko dać nura do jeziora. I prawdopodobnie to właśnie robili Marie-Desneige i Charlie. Wracali ze swoich eskapad bardziej uśmiechnięci niż kiedykolwiek wcześniej, z włosami ociekającymi wodą. Marie-Desneige w roli galionu dziobowego na przedzie kanadyjki, ledwie rozpoznawalna z powodu włosów przylegających gładko do czaszki, i Charlie na tyle, wiosłujący książęcymi ruchami.

Lato było już w pełni rozkwitu, gdy doszli do obrazu, który miał nadać całkiem nowy sens poszukiwaniom fotografki. Obraz porywał swoim realizmem, całkowicie różnił się od reszty dzieł Teda, był to portret, który fotografka natychmiast zidentyfikowała. Kobieta namalowana w jasnych barwach na fioletowym tle miała spojrzenie, któremu nie sposób umknąć. Otulające, łagodne, niemal pieszczące. Cała obecność tej kobiety kryła się w oczach, które wydawały się niebieskie lub zielone, kolor trudno było rozróżnić, lecz światło, które z nich biło, nie pozostawiło fotografce najmniejszych wątpliwości. Kobieta była o dwadzieścia czy trzydzieści lat młodsza, miała mniej zaznaczone zmarszczki, włosy jeszcze nie całkiem siwe, ale ten sam rozbłysk różowego światła w kącikach oczu. Żadnych wątpliwości, to z całą pewnością była drobna staruszka z High Parku, drobna staruszka od ptaków. Sto dwa lata, zastanawiała się znowu fotografka, czy to możliwe?

Na płótnie rozbłysk światła nie był kpiący, lecz pełen miłości.

– Jest zakochana – oznajmiła Marie-Desneige.

– Zakochana?

– W tym, kto na nią patrzy.

Są w letnim obozowisku, wyciągnięci na warstwie futer, wciąż ociekający strumyczkami wody. Właśnie się wykąпали, a Marie-Desneige jest wyczerpana walką z atakiem paniki. Stało się to, gdy nie uważała. Brnęli w wodę, trzymając się za ręce, i Charlie poczuł lekkie drgnienie palców Marie-Desneige w swojej dłoni. Kiedy to nastąpiło, mieli wody po ramiona.

Charlie zaraz zrozumiał, co się dzieje. Spojrzenie kobiety stało się twarde, skoncentrowane.

Wziął ją w objęcia i poniósł w stronę brzegu. Nie zaprotestowała, ani gestem, ani słowem, pozwoliła się nieść, a kiedy dotarłszy do letniego obozu, próbował położyć ją na futrach, uczepliła się jego ramion, nie chciała się z nim rozstawać. Przytrzymał ją przy sobie.

– No już, to koniec, minęło.

Są w najciemniejszym kącie chaty, ale w ten piękny letni dzień nawet ciemne zakątki posiadają swoją świetlistość i Charlie śledzi światło, które przesuwa się po ciele Marie-Desneige i wszystkich jego zagłębieniach.

Są nadzy.

Za pierwszym razem kąpali się w bieliznie, lecz dyskomfort wywołany wilgocią materiału pod ubraniem przekonał ich, by kąpać się nago. Reakcja na nagość drugiego nie była u nich taka sama. Marie-Desneige zdusiła w sobie szaleńczy śmiech. Ciało Charliego, masywne w górnej części, trzymało się na krótkich, pałkowatych nogach, między którymi dyndał narząd rozrodczy, który wydał jej się ogromny, nieproporcjonalny. Z kolei Charlie nie mógł oderwać wzroku od białego bukietu włosów łonowych. Przyzwyczaili się jednak do stawiania przed sobą nago. Jeszcze bardziej doceniali dzięki temu kąpiel, żadne ubranie nie wciskało się bowiem między jedwab wody a ich skórę.

– Ciii, nie, proszę cię.

Jest całkiem malutka w jego ramionach, a on kołysze ją niczym dziecko.

– Ciii, nie, nie śpiewaj, proszę cię, nie śpiewaj.

Marie-Desneige wciąż walczy, nie zintegrowała jeszcze w pełni swojego ciała. Kołysanie w objęciach Charliego nieco ją uspokaja, ale sprawia, że powraca pełna skargi pieśń, która pomaga jej wyłonić się z powrotem na powierzchnię. On nie może już znieść tej skargi. I żeby jej nie słyszeć, zaczyna nucić, po jednym dźwięku naraz, psalmodię na trzy nuty, melopeję, która przychodzi mu do głowy z innego życia, kiedy jego żona usypiała dzieci.

– Ahahahaha, uhuhuhuhu, ohohohoho...

Kołysanka przynosi efekt. Marie-Desneige się odpręża.

– Tam – mówi.

*Charlie rozciąga ją na futrze i kładzie dłoń w miejscu, które mu wskazuje. Skóra pod wnętrzem jego dłoni jest ciepła i delikatna.*

*– Tam – mówi znowu.*

*I dłoń przesuwa się, by głaskać brzuch pod zwiędłą piersią.*

*Ona się uśmiecha, wraca do życia. Charlie czuje, jak węzły paniki rozsypują się pod jego dłońmi.*

*– Tam? – pyta, wskazując biały bukiet.*

*Uśmiecha się, łobuzerska i uwodzicielska, jest młodsza o trzydzieści lat. On także odmłodniał. W tej chwili mają po pięćdziesiąt, może po dwadzieścia lat.*

## *Kolekcja niemożliwych miłości*

Panna Sullivan, tak właśnie przedstawiła się dama za pierwszym razem, gdy fotografka postawiła stopę w małym muzeum miejskim w Matheson. Żadnego imienia, tylko to „panna”, na które położyła nacisk jak na tytuł szlachecki. Fotografka zachowała w pamięci obraz wysuszonej starej panny, bardzo wysokiej, długiej i pochylonej. Znając życie, pomyślała, ma płaskostopie i skrzywioną kość krzyżową, tak niestabilna wydała jej się równowaga całego tego suchego i przygnębianego ciała. Ale jej romantyzm wyciskał łzy z oczu. Jeśli chciałoby się wierzyć pannie Sullivan, młody Boychuck całymi dniami błądził wśród szczątków w poszukiwaniu ukochanej. To właśnie sprowadziło fotografkę z powrotem do małego muzeum w Matheson.

Przyniosła ze sobą portret drobnej staruszki od ptaków, który namalował Ted.

Dama z muzeum nie miała żadnego kłopotu ze zidentyfikowaniem jej. Angie Polson, powiedziała bez wahania. Angie, ta, która pojechała za muzykiem. Druga bliźniaczka miała na imię Margie i od dawna już nie żyła. Angie była bardziej ekscentryczna, dodała panna Sullivan. Fotografka w to nie wątpiła.

Przyniosła też kilka obrazów z serii *Młode dziewczęta o długich włosach*. Nie żywiła nadziei, że dama będzie w stanie je przejrzeć. Sama Marie-Desneige miała problem z odnalezieniem się w nich. Nie, miała raczej nadzieję, że będzie mogła jeszcze raz usłyszeć coś na temat tych kwiatów, które widziano w dłoniach błądzącego Boychucka. Kwiaty dla jego ukochanej, rzekła dama. Sentymentalna bajeczka starej panny, pomyślała wówczas fotografka, ale teraz zastanawiała się, czy ta miłosna historia nie ma w sobie jakiejś głębszej prawdy.

Tom, kiedy oznajmiła im swój zamiar ponownego odwiedzenia muzeum w Matheson, zareagował zjadliwie. Co jest, rzucił w jej stronę, nie masz własnego życia, że tak się interesujesz życiem innych?

Nie była nieświadoma tego, jakie komentarze i rozważania wywołuje w samotni jej obecność. Akceptowano ją, doceniano, lubiano jej towarzystwo, ale martwiono się, że wciąż jeszcze młoda kobieta, ledwie po czterdziestce, nie ma innych potrzeb. Jeździła wprawdzie do Toronto, gdzie miała własne sprawy, musiała od czasu do czasu popracować, lecz gdy tylko pozatwiała, co trzeba, wracała do pustelni. Można by pomyśleć, że nie potrafi żyć inaczej. Na zdjęciach, w obrazach czy na żywo potrzebni jej byli starcy.

– Niezbyt zajmujesz się swoim życiem – zauważył pewnego dnia Charlie.

– A Bruno? A Steve?

– To co innego. – I wykonał gest, jakby zaciągał się jointem.

O Steve’a i Brunona nie trzeba się było niepokoić, oni mieli całe życie zaplanowane, marihuana i emerytura w głębi lasu. Któregoś dnia zostaną dwoma starymi z pustelni albo będą zamieszkiwali hotel Libańczyka do końca swoich dni, o ile hotel będzie się jakoś trzymał.

– Zajmiesz się też nimi, kiedy się zestarzeją?

Na to nic nie odpowiedziała. Charlie się łudził, jeżeli sądził, że będą mieli następców. Bruno nie wykazywał predyspozycji do bycia pustelnikiem z lasu. A Steve, no cóż, Steve tak, być może, ze Steve’em nigdy nie wiadomo, miał kompletnie gdzieś, co się z nim stanie. Co do niej, nie czuła szczególnego pociągu do marihuany, buch tu czy tam, nic więcej, ani w żadnym razie powołania do bycia opiekunką. Wtopiła się w rolę Ange-Aimée ze współczucia, z przyjaźni, a ostatecznie stwierdziła, że to jej pasuje, ta skóra, która nie należy do niej, a która dodaje otuchy, pociesza, wspiera. Lecz odkąd odkryli obrazy, odzyskała swoją dawną osobowość i to zaprowadziło ją do muzeum w Matheson.

Panna Sullivan była zachwycona. Zwiedzający trafiali się rzadko, a jeszcze rzadziej tacy, którzy wracali, w kolekcji obrazów gościa tkwiła zaś wspaniała historia miłosna. Wspaniała, bolesna, tajemna, było w niej wszystko, co pobudza do marzeń.

Nie знаła bliźniaczek Polson w czasach ich świeżej urody. Jestem za młoda, powiedziała, mam sześćdziesiąt sześć lat. Fotografka uznała ją za uroczą w tym pragnieniu, by wyznać swój wiek. Zareagowała zgodnie z nadziejami panny Sullivan.

– Nie wygląda pani.

Wyglądała, i to bardzo, ale sześćdziesiąt sześć lat to faktycznie za mało, żeby znać bliźniaczki Polson w okresie, kiedy były pięknościami z Matheson. Poznała je później. Panna Sullivan miała wówczas piętnaście lat, nosiła imię Virginia, już była bardzo długa i bardzo romantyczna i czekała akurat, aż jej matka skończy paplaninę z właścicielką sklepu galanteryjnego, gdzie weszły po pierścienie do zasłon, gdy ujrzała przechodzącą za oknem Angie Polson, która spieszonym krokiem zmierzała w stronę dworca.

– Patrzcie ino, ta to się nie wstydzi mamieć innych – powiedziała jej matka albo sklepikarka.

Angie Polson w niczym nie przypominała kobiet z Matheson. Tego właśnie nie chciano jej wybaczyć. Elegancka, pełna klasy i stylu, podejrzewano, że wiedzie niemoralne życie w Toronto czy gdzie indziej, ponieważ w wieku ponad czterdziestu lat nie miała męża ani dzieci, a wciąż była taka piękna. Oryginał. Od obszernego cygańskiego szala po zawrotne obcasy szpilek. Nikt w Matheson tak się nie ubierał, nie miał tej werwy, tej wolności. Młodą Virginię załapała fala podziwu, dosłownie.

Jako piętnastolatka już przypominała starą pannę, którą miała się stać w przyszłości, ale w jej piersi biło to samo serce, i ta buntownicza kobieta uwikłana w gwałtowne i burzliwe,

najprawdopodobniej zakazane miłości, którą Virginia widziała w przelocie przed sklepem galanteryjnym, stała się symbolem życia, jakiego panna Sullivan nigdy nie zazna. Wiedziała, że wielka miłość, o której marzy, nie będzie dla niej możliwa.

Kogo Angie Polson zamierzała omamić? Wszystkich i nikogo w szczególności, uwaga jej matki – albo sklepikarki – pochodziła z niewyczerpanej studni złośliwości, którą małe miasteczka pielęgnują dzień po dniu.

Długa i romantyczna Virginia Sullivan wzięła się więc za zbieranie rozsianych fragmentów sekretnych miłości Angie Polson, co przysporzyło jej szczególnej wrażliwości na to, co mówiono i wzdychano w Matheson. Doszło do tego, że wiedziała więcej, niż trzeba, na temat życia innych ludzi. Zazdrostki, urazy, zemsty, potworne drugie strony medalu i drobne odkupienia, sama była zdumiona tym, co zgromadziła. Słuchając najmniejszego dźwięku, który do niej docierał, zszywając i rozpruwając to, co jej opowiadano, stała się bardzo zręczna w sztuce tajemnicy. To w ten sposób odgadła sekretne miłości niemal wszystkich mieszkańców Matheson.

Fotografka nie zrozumiała sensu pytania, kiedy długa, szara sylwetka pochyliła się w jej stronę i szepnęła konspiracyjnie:

– Chce pani zobaczyć moją kolekcję?

Po szerokim uśmiechu, który powitał jej zdumione spojrzenie, poznała, że spotkał ją wielki zaszczyt.

– Nie ma nic piękniejszego niż niemożliwa miłość.

Zeszyt, który panna Sullivan włożyła jej w dłonie, nie mógłby być bardziej banalny. Kartonowa okładka, grzbiet ze spirali, papier w linie. Na okładce: dwa monogramy połączone sercem. O ile monogramy były dopracowane, wystylizowane, o tyle serce, przeciwnie, miało w sobie rażącą naiwność. Czerwone, oczywiście, i przebite strzałą Kupidyna, godziło się, by – niczym na ikonie Chrystusa – spłynęło z niego kilka kropli krwi. Stara panna najwyraźniej kochała krwawiące serca. A było ich wiele, tych krwawiących serc, w przeszklonej szafie, z której wyciągnęła zeszyt, a później kolejny i kolejny, miała ich łącznie ze dwadzieścia.

– Moja kolekcja – oznajmiła aksamitnym głosem.

Zakochana, pomyślała fotografka, ma głos osoby zakochanej. Czy kobieta naprawdę może znaleźć zadowolenie w obcych miłościach, które na dodatek nie zostały przeżyte?

Zeszyty przedstawiały historie śmiertelnie smutne, miłość płonęła w sercach, rzadko w unii ciał, a jednak była w tych opowieściach jakaś łaska, jakieś odkupienie. Pełne uwielbienia spojrzenie starej panny. Nieważne, czy ciała złączyły się, czy nie, ważny był ten nieśmiały, niezdarny krok za krokiem stawiany przez dwie istoty ciężące ku sobie, które anonimowa obserwatorka śledziła z oddaniem, notując dzień i godzinę, gdy mężczyzna pozdrowił kobietę, gdy ta wykonała ruch, by zdystansować się od ramienia małżonka, i pogodę nazajutrz, kiedy kobieta wróciła sama, o identycznej porze, w to samo miejsce,

szukając spojrzeniem tego, który przyglądał jej się, nie mogąc odejść. Mogli gonić tak za sobą całymi latami w rozkosznej mijance, podczas gdy żadne nie przekraczało zakazanej linii. Uwaga obserwarki nie słabła. Notowała wszystko. Zmiany fryzury, pojawienie się dekoltu, wykrochmalonego kołnierzyka, bliższe kontakty, ocieranie się o siebie i słodkie spojrzenia, ale kiedy tylko powstawała możliwość przekroczenia zakazanej linii, pojawiała się egzaltacja, obserwarka nie potrafiła się już powstrzymać, czy on odpowie na ten list, czy nie? Jeżeli mężczyzna sam również pisał list, dochodziło do spotkania w blasku księżyca, palące pocałunki, wymiana obietnic, kolejne spotkania, kolejne pocałunki, a mąż, oszalały z wściekłości, zazdrości i cierpienia, co zrobi? Dywagowała nad tym na wielu stronach, a fotografka, czytając to, doskonale zdawała sobie sprawę, czego dotyczył niepokój panny Sullivan: że spełniając się, ta miłość przestanie należeć do niej.

Koniec zeszytu „**GR** krwawiące serce **YT**”, bo nie chcąc stawić czoła zazdrosnemu mężowi, **GR** zadowolila się jednym płomiennym spotkaniem.

Jeden z zeszytów szczególnie zaintrygował fotografkę. Było tam krwawiące serce poprzedzone monogramem **IM**, ale w miejscu monogramu, który powinien mu odpowiadać, widniał znak zapytania.

– Nie udało mi się dowiedzieć, kogo kochała – wyjaśniła panna Sullivan. – Była zakochana, temu nie można zaprzeczyć. Czuło się w niej nieobecność, której nie da się z niczym pomylić, jakby tej kobiety nigdy nie było tam, gdzie akurat była. Szukałam wokół niej, szukałam mężczyzny, który zamieszkiwał w tej kobiecie. Całymi latami śledziłam jej wędrówki, na dworzec, na pocztę, wszędzie, miałam nadzieję na list, na nieznanego podróżnego. Nie udało się. Umarła ze swoją tajemnicą i z tym wyglądem, jakby czekała na kogoś, kto nie przyszedł, nawet na jej pogrzeb. Byłam tam i nie widziałam żadnego zrozpaczonego mężczyzny poza jej ojcem. Umarła w wieku trzydziestu lat z nadmiaru płaczu. Na zapalenie opłucnej, powiedzieli. Dobrze to wykombinowali. Słowa „płuca” i „płacz” są do siebie nawet podobne, za to ani trochę nie kojarzą się z samobójstwem. To najsmutniejsza historia w mojej kolekcji.

Na okładce ostatniego zeszytu: trzy monogramy, **AP**, **MP** i **TB**, krążą wokół serca przebitego dwiema strzałami.

– Kochał je obie.

Oto więc historia bliźniaczek Polson i Boychucka zebrana w całość ściśniętym pismem ascetycznej panny Sullivan, począwszy od momentu, gdy jako nastoletnia Virginia ujrzała Angie Polson przez okno sklepu galanteryjnego. Ostatni wpis w zeszycie pochodził zaledwie sprzed roku, kiedy fotografka zjawiała się w jej muzeum w poszukiwaniu informacji na temat ocalałych z Wielkich Pożarów, a konkretniej na temat Boychucka. Czy ta kobieta ma wiadomość dla Theodore’a? zastanawiała się stara panna w zeszycie. Czy Angie powierzyła tej kobiecie jakąś wiadomość?

Fotografka przekartkowała zeszyt, wychwytyując tu i ówdzie po kilka zdań, dość, by



zrozumieć, że historia była beznadziejna. Wszyscy krążyli wokół tej miłości, która wymuszała od nich dystans, utrzymując ich w polu magnetycznym mającym nad nimi całkowitą władzę. Miłosnych mijanek było wiele, zwroty sytuacji wprawiały w desperację, nikt nie był na miejscu w odpowiednim momencie. Młoda Virginia śledziła ich, aż stała się starą panną. Wciąż z tym samym pytaniem, które powracało spiczastym, ściśniętym pismem. Czy Theodore w końcu wybierze?

– Theodore?

Fotografka była zaintrygowana. Skąd się wzięło to nowe imię?

Theodore Boychuck, tak było napisane na kopertach. Theodore Boychuck, poste restante, Matheson, Ontario. Czasem długimi, smukłymi literami, czasem krągłymi i dziecinnymi, bliźniaczki nie miały ani takiego samego temperamentu, ani podobnego charakteru pisma.

– Theodore to było jego prawdziwe imię.

Listy, które wysyłały do niego na poste restante, stanowiły podstawę, na której opierała się cała historia. Młoda Virginia nie przegapiła ani jednego. Każdego dnia, pod pretekstem odebrania korespondencji do rodziców, szła do urzędu pocztowego, a ponieważ była łapczywą pozeraczką książek, a zatem osobą piśmienną, co nie było typowe dla większości mieszkańców Matheson, proszono ją o czytanie listów, a czasem o ich pisanie. Naczelniczka poczty, sama niezbyt wyedukowana, nabrała zwyczaju zwracania się do Virginii w sprawie oficjalnych pism. Jedna rzecz prowadziła do drugiej i doszło w końcu do tego, że dziewczyna pomagała przy sortowaniu poczty, co pozwoliło jej odkryć ten dziwny trzyosobowy taniec, za każdym razem oznajmiany dwoma listami wysyłanymi na poste restante.

Notowała w swoim zeszycie datę i miejsce ze stempla pocztowego na jednym i na drugim, dzieliło je zwykle kilka dni, gdyż pierwszy przychodził z Toronto, drugi zaś z Cochrane, oraz datę pojawienia się na dworcu mężczyzny, którego nauczyła się z łatwością rozpoznawać. Mężczyzna, wysoki i ponury, kierował się w stronę pensjonatu, zostawiał tam bagaże, a następnie szedł na pocztę, żeby odebrać dwa czekające na niego listy. Wszystko zostało szczegółowo odnotowane. Jego strój, tempo stawianych kroków, czas spędzony w pensjonacie, sposób, w jaki kiwał w podzięce głową, kiedy wręczano mu listy, ale przy tym ani pary z ust, młoda stara panna nigdy nie słyszała, by wymówił choć słowo.

Oczywiście czytała te listy. Jak inaczej mogłaby przez cały czas śledzić historię, która nie miała żadnego świadka? Podkradała je poczmistrzyni, otwierała nad parą, oddawała się lekturze, przepisywała obszernie wyimki do swojego zeszytu i odnosiła nietknięte, gotowe do wręczenia adresatowi.

„Drogi Fedorze”, zaczynały się, albo „Drogi Fedio”. To czułe zdrobnienie od Theodore’a, wyjaśniła panna Sullivan. Angie swobodniej używała „drogiego Fedii”, podczas gdy Margie zasadniczo trzymała się „drogiego Fedora”, chociaż zdarzało się, że pozdrowienie zmieniał się i u jednej, i u drugiej.

– Obie go kochały.

Listy przybywające do Matheson nie wyznaczały daty spotkania, ale nawiązywały do spotkań odbytych gdzie indziej, do innych listów, które napisali on lub ona i które adresat otrzymał lub nie, do zmian adresu, zwłaszcza w przypadku Theodore'a, który jak się zdawało, nie miał stałego miejsca zamieszkania, lecz przenosił się z punktu do punktu, w miarę jak nadarzała się okazja do pracy, co zmuszało obie kobiety do podążania labiryntem poste restante wzdłuż różnych linii kolei żelaznej, które przecinały Ontario, na co skarżyły się nieraz w swoich listach. Kiedy w końcu zdecydujesz się gdzieś zatrzymać?

Listy te składały się z rozdzierających awansów i odwrotów. Już to Angie pisała, że drogi Fedia musi zrozumieć, iż jej siostra Margie nie przeżyje bez jego miłości, już to Margie wycofywała się i prosiła swojego drogiego Fedora, żeby o niej zapomniał, bo jest teraz poślubiona mężczyźnie, który ją uwielbia, i żeby zwrócił się ku jej siostrze, która jest wolna i czeka na niego od tylu lat. Ponieważ Theodore nie mógł się zdecydować, obie siostry postanowiły zrobić to za niego. To niewiarygodne poświęcenie, na które każda była gotowa się zgodzić, na nic się nie zdało, gdyż Theodore, niezdolny do podjęcia decyzji, jedynie słuchał posłusznie i miotał się między jedną a drugą, tymczasem zaś nikt nie był szczęśliwy.

Listy nawiązywały do całej przeszłości spotkań, które nie doszły do skutku, do uchybień i nieporozumień. Najgorszy okres przypadał na te sześć lat, kiedy bliźniaczki pozostawały bez wieści od drogiego Theodore'a. Opuścił Matheson z myślą, że już nigdy tam nie wróci, ponieważ sądził, że utonęły w Black River. One z kolei myślały, że on jest w Toronto. Ten okres okazał się przełomowy. Pierwsze fałszywe kroki na zawsze wyznaczyły warunki, w których mieli przeżywać tę miłość we troje. Listy często się do tego odnosiły. Jak mogliśmy się zgubić na tylu równoległych ścieżkach?

W wieku osiemnastu lat Angie uciekła do Toronto z jakimś przejezdnym muzykiem w nadziei, że odnajdzie tam Theodore'a. Ale Theodore przebywał ponad tysiąc kilometrów na zachód, pracował jako doker w Port Arthur. Dwa lata później postanowił stawić czoła swoim demonom i przybył na dworzec w Matheson. Lecz Margie była w Cochrane, poślubiona handlarzowi z branży metalowej, a Angie czekała na niego w Toronto.

– Angie była wolna, mógł ją poślubić, prawda? – sfrustrowała się fotografka.

– Tak, mógł, ale kochał też Margie.

– Dlaczego więc Margie wyszła za tego typu z Cochrane?

– Żeby zostawić wolne pole Angie.

– Ach...!

Historia zaczynała trochę za bardzo się plątać jak na gust fotografki, ale najwyraźniej wszystkie te miłosne komplikacje zachwycały pannę Sullivan. Jej policzki nabrały nieco koloru, a oczy błyszczały niczym szklane kulki w słońcu.

Historia miała jednak tę zaletę, że odpowiadała na najważniejsze pytanie dotyczące Wielkiego Pożaru w Matheson. Co przez sześć dni utrzymywało Boychucka w stanie

szaleńczej wędrówki? Miłość, nigdy nie znajdzie się nic innego niż miłość, pomyślała fotografka, by wyjaśnić to, czego nie rozumiemy. Wciąż miała trudności z nowym imieniem Boychucka, ale to właśnie tego młodego, zakochanego Theodore'a wyobrażała sobie wśród dymiących szczątków, chodzącego tam i z powrotem wzdłuż Black River w poszukiwaniu dwóch młodych dziewcząt. Obrazy z serii *Młode dziewczęta o długich włosach* nabierały pełnego sensu, szczególnie ten, na którym Marie-Desneige udało się zidentyfikować tratwę tonącą wśród bulgotu czarnej wody. Młody Theodore był świadkiem tej sceny. Nie mógł przyjść bliźniaczkom z pomocą i błądził całymi dniami w nadziei, że je odnajdzie.

To było więcej, niż fotografka się spodziewała po spotkaniu z damą z muzeum. Przyjechała tylko po to, by potwierdzić pewne przeczucie. A oto odchodziła z historią rekonstruującą tożsamość bardzo starej kobiety, która pchnęła ją ku tym poszukiwaniom.

Drobna staruszka z High Parku była jedną z dwóch młodych dziewcząt o długich włosach. Panna Sullivan wyraźnie ją zidentyfikowała. Najpierw na płótnie przedstawiającym Angie w wieku ponad sześćdziesięciu lat, a później na tym, na którym widniała ze swoją siostrą bliźniaczką.

– Sto dwa lata, czy to możliwe, żeby miała sto dwa lata?

Uśmiech u ludzi, którzy nie mają zwyczaju się uśmiechać, ma w sobie rzadkie piękno, rozświetla całą twarz. Uśmiech panny Sullivan był promiennym słońcem.

– Angie zawsze lubiła się droczyć – odparła – lubiła się zabawić.

Panna Sullivan była zachwycona, gdy dowiedziała się, że Angie Polson żyje. Od bardzo dawna nie miała żadnych wieści. Żadnego objawienia ze strony byłej piękności z Matheson, żadnego listu do Theodore'a Boychucka na poste restante od ponad dwudziestu lat.

Nie była zaskoczona, gdy usłyszała o zgonie Boychucka.

– Ciągnął za sobą śmierć.

Śmierć Theodore'a Boychucka oznaczała jednak kres jej kolekcji. Zeszyt z monogramami **AP, MP, TB** był jej ostatnim, wciąż niezamkniętym. Nie miała nadziei na kolejny.

– Niemożliwa miłość nie jest już w naszych czasach możliwa.

Fotografka opuściła pannę Sullivan z ulgą. Życie tej kobiety, która nie znalazła, a nawet nie szukała tego, czego jej było trzeba, stanowiło katastrofę.

Są w stanie spowolnienia. Czas rozwleka każdy ruch, każdą myśl. Charlie leży wyciągnięty na lewym boku nad Marie-Desneige, która przyjmuje jego pieśczoły. Dłonie Charliego są łagodne i wnikliwe. Interesują się jej kolanami, jej kostkami, niczego nie zaniedbują, przesuują się tam i z powrotem po jej udach, po wnętrzu jej ud, powoli, metodycznie, głaszczą, dotykają, ugniatają, a kiedy docierają do krawędzi pośladków, do łonowego bukietu, powolutku dryfują.

Pochyla się nad nią. Jego duża, siwa, rozczochrana głowa zaczyna wachać ją po całym ciele. Pachniesz wanilią, mówi, kiedy zaplątuje się w jej włosy. Chowa nos w jej szyi, schodzi w dół po ramionach, wciąga długi haust powietrza pod pachami. Pachniesz wiosną, mówi, a ona się uśmiecha. A ty nie pachniesz już zimą, odpowiada na to, i oboje śmieją się na myśl o silnej woni wełnianego kombinezonu, która spowijała ich zimowe leże.

Duża głowa Charliego wędruje wzdłuż klatki piersiowej Marie-Desneige, zanurza się w zagłębieniu między jej piersiami, dwoma małymi, pustymi buklakami, które mężczyzna pieści opuszkami palców, a później śmieiej, hojniej, tymczasem znów schodząc niżej, wachając, odkrywając, pozostawiając swój ciepły oddech na przebytej skórze. Kobieta pozwala się wdychać niczym kwiat, który ma zostać zerwany, woda, która zaraz zostanie wypita. Pozwala, by ciepły oddech Charliego ją otulił, przeniknął.

Jest przy brzuchu. Miękki, wrażliwy i pachnący cynamonem, oznajmia, gdy – po tym, jak zatrzymał się przy pępku i jego głębokim, ziemnym zapachu – natrafia na fioletową bliznę pod skórą, która pofałdowała się w tym miejscu i skrywa starą ranę. Blizna jest długa, pozioma, twarda w dotyku. Podnosi oczy na Marie-Desneige.

– To z powodu dziecka – mówi ona.

Dmucha na bliznę, głaszczą ją, całuje, później z powrotem zagina skórę nad raną. Nic nie widać, przeszłość może spać spokojnie.

Pozwala sobie powoli wślizgnąć się tam, gdzie czeka na niego Marie-Desneige, i wdycha tę woń morza i ziemi, gładzi włoski swoimi pieśczołymi palcami, pokrywa je ciepłym oddechem, później podnosi głowę i widzi Marie-Desneige, która uśmiecha się do niego i go woła, a on wraca do zapachu jej włosów, wyciągnięty na niej całą swoją długością.

Wtedy zaczyna się powolna praca nad unią ciał, której w ich przypadku brakuje swobody, gdyż nie mają ani młodości, ani potrzebnej wprawy. Ale niespiesznie znajdują swój rytm. Nogi się gmatwiają, języki splatają, ciała obejmują, kołyszą na posłaniu z futer. Lecz wiek wkrótce daje o sobie znać, oddech staje się ciężki, w przypadku Charliego urywany, ciała muszą się rozdzielić, opuścić się, jedno obok drugiego, pokonane wysiłkiem.

Do zbliżenia nie dochodzi, nigdy nie dojdzie, dla obojga minęło zbyt wiele czasu.

– Miałaś dziecko?

Głos Charliego jest pełen wahania. Chciałby dodać Marie-Desneige otuchy, pocieszyć ją, opatrzeć rany, ale w jego głosie pobrzmiwa jego własna rana, samca wykastrowanego przez starość.

– To było dawno temu.

– Chłopca? Dziewczynkę?

– Nie wiem, nie powiedzieli mi.

– Miałaś inne dzieci?

– Nie, podejrzewam, że przy okazji cesarki zrobili mi też histerektomię. – Marie-Desneige przywiera do niego, bardzo kobieca, bardzo zatroskana własnymi myślami. – Dziękuję – mówi, wiedząc, że on zapyta za co.

On jednak o nic nie pyta.

Marie-Desneige tłumaczy, że nigdy tego nie doświadczyła, pocałunków, uścisków, poznała jedynie sprawy załatwiane w pośpiechu na klatce schodowej, za żywopłotem, z zadartą spódnicą i mężczyzną, któremu pilno było dojść i mieć to z głowy, czasem był to pensjonariusz, czasem nadzorca, tak samo młody albo tak samo stary jak ona, a mimo to się nie skarży, zawsze lubiła bidiwiwi.

– Bidiwiwi?

– Nie mieliśmy na to innego słowa.

– I lubiłaś... bidiwiwi?

– Bardzo, nawet kiedy mnie zmuszano, udawało mi się znaleźć w tym przyjemność. Ale nikt mnie nigdy nie całował, nie pieścił.

– To twój pierwszy pocałunek?

– Mój pierwszy i dużo lepszy niż wszystko, co sobie wyobrażałam.

– Dostaniesz tyle pocałunków, ile zapragniesz, obiecuję, wszystkie pocałunki, których nie zaznałaś, miliony pocałunków, miliardy i tryliony pieścizot.

– Do tego trzeba by długo żyć.

– Kto nam tego zabrania?

– Obiecuj mi, że póki żyję, nie tkniesz swojej puszki po soli.

– Obiecuję.

– Obiecuj mi, że póki żyjesz, nie pozwolisz mi zbliżyć się do twojej puszki po soli.

– Obiecuję.

– Nawet podczas najsilniejszego ataku, nawet gdybym cię błagała, obiecuj mi.

– Obiecuję.

## *Wilk pośród nocy*

– Nie, ten człowiek nie potrafił kochać.

Fotografka wróciła do pustelni z szaloną historią miłosną, zastanawiając się, kto zareaguje najgwałtowniej. Odmówiła uwierzenia w nią, powiedziała sobie. I oto jedyna osoba, która mogła okazać się wrażliwa na romantyzm opowieści, odrzucała sam pomysł o zakochanym Tedzie.

Marie-Desneige była oficjalna. Mężczyzna, który miał w sobie obrazy takiego horroru, który żywił się nimi, aż stały się obsesją, nie mógł kochać. Cierpienie, kiedy kogoś dopadnie, nie zostawia miejsca na nic innego. Widziałam mężczyzn i kobiety, którzy cierpieli do tego stopnia, że kochali swój ból, podtrzymywali go, dodawali do niego nowe tortury. Widziałam, jak się okaleczali, obrzucali wyzwiskami, tarzali we własnych ekskrementach, że nie wspomnę nawet o próbach samobójczych. Próba to cierpienie, samobójstwo to decyzja, by położyć mu kres. I zdarzały się próby. Samobójstwa również.

Nigdy wcześniej tyle nie powiedziała. Słuchano jej z uwagą. Znajdowali się w miejscu, które nazywali „werandą Marie-Desneige”, w tej przestrzeni przed domem, którą zamierzali otoczyć moskitierą, czego nigdy nie zrobili, lecz pomysł pozostał, i tego przyjemnego wieczoru pod koniec lata rozprawiali spokojnie, każde usadowione na pieńku, nie przejmując się ugryzieniami komarów, jakby naprawdę chroniły ich moskitiery.

Powietrze przesycone było zapachami ziemi i trawy, która całe lato przypiekała się w słońcu. Podniosła się lekka bryza. Wieczór był słodki, przytulny, sprzyjający rozmowie.

Fotografka przyjechała późnym popołudniem z posiłkiem z restauracji dla każdego. Frytki, sałatka, pieczony kurczak i ta historia miłosna, która – teraz, gdy Marie-Desneige uznała Teda za niezdolnego do miłości – rozłąziła się w szwach. Nic z tego nie rozumiano, ale akceptowano punkt widzenia staruszki. Miała dostęp do tej części Teda, która dla nich mimo wielu lat wzajemnego towarzystwa pozostawała zakazana. Jego płótna, zdawało się, zawierały więcej niż wszystko, co byłby im w stanie powiedzieć, więcej, niż sam wiedział o tym, co nim kierowało, co go obsesyjnie zajmowało, dręczyło.

Zbyt wielu zmarłych, wyjaśniła, zbyt wiele trupów, zbyt wiele czerni, która rozwija się u dołu obrazów, nigdy żadnego światła albo jeśli jakieś jest, to po to, by oświetlić poczerńiałe ciała, krzyki przerażenia, wyciągnięte dłonie, tam, gdzie zaskoczyła je śmierć. Nikt nie może żyć z czymś takim przed oczyma. Ted próbował się od tego uwolnić, przerzucić cały ten horror na płótno. Może w pewien sposób mu się udało. Jego ostatni obraz, ten na sztaludze,

och, ten był nosicielem światła, bardzo niewielkiej ilości, chudego promyczka, wystarczającego jednak, by zorganizować dla Teda przestrzeń, gdzie mógł wymknąć się w spokoju. Tego mu życzę, tego życzę nam wszystkim: abyśmy mogli odejść w spokoju.

Na te słowa ich stara przyjaciółka poczuła się zawezwana, podniosła się z sekretnego miejsca i wyszła na spotkanie ich myślom. Śmierć nigdy nie trzyma się z dala od osób w podeszłym wieku.

Lecz umrzeć jako dziewięćdziesięcioczerolatek to mimo wszystko nie tak źle. Ted nie był może najszczęśliwszym z ludzi, ale wytrzymał cios i umarł wolny, z godnością, nie potrzebował nawet prosić nikogo o pomoc, i w swoim czasie. Charlie szanował ten sposób działania. Odejść, nie każąc nikomu się ze sobą żegnać, to oznaka szacunku wobec tych, których zostawia się za sobą. Pożegnania nikomu nie wychodzą na dobre. A potem pomyślał o Marie-Desneige. Gdyby ona lub on mieli umrzeć, a to nastąpi, niechybnie będzie musiało któregoś dnia nastąpić, a więc tego dnia, czy zgodziłby się, by rozstali się bez pożegnania? Ta myśl zaćmiła mu umysł.

Tom również zaplątał się we własnych myślach. Był koniec sierpnia. Wkrótce nadejdzie jesień, a po niej zima, i zastanawiał się, czy nie lepiej skończyć z tym teraz, w ciepłym powietrzu odchodzącego lata. Z cierpkim posmakiem wspominał zeszlą zimę, grypę, która na całe tygodnie przykuła go do łóżka, rosółki, którymi karmiła go fotografka, równie bezradnego, co niemowlę. Grypa mocno go osłabiła, płuca nie nabierały powietrza unisono i miał poczucie, że ciało nie chce już nadażać.

Śmierć nie miała władzy nad Steve'em, a także nad Brunonem, ale wyczuwali ją, jak krąży wokół Toma i Charliego.

– Jeżeli mała starowinka z High Parku naprawdę jest jedną z bliźniaczek Polson, to co zrobisz ze swoją wystawą? – zapytał Steve, żeby na nowo ożywić atmosferę.

– Jeszcze nie wiem – odparła fotografka.

Byli na bieżąco z jej projektem. Zwierzyła im się z niego, zanim złożyła wizytę damie z muzeum w Matheson. Pomysł zagnieźdżał się niepostrzeżenie, w miarę jak postępowano odszyfrowywanie obrazów, ona zaś zdawała sobie sprawę, że niektóre spośród nich odbijają się echem w fotografiach z jej portfolio. To w ten sposób, od obrazu do obrazu, od fragmentu historii do fragmentu historii, wpadła ostatecznie na pomysł podwójnej wystawy: płótna Boychucka w towarzystwie zdjęć ocalałych.

W niektórych przypadkach umiała sobie nawet wyobrazić tekst na kartoniku, którym opatrzone będą pewne duety, na przykład ten z *Rozbitkami ze stawu*, tak zatytułowała płótno przedstawiające trzech mężczyzn, którzy znaleźli schronienie w rozlewisku wody, z ogromną sylwetką łosia za nimi i ptakiem przycupniętym na ramieniu najmłodszego, Josepha Earle'a, tego, który jej o tym opowiedział i którego miała na zdjęciu. Tytuł był prowizoryczny. Myślała też o *Ostatnich ludziach na ziemi*, żeby wyrazić uczucie, które zamieszkiwało trzech mężczyzn ze stawu, albo, bardziej wprost, *Czekając na koniec świata*.

Najpierw musiał pojawić się opis sceny, gdyż Ted zrobił z niej czarny maelstrom pogrążony w rozproszonym świetle, z którego wyłaniały się trudne do rozpoznania kształty. Fotografka nic jeszcze nie postanowiła w kwestii dalszego ciągu tekstu, szedł w zbyt wielu kierunkach naraz. Światło, to chciała wyjaśnić na początku, złotawe światło po apokalipsie, dłoń, którą Bóg wyciągał do mężczyzn ze stawu, a przed której uściśnięciem oni się wahali, nie wiedząc, czy wciąż jeszcze żyją, czy są już na tamtym świecie, no i chłopiec o nieobecnym spojrzeniu, który przechodził obok stawu, nie wiedziała, czy o nim także powinna napomknąć w tekście.

Jednak ten, który miał prezentować fotografię Josepha Earle'a, był bardzo jasny w swoim przesłaniu.

Joseph Earle, styczeń 1995/ Urodzony w Mattawie w 1900/ Przybywszy do Ramore w wieku dziesięciu lat, pracował na rodzinnej farmie, trudnił się różnymi zajęciami, zanim został ogrodnikiem dla kompanii Ontario Northland Railways, które to stanowisko piastował aż do przejścia na emeryturę. Obecnie mieszka w chorwackiej dzielnicy Timmins, w dawnym Schumacher. W chwili Wielkiego Pożaru w Matheson miał szesnaście lat. Na obrazie pierwszy z prawej, przedstawiony ze swoimi kuzynami, Donaldem i Patrickiem McFieldami.

Joseph i jego kuzyni pozwolili, by pożar zaskoczył ich, gdy wracali od rodzinnego alembiku. Trzej młodzieńcy spędzili noc na produkcji alkoholu, który sprzedawali przemysłowemu z Matheson. Księżycówka, powiedział stary Joseph, dumny ze swoich dokonań, z miną mówiącą: nie zawsze byłem święty. Anegdota wydawała się zabawna. Fotografka mogłaby wykorzystać ją w tekście opisu, gdyby nie bała się, że uwikła się w dygresje, które oddalą ją od sedna. Chciała trzeźwych tekstów. Nie posunęła się jeszcze daleko w swoich rozważaniach, ale nie miała wątpliwości, że emocje bijące z obrazów zostaną wzmocnione świadectwem fotografii i że nic nie powinno stawać między tą synergią obrazu i zdjęcia. Więc nie za dużo gadaniny na kartonikach.

Lecz anegdota prowadzi nas czasem do istoty rzeczy. Fotografka wiedziała, że nie będzie mogła pominąć milczeniem historii opowiedanej przez duet, który zatytułowała *Cud narodzin*, znów prowizorycznie, gdyż starzec ze zdjęcia nie urodził się jeszcze w momencie, w którym przedstawiono go na obrazie, ale był w brzuchu matki, zagrzebanej pod sześćdziesięcioma centymetrami ziemi. Scena sama w sobie nie była zbyt imponująca. Widać było jedynie czerni zmieszaną z długimi brązowymi smugami pod niebem zmiażdżonym szarymi kłębowcami. Wszystko, co w płótnie interesujące, skupiało się w lekkim pociągnięciu pędzla, które uwalniało świetlisty punkt w papkowej masie czerni, dziurę wentylacyjną, przez którą oddychała matka mającego się narodzić dziecka. Trzeba było, żeby tekst to objaśnił, w przeciwnym razie ludzie nic nie rozumieją. Małżeństwo ścigane przez płomień, Black River, która staje im na przeszkodzie, ani jedno, ani drugie nie potrafi pływać, na brzegu porzucona łopata, kopią dziurę, żeby w niej się schronić,



gwałtowny poryw wiatru, płomienie pędzą ku nim, mężczyzna ma czas jedynie na to, by przykryć żonę ziemią i wskoczyć do rzeki, czepiając się gałęzi wierzby.

Gałąź się złamała i zostałem bez ojca, to młody Boychuck nas stamtąd wyciągnął. Siedemdziesiąt dziewięć lat później ocalone cudem dziecko wciąż się zdumiewało, że miało jakieś życie do przeżycia. Nazywało się Thomas Verner, w jego twarzy uwagę przykuwały duże oczy łani i nieustanny uśmiech.

Thomas Verner, maj 1995/ Urodzony w Matheson w 1916/ Spędził całe życie na farmie, najpierw tej należącej do wuja w Charlton, który przyjął jego i jego matkę po Wielkim Pożarze w Matheson, a później w Belle Vallée, gdzie wychował pięcioro dzieci. Nadal tam mieszka.

Nadal tam mieszka, fotografka zastanawiała się, czy nie będzie musiała wrócić do Belle Vallée, żeby się co do tego upewnić. Zdjęcie zostało zrobione dwa lata temu. Starszy mężczyzna o anielskim uśmiechu spacerował z butlą tlenową i oddychał przez rurkę, którą ledwo tolerował. Co chwila wyciągał ją z nosa i zaraz wkładał z powrotem, bo jego płuca gwizdały z niecierpliwości.

Thomas Verner był najmłodszy z jej kolekcji starców. Istniało ryzyko, że wielu wyda ostatnie tchnienie na długo przed tym, nim odbędzie się wystawa. Ale przecież nie objedziesz wszystkich swoich staruszków, żeby dowiedzieć się, czy jeszcze dychają, zaprotestował Charlie. Nie masz własnego życia, że tak się interesujesz życiem innych?

Wówczas pomyślała o starej panie z muzeum, która kolekcjonowała niemożliwe miłości tak, jak ona kolekcjonowała cudem ocalałych starców. Czyżby jej życie też było katastrofą?

Tom i Charlie nie wydawali się zbyt podekscytowani projektem wystawy.

Bruno i Steve okazali się bardziej skłonni do współpracy. Pomogli jej z klasyfikacją i etykietowaniem obrazów, z opakowaniem tych, które zabrała do muzeum w Matheson, jak również ze spakowaniem płócien przeznaczonych na wystawę, ponad setki pogrupowanej w dobrze opisane i ponumerowane serie, które czekały w chacie Teda na wniesienie do pick-upa w celu przetransportowania ich do Toronto.

Było coś, co wisiało w powietrzu tego letniego wieczoru. Coś, co ich dotykało, mimo że tego nie zauważali. Słodycz późnego lata wymagała, by poświęcili uwagę minionemu czasowi, żeby się przy nim zatrzymali, przyjrzeni mu się uważnie, zanim pozwolą mu umknąć.

I to właśnie robili, każde na swój sposób, nie bardzo zdając sobie z tego sprawę.

Upłynął rok, odkąd Marie-Desneige i fotografka wkroczyły w ich życie. Rok i miesiąc, policzył Charlie, który wciąż zdumiewał się tym, co go spotkało. Stary zakochany człowiek, oto kim się stałem, i poczuł radość na myśl o cichym śmiechu Marie-Desneige wśród futer. Przez ile jeszcze czasu będzie nam to dane?

Marie-Desneige siedziała u jego boku, zawsze tam była, wszędzie, gdzie szli, na ryby, do lasu, przy zbieraniu owoców, zawsze byli razem. Godziny, dni, tygodnie, miesiące,

przeżywali je w oderwanych od siebie momentach, jeden po drugim, nie licząc mijającego czasu. Ile jeszcze dni, ile miesięcy? Pytanie nie nasuwało się, dopóki istniał ten mężczyzna, który swą ogromną dłoń przytrzymał ją na ziemi. Był jej siłą, jej ciężarem, jej grawitacją, przyciąganiem ziemskim.

Tom spoglądał na parę, którą tworzyli, siedząc jedno obok drugiego, spokojni i pokojowo usposobieni w zapadającej nocy. Jak znaleźli się w tym momencie? Miłości, które znał, były niczym błyskawica, oślepiające, palące, nigdy nie dał im czasu, by dotarły do tego etapu najwyższego rozwoju, tak miało nim życie. Jak tym dwojgu się to udało? Był ciekawy, nie zazdrosny czy zgorzkniały, mógłby taki być, wiele na tej historii stracił, ale nie należał do ludzi, którzy rozpamiętują krzywdy. Nauczył się, że gdy życie zmienia kierunek, trzeba wiosłować inaczej, i szybko wyrobił sobie nowe życiowe zwyczaje, teraz kiedy tworzyli rodzaj wspólnoty z tymi dwiema kobietami, które zostały im przysłane. Nie zazdrosny czy zgorzkniały, lecz ciekawy. Chciałby móc dotknąć palcem tego, co zawsze mu umykało.

Nadeszła pora na bilans, na refleksję, wieczór wkrótce przejdzie w ciemną noc, powietrze gęstniało od rozmyślań każdego z nich, nikt nie miał ochoty wycofywać się z tej ciepłej intymności.

Fotografka w dalszym ciągu próbowała odpowiedzieć na pytanie Steve'a. Co zrobi, jeśli nie odnajdzie Angie Polson?

Powinam była pstryknąć jej zdjęcie, kiedy był jeszcze czas, wyrzucała sobie. Pamiętała błysk różowego światła, własne pragnienie, by uchwycić to światło, i rozmowę, która nastąpiła, pożar w Matheson, ptaki, które padały jak muchy, a potem było już za późno, starsza pani odeszła ze swoimi stu dwoma laty i figlarnym uśmiechem na ustach.

Potrzebowała fotografii Angie Polson, która by mogła towarzyszyć serii *Młode dziewczęta o długich włosach*.

Żywiła nadzieję, że dama z muzeum będzie potrafiła jej powiedzieć, jak odnaleźć Angie, ale stara panna nie widziała jej od ponad dwudziestu lat. Ostatni raz miał miejsce w listopadzie tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku, na pogrzebie matki Angie. Panna Sullivan doskonale to pamiętała, wszyscy w Matheson pamiętali pogrzeb starej pani Polson, a także jej córkę, która przyjechała cadillakiem, z eleganckim mężczyzną, młodszym od niej, co do którego nigdy się nie dowiedziano, czy był jej mężem, synem czy szoferem, ponieważ nikomu go nie przedstawiła, a on przez cały czas trwania ceremonii trzymał się z tyłu. Elegantsza i bardziej ekscentryczna niż kiedykolwiek wcześniej, Angie miała na sobie czarną jedwabną sukienkę, która pochłaniała całe światło i całą uwagę ludzi. Zbyt piękna jak na swój wiek, tak później mówiono w Matheson. W wieku siedemdziesięciu lat nie prowadzi się w sukni, która tańczy wokół nóg, ani z mężczyzną, który mógłby być kochankiem.

Panna Sullivan odnotowała ten fakt w swoim zeszycie. Niedługo później dotarła do niej pogłoska, że Ted Boychuck wycofał się do lasu. Zapisała to. Ale nie miała nic więcej do

zaoferowania. Nic na temat tożsamości mężczyzny na pogrzebie, nic, co doprowadziłoby fotografkę pod drzwi Angie Polson, żeby mogła poprosić ją, by dla niej pozowała.

W swoich rozmyślaniach utknęła na tym etapie. Zapadła noc, czarny aksamit, który szemrał zewsząd, i w tej welurowej słodyczy projekt wydawał jej się trudny i skomplikowany. Chodzić od galerii do galerii, tłumaczyć koncepcję, przekonywać, a potem wszystko, co nastąpi dalej: negocjacja umowy, wernisaż, nie zapominając o Angie Polson, której nie przestała szukać, to wydawało jej się bardzo odległe od osoby, która zażywała świeżego powietrza w towarzystwie przyjaciół, pustelników z lasu.

Miała wyjechać nazajutrz wraz z ładunkiem płócien. Bruno przetransportuje pozostałe obrazy swoją furgonetką. Sam zaoferował pomoc. Steve nie zaproponował niczego podobnego. W ciągu trzydziestu lat zarządzania widmowym hotelem ani razu nie opuścił swoich włości, nie licząc obejmujących dwieście kilometrów w obie strony wypraw do sąsiedniego miasta.

A więc płótna Teda znajdą się w magazynie w Toronto. Ani jedno nie zostanie w samotni. Decyzję podjęto bez trudu, wszyscy zgodzili się, że obrazom będzie dużo lepiej w magazynie, suchym i bezpiecznym, niż w chacie Boychucka.

To prawdopodobnie myśl o tym, że jutrzejszego ranka ujrzą odjeżdżające obrazy, uczyniła noc tak nostalgiczną, tak wrażliwą na przemijanie czasu. Gdy znikną obrazy, nie pozostanie nic z Teda, zdawało im się, nic z lata, które spędzili razem na próbach zrozumienia, co Ted chciał umieścić na płótnach.

Wśród nocy zawył wilk. W rezultacie ich uwaga skupiła się na tym wołaniu, które dochodziło z bardzo daleka, ze wzgórze. Wycie wilka nikogo nie pozostawia niewzruszonym. Nawet najbardziej zahartowane serca tych, którzy całymi latami słyszeli to wycie noc w noc, czują się, jakby rzucono im wyzwanie. Strach przed wilkiem jest pradawny. To siły lasu budzące się w nocy i wasza ludzka małość kulą się w zaciśniętą pięść w głębi żołądka.

Psy zaczęły wyć w odpowiedzi.

– To nie potrwa długo – rzucił Tom – tylko przez czas potrzebny, by każdy z nich uznał terytorium drugiego.

Uwaga miała na celu uspokojenie Marie-Desneige. Śmiertelnie bała się wilków. Czas spędzony w lesie ukoił wiele z jej lęków, ale nie ten. Kiedy wył wilk, a oni siedzieli zgromadzeni wokół ognia, zapominali o węzłastej kulce we własnych żołądkach i zwracali się ku staruszce.

Tom nic nie widział, noc była zbyt gęsta, lecz wyczuwał ostre szpony strachu czepiające się Marie-Desneige. U jej boku Charlie, ani słowa, żadnego gestu, ale napięta czujność, całe jego jestestwo pochłonięte przez Marie-Desneige i walkę, jaką staczała z panicznym lękiem.

I wśród czarnej nocy zdarzyło się coś, co nie umknęło uwadze Toma. Ręka Charliego opuściła jego udo i przesunęła się, by spocząć na udzie Marie-Desneige, gdzie kurczyła się

dłoń zwinięta w ciasną piąstkę, którą Charlie rozwarł i zabrał z powrotem na własne udo. Gest, który Tom śledził w ciemności i który dogłębnie nim wstrząsnął. Dwie dłonie splecione na udzie Charliego stanowiły obraz szczęścia, którego nigdy nie zaznał. Para, prawdziwa para, złączona w chwili, która należy wyłącznie do nich i która im wystarcza.

Wycie ustało, psy ponownie zasnęły, noc oddychała swobodnie, a Tom chciał wiedzieć.

– Powiedz, Marie-Desneige, czy twoje szczęście jest kompletne?

Pytanie było niecodzienne, wzięło wszystkich z zaskoczenia. Odpowiedź, której udzieliła staruszka po chwili wahania, wywołała jeszcze większe zdumienie.

– Mam wszystko, czego mi trzeba, nigdy nie miałam nadziei na aż tyle, ale bardzo bym chciała od czasu do czasu zobaczyć przejeżdżający samochód.

I poczęła wyjaśniać, że największą przyjemnością w tym innym życiu, do którego nigdy, przenigdy nie chciałaby wrócić, był ten moment dnia lub wieczoru, nieistotne, kiedy siadała przy oknie i patrzyła na przejeżdżające samochody.

– Patrzenie na jadące auta jest bardzo przyjemne, cały czas coś się rusza, nigdy nie przestaje, to opróżnia głowę i zanim się spostrzeżemy, znajdujemy się gdzie indziej. To naprawdę przyjemne.

Marie-Desneige za oknem azylu lub na ganku na przedmieściach Toronto, pozwalająca się hipnotyzować defiladzie aut po to, by znaleźć się gdzie indziej – być może była to wizja miła dla wszystkich, którzy znajdowali się na werandzie jej domku w lesie, lecz nie dla Charliego, który właśnie odkrył, że szczęście Marie-Desneige nie jest kompletne.

Wiosłowali po cichu, Tom na przedzie, Charlie z tyłu, Marie-Desneige w środku. Psy podążały za nimi wplaw.

Są tam już dzień i noc i czekają.

Czekają, aż po drugiej stronie zatoki się uspokoi.

Bez paniki, bez histeryzowania, są tu bezpieczni, muszą jedynie czekać.

Dzień zaczął się jak każdy inny. Nieśmiałe słońce, sójka, która przyleciała ich powitać, zając, który przemknął spieszenie, jesień w pełnym rozkwicie.

Zjedli śniadanie złożone z peklowanej wołowiny i brzoskwiń w syropie. Żadnej herbaty. Nie chcieli rozpalać w piecyku. Dzięki dymowi można by ich wypatrzyć.

Stoją przed letnim obozowiskiem, nasłuchując odgłosów, które mogłyby dotrzeć do nich z samotni.

Panuje całkowity spokój, słycać jedynie delikatne powiewy wiatru wśród cedrów i chlupotanie wody.

– Zdaje się, że to koniec.

– Taaa, pojechali.

– Trzeba to uczcić.

Tom wyjmuje z torby butelkę. Szkocka. Butelka, którą miał ze sobą, odkąd przybył do pustelni, i przed której otwarciem zawsze się wzdragał z obawy, że uwodzicielski smak zaprowadzi go z powrotem do piwnicznych hoteli i pracownicy socjalnej.

Unosi butelkę, by przyrzeć się bursztynowemu płynowi w słońcu, lecz butelka, zbyt brudna, nie przepuszcza żadnego światła.

– Zdrowie!

Nalewa sobie szklankę – proponuje Charliemu i Marie-Desneige, którzy odmawiają – i wychyla ją jednym haustem.

– Nie zapomniałem, jak to smakuje.

Nalewa sobie kolejną szklankę i porusza nią, żeby zobaczyć, jak płyn kręci się w zagłębieniu jego dłoni. Przyjemność jest ogromna. Zamyka oczy, by jeszcze bardziej ją docenić.

– Jest tak samo dobra jak w tamtych czasach. Brakuje tylko odgłosu kostek lodu.

Marie-Desneige grzebie wokół swoich stóp i znajduje trzy okrągłe kamyczki, które wrzuca do szklanki Toma.

Tym razem mężczyzna pije małymi łydkami, podzwaniając kostkami lodu, uważny na swoją przyjemność, pozwala bursztynowemu płynowi dokonać dzieła.

Przy trzeciej szklance osiąga satysfakcjonujący go stan spowolnienia i niespieszenie,

*bardzo niespiesznie wstaje, i łopata, która czeka na niego oparta o ścianę chaty, nabiera pierwszą łyżkę ziemi.*

## *Dwa groby*

Fotografka przez trzy tygodnie przetrząsała Queen Street w poszukiwaniu właściciela galerii gotowego przyjąć płótna Teda. Ale każdy miał swoją specjalność, a żadna nie pokrywała się z twórczością Boychucka, i fotografka wróciła do pustelni z gorzkim poczuciem porażki.

Od razu wiedziała, że coś się stało. Przed hotelem żadnego śladu quada, ani Steve, ani Darling nie wyszli jej na powitanie, a przed głównymi drzwiami, otwartymi na oścież, głębokie koleiny w ziemi, pozostawione przez armię pojazdów. Pospieszyła do wielkiej sali i to, co tam zobaczyła, przekonało ją o tym, co podejrzewała. To miejsce odwiedziła policja. Meble poprzewracane, wybebeszone, powyrywane klepki parkietowe, nie cackali się, nawet kolekcję dzikich zwierząt Libańczyka zdjęto ze ścian.

Scenariusz nalotu policyjnego studiowali niezliczoną ilość razy, fotografka знаła wszystkie szczegóły. Steve potrafił rozpoznać członka brygady antynarkotykowej na pierwszy rzut oka i gdyby tylko zobaczył jakiegoś wspinającego się do hotelu, miał wysłać Darling, żeby ostrzegła Charliego. Nigdy się to jeszcze nie zdarzyło, ale przewidzieli cios.

Udała się więc do obozowiska Charliego, pusto, tak jak się spodziewała. W domu Marie-Desneige także. W obozowisku Teda, nad brzegiem, odetchnęła z ulgą, kanadyjki też nie było, schronili się w letnim obozie. Wykonali scenariusz co do joty.

Pełna ulgi, lecz niezdecydowana. Co miała teraz zrobić?

Poszła do Toma, a później na plantację. Wszystko powyrywane, nic nie zostało. Tysiąc sadzonek pięknej, idealnie dojrzałej marihuany zginęło w nieopisanym rozgardiaszu. Tu też nikt nie bawił się w delikatność. Pomyślała o Stevie, teraz z pewnością w więzieniu, a Bruno, jeśli miał szczęście i w chwili nalotu nie znajdował się na miejscu, nieprędko wróci. Czy jeszcze kiedykolwiek ich zobaczy? Poczowała się oszukana, porzucona przez przyjaciół, którzy nie zadali sobie nawet trudu, by wymienić się z nią adresem. Bruno jak? Steve jak? Nie znała ich pełnych nazwisk. Pomyślała, że pewnie istnieje jakiś Marc, jakiś Daniel, ale nie ma żadnego Brunona ani Steve'a, ich też znałam pod fałszywymi imionami. Rzeczywistość wydała jej się rozmyta, nie dało się oddychać pełną piersią, fotografka miała wrażenie, że kroczy w oparach katastrofy, której sens jej się wymyka.

Znów znalazła się przed obozowiskiem Teda. Jezioro było spokojne, zero wiatru, żadna zmarszczka nie zakłócała bezruchu. Przez długi czas stała na brzegu, wpatrując się w cypel, za którym kryła się zatoka jej przyjaciół.

Musiała pokonać jezioro, to było jasne, ale niemożliwe bez kanadyjki.

Więc wzięła się do pracy. Poszła do obozowiska jednego ze staruszków i do drugiego, znalazła narzędzia, drewniane bale, ścinki desek, sklejkę i zabrała się do budowania tratwy. Niezbyt dużej, niezbyt grubej, wystarczającej akurat, by utrzymać jej ciężar podczas przeprawy.

Zastanawiała się, w jakim stanie ich znajdzie, zwłaszcza Marie-Desneige, tak kruchą, tak pozbawioną środków do życia, gdyż letni obóz nie był równie wygodny, co jej mały domek. Czy zabrała ze sobą, co trzeba? Noce zaczynały być zimne. Czy w pośpiechu ucieczki miała czas, by wziąć ciepłe ubrania?

Porzuciła swoje dzieło i udała się do domku Marie-Desneige. Bałagan nie zrobił na niej wrażenia, w tej kwestii widziała już wszystko, co było do zobaczenia. Interesowały ją ubrania porzucane na podłodze. Znała całą garderobę staruszki, szukała tego, czego nie było.

Brakowało czarnych spodni, pomarańczowej bawełnianej bluzy oraz koszuli w kratę, czyli prawdopodobnie tego, co Marie-Desneige w tamtej chwili miała na sobie. To pocieszyło fotografkę, bo koszula w kratę była tak ciepła, jak tylko można sobie zażyczyć. Ale, co mocno ją zaskoczyło, ponieważ człowiek nie spodziewa się, że starsza pani, której dopiero co oznajmiono, że trzeba prędko uciekać, weźmie ze sobą tak niepotrzebne ubranie, brakowało także koszuli nocnej. A jednak, gdy dobrze się nad tym zastanowić, ten gest nie dziwił fotografki, koszula nocna była najbardziej kobiecą i najcenniejszą rzeczą w garderobie Marie-Desneige.

Brakowało jeszcze czegoś, co nie od razu przykuło jej uwagę. Kopała w nieporządku domu w poszukiwaniu zimowej parki Marie-Desneige, kiedy poczuła, że coś ociera jej się o nogę. Jaśniepan, pomyślała. To była jedynie kuchenna ścierka, która miękko spadła do jej stóp, lecz dotyk tkaniny na nodze przypomniał jej o kocie Marie-Desneige, którego nie widziała ani nie słyszała, odkąd przybyła do pustelni.

Pod łóżkiem znalazła parkę, ale nie kota, wybrała się do Charliego, kota wciąż brak, i akurat gdy zamykała za sobą drzwi chaty, na powierzchnię wypłynął obraz, bardzo jasny, bardzo narzucający się, który zmusił ją do cofnięcia się po własnych śladach. Obraz zarejestrował się w jej mózgu i ukazywał to, czego w pośpiechu lub w głębinach nieświadomości nie zauważyła albo nie chciała widzieć. Wróciła do chaty, już wiedząc, co ją czeka, zmusiła się, by spojrzeć. Na półce nad łóżkiem nie było puszek z cynowanej blachy.

Mózg ma swoje własne sposoby, by chronić nas przed zalewem emocji, i ten należący do fotografki od razu się zablokował, odmówił wszelkiej aktywności. Fotografka stała przed półką bez ruchu, ze skupionym wzrokiem, zajęta niemyśleniem o niczym. Przed sobą miała dwa obrazy, które usiłowały się połączyć. Ten, który mimo jej woli zarejestrował mózg, i ten, który pokazywały jej teraz oczy. Dwa obrazy były identyczne, ale jeszcze nie całkiem wyostrome, a kiedy je takimi uczyniła, kiedy dwa obrazy doskonale się na siebie nałożyły, wtapiając się jeden w drugi, obok nieobecności puszek z cynowanej blachy odkryła inną



nieobecność: kartonowego pudełka, w którym Charlie trzymał swoje papiery, te prawdziwe i te fałszywe.

Dopiero później, gdy wiosłowała przez jezioro, do głowy przysły jej pytania, odpowiedzi i obawa dotycząca tego, co na nią czeka.

Wróciła do pracy. Piłowała, składała, przybijala. Upłynęła kolejna godzina, nim tratwa została złożona w satysfakcjonujący sposób, a wtedy coś w fotografce kazało jej pójść do chaty Toma i sprawdzić, czy wciąż jest tam puszka z cynowanej blachy.

Nie było jej tam.

Musiała sprawdzić coś jeszcze, tym razem u Teda, i w tym, co zostało po policyjnym przeszukaniu, znalazła puszkę między pojemnikami z farbą, nietkniętą, nawet nieotwartą, co w efekcie potwierdziło najstraszliwszą hipotezę. To Tom i Charlie wzięli ze sobą swoje puszki ze strychniną, ponieważ ta należąca do Teda nie zainteresowała policjantów. Wiosłowała z wściekłością. Czy kiedykolwiek będzie w stanie im wybaczyć?

Przeprawa przebiegała zaciekle, desperacko, fotografka była wzburzona, co nie pomagało w posuwaniu się naprzód. Potrzebowała więcej wyważenia, więcej racjonalności w wiosłowaniu, gdyż tratwa nie ma sterowalności kanadyjki, płynie we wszystkie strony, jeśli się nie uważa na kierunek, jaki obiera przy każdym zamachu wiosłem, a abstrahując nawet od tego, że młoda kobieta dysponowała tylko nieforemną deską, myśli pochłaniały ją za bardzo, by mogła manewrować tak kapryśną jednostką. Cypel, ku któremu dążyła, pozostawał oddalony pomimo całej energii wkładanej w wiosłowanie.

Była oburzona, porwana nastrojem, który nie chciał się odczepić, miała im za złe, że zaciągnęli Marie-Desneige ze sobą. Nie mieli wyboru, zgoda, zostało jej wystarczająco dużo rozumu, by przyznać, że nie mogli zostawić staruszki samej w pustelni, ale czy ona, Marie-Desneige, miała jakiś wybór, jeśli postanowili rozwalić sobie mózgi strychniną?

Podziw, jaki żywiła dla ich pięknej i butnej zuchwałości leśnych stworzeń, sposobu, w jaki rzucali wyzwanie śmierci, tej majestatycznej i dumnej postawy wielkiego pana, który podług własnej woli wybiera między życiem a śmiercią, wszystko, co wcześniej szanowała, czego zazdrościła i czego nawet życzyła sobie dla siebie, wszystko to wydawało jej się teraz skalane obrazem Marie-Desneige umierającej w okropnych męczarniach.

Nie mają prawa, krzyknęła do ogromu jeziora. Krzyk powrócił do niej echem. Była w połowie drogi, mierzeja czekała na nią otoczona aureolą różowego słońca, które purpurowiało na linii horyzontu, a za tym pejzażem z pocztówki – zatoka jej przyjaciół.

Nie mają prawa, powiedziała, tym razem do siebie. Jej wewnętrzny głos dołączył do głosu Marie-Desneige, całkiem blisko, rozedrganego, który oznajmił jej kiedyś: Zawsze wiedziałam, że będę miała życie.

Fotografka powiosłowała z jeszcze większym zacięciem. Klęczała pośrodku tratwy na parce Marie-Desneige. Zabrała parkę z myślą o zimnych nocach w letnim obozie. Wzięłaby też Jaśniepana, by osłodził Marie-Desneige wieczory, ale nie znalazła kota, i wiosłowała,

wiosłowała, wiosłowała. Tam, za cyplem lądu, była malutka osoba, która dopiero co narodziła się do życia, miała przed sobą bardzo niewiele lat i której zagrażała puszcza z cynowanej blachy.

Bolały ją plecy. Ból promieniował z ramion do łopatek i pleców, do zagłębienia kręgosłupa, to było nie do zniesienia, dotkliwe oparzenie, które sięgało aż do pośladków, ona jednak ani myślała o zmianie pozycji czy zwolnieniu tempa.

Nadchodzący wieczór rozwijał swoje purpury i złota po trochu na każdym kawałku nieba, gdy fotografka absolutnie nieświadoma stanu wyczerpania, w jakim się znalazła, przybiła do brzegów zatoki.

Dotarła wycieńczona, pusta, z mięśniami wciąż obolałymi po intensywnym wysiłku, z nogami zdrętwiałymi od jej własnego ciężaru i sercem bijącym jak u młodej dziewczyny na pierwszej randce. A jeśli czekają na nią w letnim obozowisku, jeśli po prostu grają w karty i cieszą się w swoim gronie tym, że po raz kolejny wymknęli się prawom świata? Nie można zabronić sercu mieć nadziei, i to właśnie z tą szaloną nadzieją ruszyła ścieżką prowadzącą do obozu, zauważywszy jednak po drodze, że nigdzie nie ma kanadyjki. Pewnie ukryli ją gdzie indziej wzdłuż brzegu, pomyślała bez niepokoju.

Obóz był pusty. Bardziej pusty niż kiedykolwiek wcześniej. Zapasy żywności wyczerpane do cna. Poza jedną puszką brzoskwiń w syropie na kuchennych półkach nie zostały żadne konserwy. Wcześniej ktoś w obozie mieszkał. Dość długo, oceniła, wodząc wokół spojrzeniem, skoro zapasy żywności się skończyły, a przy tym zniknęły przedmioty pierwszej potrzeby, takie jak świeczki, garnki i, po bliższym przyjrzeniu się, futra, siekiera, którą trzymano w środku, żeby rąbać drewno na rozpałkę, oraz, co dość zdumiewające, talia kart. Ale żadnych szkód, żadnego wybitego okna czy wyrwanych drzwi, wszystko w doskonałym porządku, nie przeszedł tędy niedźwiedź, chodziło z całą pewnością o ludzkich lokatorów. Marie-Desneige, Tom i Charlie zatrzymali się tu i nie zostawili żadnego śladu swojej bytności, nie licząc pustki, którą sama mogła rozpoznać i wypytać z szaleńczym niepokojem.

Wyszła i zabrała się do poszukiwań tego, co na nią czekało i czego miała nadzieję nie znaleźć. Światło dnia lekko nasycone szarością zmierzchu z mniejszą głębią, ale bardziej wzorzyście wydobywało drzewa spośród ich listowia, kępki trawy czy najdrobniejsze skalne skupisko na ziemi. Fotografka widziała bardzo dobrze. Linie cienia dodawały rzeczom obecności, natura prezentowała się z większą konsekwencją, wszystko było lepiej zdefiniowane w tym uśpionym świetle końca dnia.

Groby czekały na nią za obozowiskiem. Dwa prostokąty ziemi u stóp wielkiego modrzewia, między nimi bardzo mało miejsca, i naturalnie żadnego krzyża, żadnego napisu, niczego, co by wskazywało, że pogrzebano tu ludzi. Dwa groby jeden obok drugiego, mogło chodzić tylko o Marie-Desneige i Charliego. Tom pochował ich ciała, by uchronić je przed dzikimi zwierzętami, tak jak to zrobili dla Teda, a następnej wiosny nic już nie będzie widać,

roślinność weźmie prostokąty ziemi w posiadanie. W lesie umiera się tak, jak się tam żyło. Dyskretnie, ostrożnie, nie starając się narobić więcej hałasu niż liść na drzewie. Fotografka mogłaby filozofować, śmierć zwykle gotowa jest na tego rodzaju umysłowe ćwiczenia, tak samo jak mogłaby się zastanawiać, gdzie jest Tom, ale mieszanina wycieńczenia, złości i bólu sprawiła, że osunęła się na ziemię między dwoma kopczykami i pozostała tak przez długą chwilę.

Nie zemdląca, kobieta jej gabarytów nie traci tak łatwo zmysłów. Nogi jednak nagle odmówiły jej posłuszeństwa i znalazła się z nosem przy ziemi pomiędzy dwoma grobami, i, co dziwne, poczuła otuchę płynącą z faktu, że jest tak blisko przyjaciółki. Tu spoczywa drobna starsza pani, mówił kopczyk ziemi, tu spoczywają jej nadzieje i marzenia, jej życie zawiera się w jednym jedynym roku, reszta nie ma znaczenia, nie zabrała jej ze sobą, a u boku staruszki oto jej towarzysz, ukochany, kochał ją tak, jak kocha się ptaka, rzadkiego ptaka, który przybywa z bardzo daleka, by uwić sobie gniazdo w zagłębieniu dłoni.

Charlie w dalszym ciągu czuwa nad Marie-Desneige, pomyślała fotografka.

Złość się rozviała, nie było miejsca na nic innego poza pociechą wynikającą z wiedzy, że są razem. Nie było mowy, żeby się umartwiała, roztrząsając ich decyzje, słowa, które mieli dla siebie nawzajem, ostatnie spojrzenie przed szczyptą strychniny. To, co nastąpiło później, ich śmierć, złożenie do grobu, odmawiała wszystkimi siłami swojego umysłu przyjęcia tego do wiadomości. Chciała myśleć tylko o ich ostatniej wspólnocie, o dwóch ciałach spoczywających jedno obok drugiego pod warstwą ziemi, która ich chroni, i światłem zmierzchu, w którym skąpane były ich groby.

Musiała jednak pomyśleć o Tomie. Gdzie poszedł umrzeć? Zmarły nie pogrzebie się sam. Musiał znaleźć miejsce, w którym jego ciało byłoby chronione przed zwierzętami.

Jezioro, uznała, przypominając sobie o braku kanadyjki, tylko w jeziorze można należycie umrzeć.

Ta myśl ją podniosła i zmusiła do pójścia i sprawdzenia, czy kanadyjka nie znajduje się gdzie indziej przy brzegu.

Światło było nasycone szarością nocy, która gęstniała wokół konturów drzew i pozwalała widzieć jedynie ukradkowe ruchy sylwetek, cienie wśród cieni. Zając otarł się o nią w biegu.

Szła wzdłuż brzegu aż do wielkiego granitowego osypiska i wróciła po swoich śladach, przeszukując wzrokiem czarne wody jeziora na wypadek, gdyby miała dostrzec dryfującą kanadyjkę.

Była smutna, smutniejsza na myśl o Tomie niż o Marie-Desneige i Charliem. Mieli tę przewagę, że umarli razem, podczas gdy Tom przez cały czas był sam. Czy był ktoś, o kim myślał w ostatnich chwilach? Życie Toma, pomimo wszystkiego, co o sobie opowiedział, pozostawało tajemnicą.

Spędziła trochę czasu nad jeziorem, żeby dotrzymać Tomowi towarzystwa, aż naprawdę zapadła noc i nic już nie widziała. Wróciła na oślep do obozu, brnąc po omacku przez

ciemność i ciężar swoich myśli.

Noc była chłodna. Fotografka drżała na całym ciele.

Wyciągnęła się na łóżku, przykryta parką Marie-Desneige, mając nadzieję, że znajdzie ciepło i pocieszenie w tym, co pozostało jej po przyjaciółce. Ale sen przychodził jedynie falami. Zbyt wiele obrazów się w niej kotłowało, zbyt wiele emocji. Na wpół obudzona, śniła o pożerających się nawzajem psach i o wilkach, które wyły do księżyca. Zapomniałam o psach, pomyślała miękko, gdzie zakopali psy, i zanurkowała w falę, która uniosła ją na dobre.

*Stoją przed dołami.*

*Tom jest lekko wstawiony. Znajduje się teraz w stanie równowagi, jedna stopa pewna, a druga gotowa odlecieć, szarość, którą świadomie się delektował przez cały czas potrzebny im na wykopanie dołów, a teraz ma tylko jedno życzenie, szklaneczkę, jeszcze jedną szklaneczkę. Chcę umrzeć pijany, to jego ostatnia wola.*

*Charlie to akceptuje, rozumie, jego stary przyjaciel pragnie powrócić na swoje ziemie, chce umrzeć tam, gdzie żył. Marie-Desneige nie rozumie, ale wie, że należy uszanować wolę człowieka, który ma wkrótce odejść.*

*I podczas gdy Tom zagłębia się coraz dalej i dalej w tak drogie mu tereny, Marie-Desneige i Charlie przygotowują to, co stanie się jego ostatnim lokum. Wykładają dno dołu grubą niedźwiedzią skórą. Będzie mu potrzebne wygodne posłanie, myśli Marie-Desneige. Nie robi mu to żadnej różnicy, myśli Charlie, nie będzie miał czasu, żeby cokolwiek poczuć.*

*Tom siedzi z nogami zwisającymi do dołu, jego pies u jego boku. Jedno oko skierowane na niedźwiedzią skórę, a drugie błędzące. Czeka na moment, w którym ujrzy, jak życie przesuwa mu się przed oczami. Co zobaczy jako pierwsze? Kobiętę? Która kobieta zgodzi się odejść razem z nim? We wszystkich marzeniach, w których umierał, widział spoczywającą przy nim kobietę, białą i kwiatową, która powoli wtapiała się w jego bok.*

*Przyciska do siebie psa i ześlizguje się do dołu.*

*Nie jest pijany. A przynajmniej nie tak, jak na to liczył. W pełni zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje. Widzi Charliego i Marie-Desneige w świetlistej aureoli nad sobą. Są bardzo wysocy, olbrzymi i żywi. Są olbrzymi i obiecali zostać z nim aż do końca.*

*– To tutaj spędzę zimę, mój Charlie. Nie jest to zbyt duże, ale jakoś dam radę.*

*Stoi w dole ze szklanką w dłoni i butelką, pustą, w drugiej. Wszyscy troje wiedzą, co oznacza pusta butelka. Drink, wyciągnięty na niedźwiedziej skórce, jako jedyny nie wie.*

*Tom wychyla ostatnią szklanekę i układa się obok swojego psa.*

*Charlie śledzi każdy ruch przyjaciela. Jest niespokojny. Chciałby, żeby odbyło się to dobrze, żeby strychnina wykonała swoją robotę czysto, żeby nie było krwi ani wymiotów.*

*– Tom – zwraca się do niego powolnym, zbyt starannym głosem, głosem, który nie należy do niego – Tom, nie zapomnij, tylko jedna szczypta, dwie dla Drinka, w przeciwnym razie...*

*– W przeciwnym razie nie będzie to ładny widok, co? Nie martw się, zawsze umiałem to robić, zwłaszcza przy damach. – To mówiąc, wyjmuje z kieszeni cylindryczną puszkę i zbliża się do swojego psa. Niemal czułym gestem rozwiera mu pysk i pozwala, by wpadł do niego drobny biały deszczyk. Zanim przyjmie śmiertelną dawkę, ma ochotę na ostatnie pozdrowienie, ostatni piruet. – No to już, życzę wam długiego życia i przekazcie moje*

pozdrowienia świata.

*I połyka swoją szczyptę.*

*Nie trzeba długo czekać na efekty. Nagłe ruchy, konwulsje, ręce i nogi się prostują, splatają się z łapami psa, który go drapie, uderza, rani, gmatwanina ciał stanowi okropny widok. Charlie to przewidział, rozerwiecie się nawzajem na strzępy, ale Tom był niewzruszony, chce być z Drinkiem, i Charlie mu na to pozwolił, nie można postąpić wbrew woli Toma. Ale w tej chwili chciałby zejść do dołu, wyciągnąć Drinka i pozwolić przyjacielowi umrzeć w spokoju. Jest już za późno. Zaczyna pojawiać się piana, to zbliżający się koniec, i Charlie trzyma Marie-Desneige przyciśniętą do siebie, Marie-Desneige, która nie powiedziała ani słowa, która patrzy zahipnotyzowana, jak śmierć dokonuje dzieła.*

*Późniejsze ruchy są ciężkie i powolne. Zakopują ciała, Charlie łopatą, Marie-Desneige drobnymi garstkami, którym pozwala zsypywać się do dołu. Wiedzą, że teraz kolej na Darling, suczkę Steve'a, i Kina, psa Teda. Tak postanowili poprzedniego dnia. Tom w jednym dole z Drinkiem, dwa pozostałe psy w drugim. Wszystko zostało już powiedziane. Pożegnania, słowa, które przypieczętowują życie, ostatni uścisk dłoni, wszystko to odbyło się poprzedniego dnia w letnim obozowisku. Nie chce kolejnej zimy, oznajmił Tom, dość już przeżyłem, to tutaj wszystko się dla mnie kończy.*

*Śmierć i pochówek psów przebiegają zgodnie z planem. Przechodzą teraz do drugiego etapu tego, co ich czeka, a co jest bardzo niepewne.*

*Idą do obozu i zbierają niezbędne rzeczy. Garnki, futra, siekierę, wędkę, puszki konserw. To Marie-Desneige wpada na pomysł, żeby zostawić na półce puszkę brzoskwiń. Dla Ange-Aimée, mówi.*

*– Zostawimy jej wiadomość?*

*– Lepiej nie – stwierdza Charlie.*

*Spiętrzają swój dobytek w kanadyjce. Marie-Desneige zajmuje miejsce z przodu, jej kot przyciska się do niej. Chummy znalazł sobie przestrzeń, w której wyciąga się wśród gratów pośrodku łódki. Charlie siedzi z tyłu. Kanadyjka jest bardzo obciążona, ale kilkoma pchnięciami wiosła udaje mu się uwolnić kil z uchwytu piaszczystego dna i odpływają.*

*Na brzegu śmierć obserwuje, jak znikają. Uznaje, że ma mnóstwo czasu. Tych dwoje może sobie mieć nadzieję, na co tylko zechce.*

## *Ptaki padały deszczem*

Na przekór i wbrew wszystkiemu udaje jej się znaleźć miejsce na wystawę. Kiedy zdawało jej się, że w ostatniej galerii, którą miała na liście, wyczerpała już wszelką nadzieję, młoda kobieta będąca świadkiem odmowy właściciela zaproponowała jej miejsce, które nie było galerią ani nawet centrum artystycznym, w tej chwili niczym w ogóle nie jest, powiedziała młoda kobieta, ale to będzie dla niego wspaniałą próbą.

Młoda kobieta sama była artystką, dmuchaczką szkła, nazywała się Clara Wilson, miejsce zaś przypominało wszystko, tylko nie galerię sztuki. Służyło za bednarnię temu, co niegdyś stanowiło największą destylarnię imperium brytyjskiego. Jest ciężkie od industrialnej architektury minionego wieku, ale pełne możliwości, wyjaśniła Clara, pokazując fotografce drągi, które zamontuje się na suficie, stalowe belki, które się wyrwie, oraz głęboko osadzone okna w ceglanych ścianach, absolutnie nie do ruszenia ze względu na ich wiktoriańskie piękno. Prace ograniczą się do tego, co niezbędne. Clara należała do grupy aktywistów kulturalnych, a oni dysponowali niewielkimi środkami. Lecz wszystko będzie gotowe na wiosnę, najpóźniej w maju, co pasowało fotografce, która miała dużo do zrobienia w międzyczasie.

Nie wróciła do pustelni. To, co widziała, jej wystarczyło. Co nie przeszkadzało w tym, że czasem zdarzało jej się marzyć o pozbyciu się wspomnienia grobów i wyobrażała sobie przyjaciół gdzieś bardzo daleko w lesie, w nowej chacie, gdzie zbudowali sobie nowe życie. Natychmiast jednak zjawiał się obraz, który przekreślał wszystkie nadzieje na to, że oni żyją. Obraz półki u Charliego, gdzie królowała nieobecność puszek z cynowanej blachy. I jeszcze bardziej bezlitosna niż nieobecność puszek ze strychniną – nieobecność kartonowego pudełka.

To pudełko było cenne. Zawierało fragmenty tożsamości Charliego, prawdziwe i fałszywe, oraz pieniądze, dużo pieniędzy. Charlie wyjawiał fotografce jego zawartość tuż przed jej wyjazdem do Toronto. Dla Marie-Desneige, powiedział, jeśli któregoś dnia nie będzie już umiała znaleźć szczęścia w lesie. Fotografka była pod wrażeniem liczby banknotów, które się tam znajdowały. Studolarówki spięte gumkami recepturkami, wiele zwitków, na jej oko tysiące dolarów. Nie potrafiła się powstrzymać przed gwizdnięciem wyrażającym zaskoczenie. Moje czeki emerytalne od rządu, wyjaśnił Charlie, nigdy nie udało mi się wszystkiego wydać.

Dla Marie-Desneige, powtórzył jeszcze raz z naciskiem.

A ona obiecała. Znajdzie dla niej miejsce, zajmie się nią, jeśli któregoś dnia staruszka nie będzie już chciała żyć w pustelni.

Ogromna ulga w oczach Charliego sprawiła, że zrozumiała, iż skłonny jest do wszelkich wyrzeczeń, byle zapewnić Marie-Desneige szczęście. Wzajemna troskliwość, ta czułość w spojrzeniu, wszystko, co brała dotąd za łagodną, miłosną przyjaźń, ostatni poryw serca, było dużo głębszym uczuciem. Ci dwoje kochali się tak, jak kocha się w wieku lat dwudziestu. Nieobecność puszki i pudełka na półce Charliego mogła oznaczać tylko jedno. Postanowili odejść razem, w sposób absolutny i definitywny, nie zostawiając śladów.

W końcu zaakceptowała rzecz nie do zaakceptowania. Czy można się sprzeciwiać woli miłości? Nieobecność puszki i pudełka stała się z biegiem miesięcy obrazem niezwykle romantycznym. Charlie i Marie-Desneige idący za rękę, Romeo i Julia, którzy ruszają na spotkanie swojemu przeznaczeniu.

Jednakże Steve i Bruno żyli. Steve przebywał w więzieniu w Monteith bez możliwości zwolnienia za kaucją, bo sędzia uznał, że istnieje aż nadto dowodów, że ten mężczyzna wróciłby do lasu przy pierwszej nadarzającej się okazji. Co do Brunona – żadnych wieści, nie było go na miejscu w momencie policyjnego nalotu i od tego czasu nie pojawił się w okolicy. Ona też nie powinna się tam pokazywać, poszukiwano współników.

Tak dał jej do zrozumienia Jerry, hotelarz służący za skrzynkę na listy dla czeków emerytalnych, po które Steve przyjeżdżał pod koniec każdego miesiąca.

– A pozostali? – zapytała, nie wymieniając ich z imienia.

– Pozostali? – rzucił, unosząc brew.

Było jasne, że nigdy nie wierzył w istnienie Toma i Charliego, a tym bardziej w starą kobietę ukrytą w głębi lasu. Wierzył tylko w drobne przekręty, w to, co można uszczknąć to tu, to tam z machlojek tych czy owych.

Nie wróciła już do hotelu tego małego, brzuchatego człowieczka.

W kolejnych miesiącach pochłonęły ją przygotowania do wystawy. To było wszystko, co jej pozostało po roku spędzonym ze starymi przyjaciółmi z lasu. Trzysta sześćdziesiąt siedem obrazów, mający ból Teda i spojrzenie Marie-Desneige, które rozjaśniało każdą plamę koloru. Płótna przeznaczone na ekspozycję zagracały jej mieszkanie. Inne tkwiły w magazynie na północy miasta.

Zdarzało się, że budziła się w środku nocy, zaalarmowana przez koszmar, w którym nie potrafiła odczytać żadnego obrazu, i robiła obchód po pokojach mieszkania tylko po to, by znaleźć na płótnach rozbłysk koloru, który zabrały ją z powrotem do samego serca lasu, do jej przyjaciół.

Praca okazała się dla niej zbawienna. Poza wystawą były jeszcze różne zlecenia, które zajmowały ją niemal do stanu wyczerpania. Miała wiele do przemyślenia, do zrobienia, do postanowienia. Na szczęście była Clara. Młoda kobieta przypominała powiew świeżego powietrza, jej przyjaciele byli równie promienni, a fotografka pozwoliła się nieść tej energii.



Ekscytowała ich idea zaprezentowania dzieł nieznanego malarza, oryginała, jednostki niezależnej, która nie miała żadnego mistrza. Surowy talent, siła inspiracji, wielka maestria kompozycji, pochwalnym egiptom nie było końca. Podziwiali również jej zdjęcia. Gratulowała sobie swojej wisty z miechem, która pozwalała na teksturowane światło i głębie spojrzenia.

Projekt szedł jak po maśle. Była tym nieraz oszołomiona. Chciała wyrzucić tę ekspozycją wielkie wrażenie. W starej destylarni już od lat nie produkowano whisky, lecz ogrom przestrzeni, stare kamienie i przejścia brukowane na dawną modłę podsycaly wszelkiego rodzaju plotki, z których najpoważniejsza głosiła, że wkrótce powstanie tu miejsce dla sztywnej bohemy, restauracje, teatry, galerie, butiki, trochę na podobieństwo Yorkville, ale bardziej w europejskim stylu. Clara i jej przyjaciele chcieli znaleźć się w pierwszym rzędzie, gdy sztuka, spacerowicze i wykwinna kuchnia wezmą tę lokalizację w posiadanie.

W chwili obecnej stara destylarnia służyła za plan filmowy. Hollywoodzka ekipa, która kręciła tam jakąś błazenadę z epoki, dała się uwieść młodym ludziom i odstąpiła im część bednarni.

Fotografce pozostawiono wolną rękę. Koncepcja wystawy im się podobała. Obrazy i zdjęcia, które się do siebie odwołują, a przede wszystkim ta nigdy nieopowiedziana historia, Wielki Pożar z Matheson, chłopiec o nieobecnym spojrzeniu błędzący wśród dymiących szczątków w poszukiwaniu nie jednej ukochanej, lecz dwóch, absolutnie identycznych, które przez całe życie będą go trzymały w splątanych wątkach niemożliwej miłości. Miłość, tułaczka, cierpienie, głęboki las i odkupienie w sztuce, tematy drogie sercom tych młodych artystów, którzy lubili, gdy życie otrze się o dno, nim dosięgnie światła.

W centrum ich zainteresowania znalazła się seria *Młode dziewczęta o długich włosach*, co do której zdecydowano, by zachować z niej jedynie pięć dzieł. Widziane z daleka wypłynięcie tratwy na rzekę, smuga złota w czarnych wodach. Tratwa, bardziej z bliska, i dwie młode dziewczyny o złotych włosach wiosłujące rękami. I jeszcze bardziej z bliska – dziewczęta rozpoznają kogoś na brzegu, dają mu znaki, błagają go. Dramat kolejnej sceny, gdy tratwa tonie w wirze czarnej wody. I końcowe zbliżenie na twarz niezwyklej urody.

Serii powinna towarzyszyć fotografia Angie Polson, jedynej ocalałej z tej romantycznej tragedii. Ale brakujący gest ze strony fotografki – to kliknięcie, którego nie wykonała w High Parku, kiedy miała starszą panią przed nosem – pozbawił serię zdjęcia Angie.

Jego miejsce zajął jej portret, namalowany przez Teda Boychucka. Na portrecie Angie była młodsza niż drobna staruszka z High Parku, dwadzieścia lub trzydzieści lat młodsza, ale w kącikach jej oczu migotał ten sam błysk różowego światła.

Pod portretem kartonik z wyjaśnieniem.

Angie Polson, między 1965 a 1975/ Urodzona w Matheson w 1902/ Wraz z siostrą bliźniaczką imieniem Margie przetrwała Wielki Pożar, uciekając po Black River na

prowizorycznej tratwie. W 1920 wyjechała z Matheson do Toronto. Nie wiadomo nic o jej późniejszym życiu. Po raz ostatni widziano ją w Matheson w 1972 i w High Parku w Toronto na wiosnę 1994. Jej siostra bliźniaczka zmarła na raka w 1969.

Clara się nie zgadzała. Zbyt chłodny, zbyt oficjalny tekst nie dopuszczał emocji, przysłał piękno, miłość, pasję, a poza tym stwierdzenie „Nie wiadomo nic o jej późniejszym życiu” to fałsz, arcyfałsz. Wiadomo, że jej życie było ciągiem mniej lub bardziej nieudanych miłosnych spotkań, które dzieliła ze swoją siostrą. Wiadomo, że ta miłość była beznadziejna, gdyż kochały mężczyznę, który nie potrafił kochać. Wiadomo, że ten mężczyzna umarł, pozostawiając po sobie dzieło, które oddaje hołd ich pięknu. A więc po co robić uniki, migać się, uchylać?

Fotografka ponownie zabrała się do swojego tekstu i napisała tak:

Angie Polson, między 1965 a 1975/ Urodzona w Matheson w 1902/ Wraz z siostrą bliźniaczką imieniem Margie przetrwała Wielki Pożar, uciekając po Black River na prowizorycznej tratwie. Młody Boychuck całymi dniami błędził, szukając ich, a skoro ich nie znalazł, opuścił Matheson. Wrócił w 1922, kiedy Margie była już zamężna, a Angie czekała na niego w Toronto. Dalszy ciąg to szereg mniej lub bardziej nieudanych spotkań. Przez całe życie łączyła ich niemożliwa miłość. Margie zmarła w 1969, Ted Boychuck w 1996, jedynie Angie wciąż żyje. Widziano ją na wiosnę 1994 w High Parku w Toronto.

Była zadowolona z finału, który pozostawiał unoszącą się w powietrzu tajemnicę. Chętnie dorzuciłaby: „Karmiła ptaki”, ale ograniczała ją liczba linijek mieszczących się na kartoniku. Tak czy owak, powiedziała sobie, pytanie tam jest, w domyśle. A czy ty ją widziałeś, w High Parku lub gdzie indziej?

Chciała odnaleźć drobną staruszkę od ptaków. Jej zamiar pozostawał ukryty przed nią samą, dopóki słowo „ptak” nie przyszło jej do głowy, gotowe, by zapisać je na zbyt małym kartoniku. Od razu pojęła, że jedynym celem tej ekspozycji jest odszukanie drobnej staruszki, gdziekolwiek się znajduje.

Ptaki padały deszczem, powiedziała drobna staruszka.

– Ptaki padały deszczem? – spytała Clara.

Fotografka właśnie znalazła tytuł dla wystawy.

Tytuł, który, jeśli wpadnie w oko osoby zainteresowanej, nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko sprowadzić staruszkę do niej.

Pierwszego pięknego dnia kwietnia fotografka wybrała się do High Parku, jedną nogą w wiosnie, a drugą sama nie wiedziała gdzie. Śniła o gałęziach choinek, o wielkich jeziorach, o czystym powietrzu, które rozpiera pierś, i o drobnej staruszce, która czeka na nią na ławce.

Angie Polson tam nie było. Nie wystarczyło czegoś sobie zażyczyć, żeby zainspirować rzeczywistość. Na miejscu staruszki siedział mężczyzna. Wygodnie rozparty na ławce, z nogami wyciągniętymi przed siebie i rękami w kieszeniach płaszcza, pogrążony

w myślach. Niewiele po pięćdziesiątce, oceniła fotografka. Piękna sylwetka, pomyślała jeszcze. Mężczyzna faktycznie był imponujący. Mimo że siedział na skraju ławki, sprawiał wrażenie, że zajmuje ją całkowicie. A jego włosy, w ładnym odcieniu popielatej szarości, tworzyły mechatą chmurkę wokół głowy. Pomyślała o Marie-Desneige.

Chmara gołębi wylądowała u stóp mężczyzny. Myśli fotografki powędrowały ku Angie Polson i jej bawełnianej chustce.

Mężczyzna, zdawszy sobie sprawę z obecności fotografki, posłał jej zawstydzony uśmiech – proszę wybaczyć, tłumaczył się uśmiech, zająłem pani miejsce – i gestem dłoni zaprosił ją, żeby usiadła obok niego.

Chciał znaleźć się daleko, bardzo daleko, nie być już na nic narażonym, zgubić się na końcu świata, nie musieć już z niczego się tłumaczyć. Był wszystkim zmęczony. Pracą, obowiązkami, tym, czego od niego oczekiwano. Tak właśnie oznajmił fotografce znużonym głosem, podczas gdy ona karmiła gołębie mięszem z chleba, który przyniosła. Chciałbym zniknąć, mówił dalej, stać się niewidzialny, chciałbym dla nikogo nie istnieć.

– Znam pewne miejsce, ale jest pan za młody.

Fotografka słuchała zmęczonego głosu, lecz jej uwaga była gdzie indziej. Istniała w tej pięknej męskiej sylwetce przestrzeń, w której się widziała, ciepłe i wygodne miejsce, zakamarek, gdzie dostrzegła siebie, serdecznie przyjętą, i dwa ramiona, które się wokół niej zamykały.

Nazywał się Richard Bernatchez. Tak jej powiedział. Ryszard Lwie Serce, pomyślała, nie wiedząc dlaczego. Ma serce walecznego króla.

A kiedy z kolei ją zapytał o imię, podała mu je w całości, myśląc o swoich przyjaciółach z lasu, których znała pod fałszywymi nazwiskami i których już więcej nie zobaczy.

– To ładne imię – rzekł Ryszard Lwie Serce.

Mały domek pod drzewami przy wyjeździe z miasteczka. Z drogi widać fasadę krytą cedrowym gontem i wysuniętą trójkątną górę, która rzuca cień na werandę. Zastłony są zaciągnięte, prawdopodobnie po to, by zatrzymać w domu odrobinę chłodu. To ciepły letni dzień. Stary człowiek zażywa świeżego powietrza na werandzie.

Charlie pali papierosa, żując żdźbło zboża.

– To jak, idziesz?

Trochę schudł, dwie długie koleiny żłobią jego policzki, ale co do reszty, wciąż zachował cały swój wigor dziewięćdziesięcioletnia. Wybrał się w tym słońcu do miasteczka i z powrotem, a teraz zażywa świeżego powietrza. Dobry papierosik, szklanka zimnej wody, życie nadal ma swoje smaczki.

– Już pora – rzuca w stronę drzwi z siatki na komary.

– Idę, idę.

Kłębiasta głowa Marie-Desneige pojawia się w na wpół otwartych drzwiach. Biała i świetlista. Kobieta prześlizguje się ostrożnie wraz z tacą z herbatą i z Jaśniepanem, który płącze jej się pod nogami.

Ma na sobie jasną sukienkę. W odcieniach błękitu i koralowego różu, które dodają jeszcze blasku jej włosom.

Stawia tacę na niskim stoliku w pobliżu podwójnej huśtawki i zajmuje miejsce obok Charliego. Czeka na nią od dłuższego czasu, bo w rękach trzyma ich małe zwycięstwo. Dwie koperty, których jeszcze nie rozerwał. Oboje wiedzą, co zawierają. Ich czeki emerytalne. Charlie był pełen ufności, ale Marie-Desneige w to nie wierzyła. Nie wierzyła, że czeki od rządu mogą podążyć za nimi aż tutaj, aż do miasteczka, gdzie nikt ich nie zna. Lecz Charlie był listonoszem. Wie, jak to działa.

– Nie było nic innego?

Za każdym razem, gdy wraca z urzędu pocztowego, pada to samo pytanie.

– Nie, nic innego.

– Powinniśmy do niej napisać.

– Jak chcesz to zrobić? Nie mamy jej adresu ani nawet nazwiska.

Marie-Desneige wzdycha. Często prowadzą tę dyskusję. Marie-Desneige, która chciałaby znów zobaczyć swoją przyjaciółkę, i Charlie, który tłumaczy, że tak jest lepiej, że już czas, by ta kobieta zaczęła żyć własnym życiem.

Chummy, który leży na drugim końcu werandy, wstaje i podchodzi, żeby wyciągnąć się obok swojego pana. Wie, że już czas. Dwoje starszuchów kołysze się łagodnie na huśtawce, Jaśniepan tkwi w ramionach Marie-Desneige, a Chummy pozwala Charliemu się drapać.

*Mieszkańcy będą wracali z pracy do miasta. Defilada aut wkrótce się zacznie.*

*Historia nie wspomina, gdzie położone jest miasteczko, nie podaje też jego nazwy. Milczenie jest warte więcej niż gadanina, zwłaszcza gdy w grę wchodzi szczęście i gdy jest ono tak kruche.*

*Szczęście potrzebuje po prostu, żebyśmy się na nie zgodzili. Marie-Desneige i Charlie mają przed sobą kilka lat i liczą, że uda im się zrobić z nich całe życie. Pozostaną ukryci przed oczami świata.*

*W tej opowieści istnieje parę rzeczy, które trwają w zawieszeniu. Jak ten list, który dotarł do bednarni na długo po tym, jak zdemontowano ekspozycję, a ekipa filmowa wróciła do Hollywood. List podpisany przez Angie Polson. Starsza pani odwiedziła wystawę i chciała uściślić datę, kiedy Theodore namalował jej portret.*

*Nie wiadomo, czy list dotarł do adresatki.*

*Wystawa odniosła sukces. Wszystkie obrazy się sprzedały, ukazał się pochwalny artykuł w „Globe and Mail”. Pieniądze ze sprzedaży płócien zostały umieszczone w fideikomisie i czekają na zwrot w historii.*

*A śmierć? No cóż, nadal krąży. Nie wolno obchodzić się bez śmierci, krąży ona we wszystkich opowieściach.*

# *Ogromne podziękowania*

Dla Sylvii i Mike'a Milinkovichów, którzy zapoznali mnie z Williamem Houghem, Robertem Rhodesem i cudowną Jessie Dambrowitz, lat osiemdziesiąt dziewięć, która przypomniała sobie dla mnie, że jej ojciec widział ptaki spadające z nieba.

Dla całego zespołu z XYZ, a przede wszystkim, przede wszystkim dla André Vanasse'a, który czuwa nad moimi powieściami od tej najpierwszej.